

**Zbigniew Nienacki**

**Pan Samochodzik i zagadki Fromborka**

**Wydawnictwo Pojezierze  
Olsztyn 1982**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PO PRZYJEŹDZIE ZNAD LOARY · NOWE ZADANIE · KTO ROZWIĄZUJE ZAGADKI FROMBORKA · PIERWSZY SCHOWEK PUŁKOWNIKA KOENIGA · TRZY BEZCENNE MONETY · PODEJRZANA SPRAWA · KIM JEST TAJEMNICZA PARA · CO WYKAZAŁO ŚLEDZTWO · SPRAWA O KRYPTONIMIE „DUKAT ŁOKIETKA”

Powróciłem z Francji, gdzie spędziłem miesiąc urlopu. Zaledwie przystąpiłem do swych zwykłych zajęć w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdy wezwał mnie do siebie dyrektor Marczak, mój bezpośredni zwierzchnik.

Minął już czas mej pracy w prowincjonalnych muzeach, kiedy to tylko z amatorstwa zajmowałem się rozwiązywaniem zagadek historycznych i poszukiwaniem zaginionych podczas wojny skarbów kultury. Zrezygnowano również ze mnie jako kustosza małego muzeum na wsi. Otrzymałem mieszkanie w Warszawie i etat w ministerstwie. Formalnie byłem tylko skromnym referentem w Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków, w rzeczywistości jednak pracowałem jako człowiek do specjalnych poruczeń, coś w rodzaju detektywa. Nie należy oczywiście sądzić, że zajmowałem się pilnowaniem gablot lub ściganiem włamywaczy do sal muzealnych (niestety, i tacy bywają). Poruczano mi sprawy, które niekiedy zupełnie nie nosiły cech przestępstwa, a przecież mogły nasz kraj narazić na poważne straty w dziedzinie kultury. Na przykład, często odwiedzałem sklepy z dziełami sztuki, interesując się zawieranymi tam transakcjami, bacząc, aby jakiś cenny zabytek (z jego ogromnej wartości niekiedy nie zdawał sobie sprawy nawet sam sprzedający) nie trafił w niepowołane ręce. Przyglądałem się również działalności różnego rodzaju handlarzy antyków i dzieł sztuki. Roboty zresztą miałem mnóstwo, dziedzina ochrony zabytków raz po raz przynosi niespodzianki i zagadki. Kto śledzi prasę, ten chyba pamięta sensacyjne wiadomości związane z odkryciem w małym kościółku wiejskim obrazów przypisywanych sławnemu malarzowi El Greco, o odkryciu obrazów Cranacha na strychu jednego ze starych kościołów, o aferze z bezcennymi witrażami. W tych wszystkich sprawach brałem udział jako rzeczoznawca Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków. W kręgu moich zainteresowań leżały również poszukiwania zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i prywatnych kolekcji. To wszystko chyba wyraźnie świadczy, jak różnorodne miałem zajęcia i jak wiele musiałem przeżyć przygód, o których zapewne warto będzie kiedyś napisać.

Podobnie, jeśli znajdę trochę czasu, opiszę czas spędzony we Francji, dokąd pojechałem na zaproszenie Karen Petersen, córki słynnego poszukiwacza skarbów, kapitana Petersena[1]. Cały lipiec zajmowałem się wraz z Karen rozwiązywaniem tajemnic jednego z przepięknych starych zamków nad Loarą, przeżyliśmy mnóstwo dramatycznych i fascynujących wydarzeń, naprawdę godnych oddzielnej książki.

Ale oto powróciłem już do kraju. Był pierwszy sierpnia i pierwszy dzień mojej pracy po urlopie.

— Oczekiwałem pana z niecierpliwością — powiedział mój zwierzchnik, dyrektor Marczak.  
— Mam bowiem dla pana nowe, bardzo ważne zadanie.

— Domyślam się, o co chodzi — odrzekłem. — O zagadki Fromborka?...

— A skąd pan o nich wie? Przecież dopiero wczoraj przyjechał pan z Francji.

— Pisała o nich francuska prasa. Wszystko, co jest związane z miastem, gdzie Kopernik dokonał swoich wielkich odkryć, interesuje cały świat. Z prawdziwą satysfakcją wezmę się do zagadek Fromborka.

Dyrektor Marczak przecząco pokręcił głową.

— Niestety, muszę pana rozczarować. Zagadkami Fromborka już od trzech tygodni zajmuje się pański kolega, magister Pietruszka. Udało mu się odnaleźć jedną z trzech kryjówek, w których pułkownik Koenig schował zrabowane w Polsce zabytki. Odzyskaliśmy bezcenne dzieła sztuki, panie Tomaszu, i nie widzę powodu, dla którego miałbym sprawę zagadek Fromborka odbierać koledze Pietruszce i przekazywać ją panu.

— Nic nie słyszałem o odkryciu schowka Koeniga...

— Nie nadawaliśmy tej sprawie rozgłosu. I tak za dużo było szumu w związku z odnalezieniem zwłok pułkownika Koeniga i planu jego trzech kryjówek. Nie chcemy we Fromborku wścibskich dziennikarzy ani też poszukiwaczy skarbów. Dopiero po odnalezieniu wszystkich kryjówek i wydobyciu z nich skarbów, zorganizujemy konferencję prasową. A do pańskiej wiadomości podaję: jeden ze schowków został przez Pietruszkę już odkryty, skarby są w piwnicach Muzeum Narodowego. Jeśli pan chce je obejrzeć, proszę skontaktować się z dyrektorem muzeum, zapewne zgodzi się panu pokazać.

— Hm... — chrząknąłem ze smutkiem.

— Niech pan nie „hmyka” — powiedział dyrektor Marczak. — Bardzo tego nie lubię. Wiem, że między panem i magistrem Pietruszką istnieje duży antagonizm. Kolega Pietruszka niejednokrotnie żalił się, że dajemy panu do rozwiązania najciekawsze zagadki, a jego pozostawia się w cieniu, przez co nie ma on możliwości wykazania swoich talentów detektywistycznych. Wyznaję, że nawet ucieszyłem się, gdy ujawniła się sprawa zagadek Fromborka, a pan był za granicą. Bo z czystym sumieniem mogłem tę sprawę przekazać koledze Pietruszce. I jestem z niego bardzo zadowolony. Odnalazł już pierwszą kryjówkę.

Przyłożyłem dłoń do piersi i rzekłem uroczyście:

— Oświadczam panu, dyrektorze, że w ogóle nie będę się interesował zagadkami Fromborka. Kolega Pietruszka może spokojnie poświęcić się swojej pracy, bez obawy, że mu wejdę w paradę. A teraz czekam na swoje zadanie.

— A tak. Przystąpmy do dzieła — zgodził się dyrektor Marczak, otwierając swój notatnik. — Jak pan wie, panie Tomaszu — mówił — uważnie śledzimy politykę zakupów, prowadzoną

przez poszczególne polskie muzea, i o tych zakupach staramy się mieć pełną informację, szczególnie jeśli dotyczą przedmiotów o dużej wartości. Otóż na przestrzeni minionego tygodnia aż z trzech muzeów w różnych miastach Polski otrzymałem następujące wiadomości: muzeum K. nabyło od prywatnego posiadacza srebrny denar „Gnezdun civitas”. Muzeum w L. nabyło denar Mieszka I...

— Co? — aż zerwałem się z fotela.

— A tak, tak, proszę pana. Denar Mieszka I. I niech pan siada, panie Tomaszu — powiedział dyrektor Marczak. — Niech pan siada i mocno trzyma się fotela, bo to jeszcze nie koniec rewelacji. Muzeum w Łodzi nieznanym nam kolekcjoner zaproponował... słynny „brakteat Jaksy”.

— Co?! — wykrzyknąłem, nie wierząc własnym uszom. Nie zerwałem się już jednak z fotela, mocno trzymając się poręczy.

— Tak, panie Tomaszu — ciągnął dalej dyrektor Marczak — podzielam pańskie zdumienie. W ciągu jednego tygodnia na rynek numizmatyczny wpłynęły nagle jedne z najciekawszych i najstarszych polskich monet. Stwierdzić też muszę, że chociaż niektóre z wymienionych tu okazów ze względu na swoją rzadkość są po prostu bezcenne, sprzedający proponowali ceny nie wygórowane, ale sięgające kilkudziesięciu tysięcy złotych za okaz.

— Niesłychane!... — nie mogłem wciąż opanować zdumienia.

— Dlatego każde z wymienionych muzeów traktowało tę sprawę jako jedyną w swoim rodzaju okazję i szybko, bez specjalnych formalności, dokonywało zakupu. Dopiero tutaj, w departamencie, zbierając informacje o tych zakupach, poczuliśmy niepokój.

— Czy w każdym przypadku sprzedawcą była jedna i ta sama osoba?

— Nie. Muzeum w K. kupiło denar „Gnezdun civitas” od jakiegoś mężczyzny, muzeum w L. kupiło denar Mieszka I od jakiejś kobiety.

— Przy tego rodzaju transakcjach sporządza się rachunek, notuje dane personalne sprzedającego...

— Otóż to, panie Tomaszu. Zbadaliśmy dość dokładnie tę sprawę. Okazało się, że sprzedający zostali podstawieni.

— Jak to pan rozumie?

— Transakcje odbywały się w sposób następujący: najpierw był telefon do muzeum. Anonimowy człowiek proponował sprzedaż bezcennej monety i wyznaczał spotkanie w kawiarni dla obejrzenia monety. Na pytanie, skąd ma tę monetę, odpowiadał: „Informacji udzielać nie będę. Chcecie kupić czy nie? Jeśli nie, to żegnam”. Ponieważ były to wyjątkowe okazy i oferowano je stosunkowo tanio, chciało je mieć każde muzeum, zresztą sprzedający nie musi zdradzać swych tajemnic. Może odpowiedzieć: „Znalazłem monetę na strychu w starym kufrze”, i kto mu udowodni, że tak nie było? Dokonywano więc formalnych transakcji, sprzedający odbierał pieniądze, a następnie szedł na miejsce umówione z tym, kto mu powierzył monetę. Oddawał pieniądze i otrzymywał prowizję w wysokości tysiąca

złotych. Za każdym razem, jak wynika z opisów, które nam dali fikcyjni sprzedawcy, faktycznym sprzedawcą był ktoś inny: jakaś elegancka dama, jakiś elegancki pan.

— Co nie oznacza, że to nie była spółka czy szajka złożona z paru osób — powiedziałem.

— Oczywiście. A nawet na pewno jest to jakaś kilkuosobowa szajka. Przecież to nie może być przypadek, że w jednym tygodniu oferowano do sprzedaży aż trzy wyjątkowe okazy monet.

— Czy zawiadomiliście milicję?

— Tak. To przecież dzięki milicyjnemu śledztwu wiemy, że sprzedający monety zostali podstawieni i za ich plecami krył się ktoś inny. Ale cała ta sprawa, choć podejrzana, nie daje przecież podstaw do wszczęcia formalnego śledztwa i angażowania organów ścigania. Nie nosi ona bowiem cech przestępstwa. Każdy człowiek w Polsce ma prawo sprzedawać w muzeum czy w sklepie Desy jakieś stare zabytkowe monety, będące w jego posiadaniu. Oczywiście, nie jest w porządku, że ktoś, zamiast samemu pójść do Desy lub do muzeum, wysłał tam kogoś innego i daje mu za to prowizję. Ale zawsze się może z tego wytłumaczyć, powiedzieć, że ma jeszcze wiele innych monet, a nie chciał być nagabywany przez numizmatyków. Wie pan, jak to jest ze zbieraczami. Jak się dowiedzą, że ktoś ma bogate zbiory, zaczną go nachodzić, proponować obejrzenie, wymianę, sprzedaż, kupno i tak dalej. Ten ktoś ma prawo pozostać anonimowym. I choć zachowuje się podejrzanie, przecież nie musi być przestępcą. Tym bardziej, proszę pana, że nie zgłaszano milicji, aby komukolwiek w Polsce zginęła, została skradziona lub zrabowana kolekcja starych monet. A więc okazy sprzedawane do muzeów nie pochodzą z kradzieży i dlatego nie ma podstaw do wszczęcia formalnego śledztwa. Mogły one zostać przypadkiem gdzieś znalezione. W czasie minionej wojny zginęło przecież sporo różnego rodzaju kolekcji. I należy się tylko cieszyć, że anonimowy znalazca, zamiast kryć je w jakimś schowku, oferował tak cenne okazy muzeum za niewygórowaną cenę.

— Może nie miał pojęcia o wartości towaru, który oferował?

— Nie, proszę pana. W telefonicznych rozmowach z kustoszami muzeów określał monety bardzo fachowo, mówił, że są bezcenne, ale że orientuje się w skromnych środkach finansowych, jakimi dysponują muzea, i dlatego proponuje takie niskie ceny. Chciałby bowiem, aby te monety znalazły się w muzeach, a nie u prywatnych kolekcjonerów.

— W pewnym sensie to nawet bardzo uczciwe postawienie sprawy.

— A tak. I to głównie zdecydowało, że nie widzimy potrzeby angażowania milicji, ale właśnie panu dajemy zadanie zbadania tej historii.

Zastanowiłem się chwilę.

— Jak mam trafić na ślad tajemniczego „ktosia”? — zapytałem.

— Wspomniałem panu, że muzeum w Łodzi otrzymało propozycję kupna „brakteatu Jaksy”, księcia na Kopanicy. Ofertę złożyła jakaś kobieta. Zaproponowała dokonanie transakcji w kawiarni „Honoratka”, jutro o godzinie dwudziestej. Kustosz muzeum ma przyjść i na spotkanie i przynieść pieniądze. Tajemnicza kobieta oświadczyła, że zna kustosza z wyglądu,

sama podejdzie do jego stolika i z nim się rozmówi. Wręczy mu monetę i odbierze pieniądze. Proponuję, żeby pan pojechał jutro do Łodzi i o wyznaczonej godzinie zjawił się w kawiarni, niezależnie od kustosza. Obejrzy pan sobie tę panią, no a reszta już należy do pana.

— Transakcja ma być dokonana?

— O, tak. Przecież to bezcenna moneta, a chce za nią tylko trzydzieści tysięcy złotych. Tej sprawie nadaję kryptonim...

W tym momencie na biurku dyrektora Marczała odezwał się telefon.

— Tak, słucham, tu Marczak — powiedział w słuchawkę.

Po dłuższej chwili na jego twarzy odmalował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Potem dyrektor Marczak krzyknął do telefonu:

— Co takiego?! Chce mi pani sprzedać złoty dukat Łokietka? Ależ to chyba żart... Nie istnieje drugi egzemplarz tego dukata. Co takiego? Pani twierdzi, że pani ma drugi egzemplarz?

Na czoło dyrektora Marczała wystąpiły drobne kropelki potu.

A palce tak miał mocno zaciśnięte na słuchawce, że aż zbieleły.

— Proszę pani. Przystaję na każde warunki! — zawołał do telefonu. — Proszę powiedzieć, gdzie i kiedy możemy się spotkać. Tak, przyniosę pieniądze, ale pani musi najpierw pokazać mi tę monetę. Ja pani nie wierzę. Nie istnieje drugi egzemplarz dukata Władysława Łokietka... Co? Pani jeszcze do mnie zadzwoni?... Halo, halo!... — wołał do telefonu dyrektor Marczak.

Ale wołał na próżno. Kobieta, która dzwoniła, odłożyła słuchawkę.

Dyrektor Marczak długą chwilę siedział w fotelu za swoim biurkiem. A potem powiedział do mnie cicho, jakby mu sił brakowało:

— Tej sprawie nadaję kryptonim „Dukat Łokietka”.

I dodał błagalnie:

— Panie Tomasz. W panu moja cała nadzieja...

## ROZDZIAŁ DRUGI

SKARBY NARODOWE · TAJEMNICA TRZECH MONET · NUMIZMATYCZNE YETI ·  
KŁOPOTY Z KSIĘCIEM JAKSĄ · ZŁOCZYŃCY CZY KOLEKCJONERZY · MOJA  
TAJNA MISJA · W „HONORATCE” · POJAWIENIE SIĘ WALDEMARA BATURY ·  
GENIUSZ ZŁA · BATURA ODPOWIADA NA KILKA PYTAŃ · RZUCONA RĘKAWICA  
· JEDEN ZERO DLA BATURY

Do Łodzi pojechałem następnego dnia, zaraz po południu. Drogę odbyłem moim pokracznym wehikułem, ponieważ musiałem być przygotowany na wszelkie ewentualności, gdy będę próbował ustalić personalia tajemniczej damy, skłonnej sprzedać „brakteat Jaksy”. Okoliczności sprawy, a przede wszystkim ów dziwny telefon od dyrektora Marcza w związku z dukatem Łokietka, kazały sądzić, że czeka mnie trudna do rozwiązania zagadka. Nie żałowałem więc, że ominęły mnie zagadki Fromborka. Kryjówki ze skarbami ukrytymi przez hitlerowskiego rabusia? Tak, to brzmi bardzo efektownie. Zaręczam wam jednak, że hasło wywoławcze: „Dukat Łokietka”, w równym stopniu może zelektryzować każdego muzealnika.

Droga do Łodzi jest szeroka i prosta, niekłopotliwa dla kierowcy. Mój wehikuł niósł mnie bezpiecznie i wiedziałem, że nie sprawi mi żadnych przykrych niespodzianek. Podczas pobytu we Francji, w nagrodę za udział w rozwikłaniu tajemnic zamku nad Loarą, kapitan Petersen zamówił we włoskiej firmie Pinin Farina silnik do mego wehikułu i nowe gumy. Kosztowało to mniej więcej tyle samo, co nowa elegancka simca albo nawet peugeot. Ale nie chciałem rozstać się ze swoim pokracznym samochodem, który tylekroć wyniósł mnie z najróżniejszych niebezpieczeństw. Traktowałem go jak swego najlepszego pomocnika i przyjaciela. Zaopatrzony w nowy silnik i nowe ogumienie — jakże mógł mnie zawieść albo odmówić posłuszeństwa? Jechałem nim po dobrej drodze i mogłem rozmyślać o otrzymanym od dyrektora Marcza zadaniu.

Wiedziałem, że muszę je wykonać delikatnie, z największym taktem, któż bowiem mógł zaręczyć, czy za tą historią nie krył się słynny jakiś kolekcjoner. W grę wchodziły jednak skarby narodowe i konieczna się wydawała informacja o ich pochodzeniu.

Skarby narodowe. Pod tym określeniem każdy wyobraża sobie ogromne sale muzealne czy wielkie wawelskie komnaty obwieszane arrasami, obrazami dawnych mistrzów, klejnoty koronne, broń, wspaniałe meble, ongiś używane przez królów. Ale skarby narodowe, których pochodzenie miałem wyjaśnić, mogło skryć w swej dłoni... niemowlę. Tak, nawet piątka małego dziecka była wystarczająco duża, aby zawrzeć ów skarb. Żadna z tych rzadkich i bezcennych monet nie przekraczała swą wielkością paznokcia dorosłego mężczyzny i każda była niewiele grubsza od paznokcia. A jednak te małe przedmioty są strzeżone w naszych muzeach na równi z efektownymi arrasami i wspaniałymi obrazami. Są one bowiem równie ważne dla historii kultury naszego narodu. Ich opis i fotografie znaleźć można w wielu książkach i podręcznikach. Nie znajdziecie ich jednak w żadnym cenniku. One bowiem nie mają ceny.

Czy rozumiecie już, dlaczego po pierwszych słowach dyrektora Marcza zerwałem się z fotela i słuchałem jego wyjaśnień z najwyższym zdumieniem?

Denar Mieszka I. Pierwsza polska moneta. Do tej pory ludność zamieszkująca Polskę albo stosowała handel wymienny, albo też używała monet arabskich czy jeszcze dawniejszych, rzymskich, lub zgoła bryłek srebra i pokruszonych ozdób. Dopiero Mieszko I, zapewne wkrótce po akcie swego chrztu, kazał wybić własną monetę, podobnie jak ówczesni książęta czescy czy niemieccy. Albowiem moneta z imieniem panującego była widowym znakiem suwerenności kraju, dowodem istnienia władzy książęcej, nie tylko dla obcych, ale i dla własnych poddanych. Czy dużo wybito tych monet? Fachowcy-numizmatycy obliczają, że

denarów Mieszka I wybito od dwudziestu do trzydziestu pięciu tysięcy sztuk. Ile tych monet przetrwało do naszych czasów? Podobno na całym świecie jest ich zaledwie czterdzieści siedem. Ale już od bardzo dawna na największych zagranicznych aukcjach nie zaobserwowano faktu sprzedaży tej monety, co świadczy o jej niezwyklej rzadkości. Ten mały pieniążek liczy sobie ponad tysiąc lat. Tyle, ile państwo polskie. Jest zrobiony ze srebra, ma średnicę długości osiemnastu i ośmiu dziesiątych milimetra, waży tylko jeden i siedemdziesiąt setnych grama. Na awersie widać jakby odcinek koła z krzyżem i zniekształcone imię księcia Polski. Na rewersie znajduje się prosty krzyż, a między jego ramionami — cztery kule.

I ten właśnie denar został sprzedany muzeum w L.

Ale jeszcze bardziej poruszający wyobraźnię był fakt sprzedaży muzeum w K. denara z napisem „Gnezdun civitas”.

W historii polskich monet zajmuje on drugie miejsce po monecie Mieszka I. Denar z napisem „Gnezdun civitas” wybity został z rozkazu Bolesława Chrobrego dla uczczenia słynnego zjazdu gnieźnieńskiego w tysięcznym roku. Wartość jego jednak przekracza wartość denara Mieszkowego, albowiem jest on unikatem, czyli istnieje w jednym egzemplarzu. Jedyne znany nauce egzemplarz denara „Gnezdun civitas” posiada muzeum Emeryka Czapskiego. Czapski był to przebogaty ziemianin, który cały swój ogromny majątek włożył w kolekcję polskich monet. Umierając, darował swe zbiory państwu i do dziś oglądać je można w Krakowie.

Podobno przed laty istniał jeszcze drugi egzemplarz denara „Gnezdun civitas”, pochodzący ze skarbu wykopanego w Rychnowie, w powiecie Wąbrzeźno. Jeszcze w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku znajdował się on w krakowskim zbiorze bankiera Bochenka, ale później zaginął bez śladu. Posiadaniem drugiego egzemplarza tej monety chwalił się znany przed wojną numizmatyk, Feliks Modrzyński z Warszawy. Lecz numizmatycy-kolekcjonerzy to fantaści podobni do rybaków i myśliwych...

Denar „Gnezdun civitas” jest jeszcze mniejszy od denara Mieszkowego, ma średnicę osiemnastu i pięciu dziesiątych milimetra, a waży jeden i sześćdziesiąt sześć setnych grama. Na awersie widać głowę w diademie, z naszyjnikami z pereł. Na rewersie widnieje krzyż kawalerski z czterema kulami. Właśnie na rewersie wybito napis „Gnezdun civitas”.

I oto ten właśnie unikalny denar tajemniczy „ktoś” sprzedał muzeum w K. za kilkadziesiąt tysięcy złotych. Skąd się wziął ten egzemplarz w rękach tajemniczego „ktosia”?

Czy zdajecie sobie sprawę, jak bardzo musiało dyrektora Marczaka poruszyć takie wydarzenie? A tu jakby jeszcze było mało tych rewelacji, muzeum w Łodzi zawiadomiło Marczaka, że zaoferowano „brakteat Jaksy”, księcia na Kopanicy.

Brakteat (z łacińskiego bractea, czyli blaszka) to moneta tak cienka, że trzeba ją było wybijać tylko jednostronnie, gdyż na drugiej stronie uwypuklał się negatyw stempla. Trudno powiedzieć, ile dokładnie brakteatów Jaksy znajduje się na świecie. Ale w każdym razie jest ich bardzo niewiele; tylko nieliczne muzea mają go w swych kolekcjach. Moneta ta jest niezwykle ciekawa również ze względu na osobę Jaksy, księcia, który kazał ją wybić. Otóż, jak stwierdzają historycy, książę słowiański Jaksza miał w połowie dwunastego wieku swój gród, Kopanicę (inaczej Kopnik), ni mniej, ni więcej tylko w tym samym miejscu, gdzie dziś

istnieje Berlin, a ściślej dzielnica Köpenick. Ów Jaksza toczył za swego panowania ciężką walkę z margrabią Albrechtem Niedźwiedziem o zachodniosłowiańskie księstwo Brenne, później zwane Brandenburgiem. Początkowo Jaksza nawet zajął Brenne, ale Albrecht wyparł go stamtąd w tysiąc sto pięćdziesiątym siódmym roku. Co się potem stało z Jakszą — nie wiadomo. Niektórzy twierdzą, że zmarł na wygnaniu w Polsce.

Wybity przez Jakszę brakteat ma średnicę osiemnastu i pięciu dziesiątych milimetra, a waga jego wynosi tylko dwadzieścia setnych grama. Widać na nim popiersie księcia z brodą, w prawej ręce książę trzyma miecz, a w lewej gałązkę palmową. Tło zdobią trzy gwiazdy i napis IACZA DE COPNIC.

Ta cieniuteńka moneta sprawiała uczonym niemieckim mnóstwo kłopotów, hitlerowscy rabusie szukali jej po wszystkich polskich muzeach i prywatnych kolekcjach, aby ją zniszczyć i w ten sposób wymazać z pamięci fakt, że przed ośmiuset laty w dzisiejszej dzielnicy Köpenick ośmielał się mieć gród słowiański książę imieniem Jaksza.

I oto tajemnicza kobieta chciała „brakteat Jakszy” sprzedać łódzkiemu muzeum. Jakimi drogami trafił on do jej rąk? Kim był ten „ktoś”, co posiadał tak rzadkie i bezcenne monety?

A ów zadziwiający telefon do Marczaka w sprawie złotego dukata Władysława Łokietka? Jeśli ta kobieta nie kłamała, oczekiwała nas kolejna rewelacja, jeszcze większa od tej, jaką była sprzedaż denara „Gnezdun civitas”. Sto tysięcy złotych, których żądała kobieta, było niczym w porównaniu z tym, co otrzymałaby na zagranicznych aukcjach numizmatycznych. Może więc rzeczywiście za tymi telefonami i propozycjami krył się ktoś uczciwy, kto po prostu znalazł się w trudnościach finansowych i za dostępną muzeom cenę chciał się rozstać z niektórymi okazami swej kolekcji?

Drugi egzemplarz dukata Łokietka?... Nie, to było zbyt fantastyczne...

Trzeba bowiem wiedzieć, że przez wiele lat panowało w naszej nauce przekonanie, że Polska w pierwszych wiekach istnienia nie miała w ogóle własnej złotej monety. Dopiero rok tysiąc osiemset czterdziesty siódmy odmienił to przekonanie.

W Bośni, pod Krakowem, miejscowy złotnik kupił od robotników, pracujących przy wykopie ziemi, znaną przez nich złotą monetę. Przeznaczył ją na stopienie i już miał zamiar wrzucić do tygla, gdy zwrócił na nią uwagę odwiedzający złotnika ziemianin Niedzielski z pobliskich Sędziejowic. On to odkupił od złotnika złotą monetę za sześć guldenów. Moneta ta okazała się być złotym dukatem Władysława Łokietka, wybitym prawdopodobnie dla uczczenia jego koronacji w tysiąc trzysta dwudziestym roku.

Złoty dukat Łokietka odkupił potem Emeryk Czapski i wraz ze swoimi ogromnymi zbiorami zapisał Muzeum Narodowemu w Krakowie, gdzie znajduje się do dzisiaj. Jest to jedyny egzemplarz na całym świecie.

Właśnie ze względu na jego rzadkość do dziś wśród uczonych numizmatyków toczy się spór, czy dukat Łokietka był monetą obiegową, czy też po prostu próbną edycją, wybitą z okazji uroczystości koronacyjnych.

Prawdopodobnie wybito takich monet tylko kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt.



Jeden egzemplarz! Iluż kolekcjonerów na całym świecie oddałoby majątek za zdobycie takiego okazu...

W świecie numizmatyków i kolekcjonerów pojawiały się od czasu do czasu wieści, że ktoś tam, gdzie tam, widział drugi egzemplarz dukata Władysława Łokietka. Nawet na łamy „Wiadomości numizmatycznych” przenikały sensacyjne wieści o drugim egzemplarzu tej niezwyklej monety. Ale fachowcy muzealnicy raczej tylko wzruszali ramionami. Istnienie drugiego egzemplarza wydawało się podobne do wiadomości o himalajskim Yeti. Ten i ów widział, ale namacalnych dowodów wciąż brakowało.

I teraz oto tajemnicza pani zaproponowała dyrektorowi Marczakowi sprzedaż drugiego egzemplarza złotego dukata. Czy był to żart? Czy naprawdę istniał drugi egzemplarz?

Jasna była tylko moja rola w tej historii. Miałem odkryć, skąd pojawiły się rzadkie polskie monety. Ale instrukcje otrzymane od dyrektora Marczaka bardzo zawężyły zakres mojej działalności. W Łodzi — jak ogar gończy — miałem wpaść na trop tajemniczego sprzedawcy, nie wolno mi jednak było utrudnić dokonania transakcji. Innymi słowy, miałem być tylko świadkiem aktu zakupu „brakteatu Jaksy” z Kopanicy.

Czasu miałem dosyć. Najpierw więc skontaktowałem się z kustoszem gabinetu numizmatycznego w Łodzi, panem A.G., wielkim znawcą wszelkich spraw związanych z polskimi monetami, autorem wielu prac z tej dziedziny. Umówiliśmy się, że do kawiarni „Honoratka” przyjdziemy oddzielnie. Usiądziemy przy różnych stolikach, kustosz dokona transakcji, a ja pozostanę obserwatorem. Potem zamierzałem pójść w ślad za panią, która sprzedała „brakteat Jaksy”.

W „Honoratce” znalazłem się już na pół godziny przed wyznaczonym terminem spotkania i zająłem stolik przy drzwiach. Każdy, kto wchodził lub wychodził z kawiarni, musiał przejść obok mnie. Zresztą, niewielka to kawiarnia: jedna mała salka z kilkunastoma stoliczkami. Wieczorem przebywają tu zazwyczaj ludzie ze środowisk artystycznych, przeważnie ze świata aktorskiego i filmowego, w Łodzi bowiem mieści się największa w Polsce wytwórnia filmów fabularnych. Tu także zobaczyć można wieczorem mnóstwo ładnych dziewcząt i chłopców ze szkół artystycznych. Kawiarnia ta słynie ze znakomitej kawy i doskonałej herbaty, świetnego sernika i smacznej szarlotki. Większość bywalców zna się tu osobiście albo z widzenia, czas odmierza staroświecki duży zegar z kukułką.

Dziesięć minut przed ósmą przyszedł kustosz gabinetu numizmatycznego. Usiadł na kanapce przy trzecim stoliku ode mnie i aby skrócić sobie czas oczekiwania na tajemniczą panią, zajął się wertowaniem jakiegoś naukowego czasopisma.

Zegar wykukał ósmą. Kustosz przeglądał czasopismo naukowe, a ja wlepiłem oczy w drzwi, oczekując, że lada chwila otworzą się i pojawi się w nich tajemnicza dama.

I drzwi otworzyły się...

Lecz zamiast damy wszedł mój dawny kolega ze studiów, Waldemar Batura. Rozejrzał się po kawiarni, dostrzegł mnie i uklonił się grzecznie. Następnie zbliżył się do telefonu stojącego na bufecie, nakręcił numer i krótką chwilę z kimś rozmawiał. Można było pomyśleć, że wszedł do kawiarni, aby skorzystać z telefonu.

Lecz skończywszy rozmowę Waldemar Batura zdjął z siebie płaszcz, powiesił go na wieszaku i podszedł do mojego stolika.

— Dobry wieczór, drogi Tomaszu — powiedział. — Co robisz w Łodzi? Nie widzieliśmy się chyba z tysiąc lat. Czy można się do ciebie dosiąść?

— Proszę cię — odpowiedziałem uprzejmie. Albowiem domyślałem się już, że tajemnicza dama nie przyjdzie na spotkanie z kustoszem. Powiedziała mi o tym obecność Waldemara Batury.

Kim był Waldek Batura? Szczupłym, średniego wzrostu smagłym brunetem o gładko zaczesanych włosach. Miał twarz delikatną i piękną jak kobieta. Dawniej nosił małe, wytworne wąsiki, teraz jednak był starannie wygolony.

Na studiach uczył się świetnie. Uważano go — i nie bez podstaw — za najzdolniejszego studenta na naszym roku. Posiadał ogromny zasób wiedzy z historii sztuki, a także historii, a przy tym, podobnie jak i ja, odznaczał się detektywistyczną żyłką. Pamiętam, że jeszcze na ostatnim roku studiów wspólnie rozwiązaliśmy kilka ciekawych zagadek historycznych i wykryliśmy fałszerstwo znanego obrazu słynnego malarza.

Potem nasze drogi rozeszły się. Rozpoczęliśmy pracę w prowincjonalnych muzeach. Wkrótce dowiedziałem się, że Batura porzucił posadę i nazwisko jego stało się bardzo znane w środowisku handlarzy antyków nie tylko polskich, ale i zagranicznych. Batura kilkakrotnie wyjeżdżał za granicę, do Włoch, Anglii i Niemiec Zachodnich, aby — jak twierdził — pogłębić swoje studia nad starą architekturą. W rzeczywistości prawdopodobnie wciąż zajmował się handlem antykami. Powodziło mu się zresztą świetnie, ubierał się elegancko, miał zawsze najnowocześniejszy samochód. Był bardzo sprytny, brał się tylko do spraw, w których granica między przestępstwem a czynem uczciwym przebiegała w sposób mało uchwytny i jak dotąd tylko raz — i to z mojego powodu — popadł wyraźnie w konflikt z prawem. Tak się jednak chytrze urządził, że odpowiadał nie za faktyczne przestępstwo, ale za drobny incydent związany z tym przestępstwem. Usiłował zdobyć ogromny zbiór bezcennych masońskich zabytków, a udowodniono mu zaledwie... wyłamanie kilku desek w podłozie starego dworu.

Co do mnie — zawsze uważałem Baturę za umysłowość nieprzeciętną, za wielkiego znawcę antyków i dzieł sztuki, znakomitego detektywa. Gdybym miał w nim przyjaciela lub współpracownika, pewien jestem, że żadna z wielkich zagadek, związanych z zaginionymi zbiorami, nie pozostałaby nie rozwikłana. Ale Batura bardzo lubił pieniądze, wytworne stroje i wystawne życie, czego nie mogła mu zapewnić skromna pensja muzealnika. Dlatego miałem w nim nie przyjaciela, ale przeciwnika. I to przeciwnika nietuzinkowego, indywidualność o niezwyklej inteligencji i sprycie.

I dlatego też, gdy tylko wszedł do „Honoratki”, domyśliłem się, że transakcja nie dojdzie do skutku. Jego zjawienie się w kawiarni nie mogło być przypadkowe. To on krył się za sprawą tych rzadkich monet sprzedawanych naszym muzeom.

— Czy napijesz się kawy? — zapytałem uprzejmie.

— Naturalnie — uśmiechnął się. — Przecież w tym celu przyszedłem do kawiarni.

— Tak? Sądziłem, że wszedłeś tutaj, aby rozejrzeć się, czy jest już kustosz i można bezpiecznie dokonać transakcji. A gdy przekonałeś się, że i ja tutaj przebywam, a więc kustosz jest obstawiony, zadzwoniłeś do pewnej pani, która tu miała przyjść, i odwołałeś całą sprawę.

— O czym ty mówisz, Tomaszu? O jakiej transakcji? O jakiej pani?

— Przecież to ty znasz tę panią, a nie ja — odrzekłem. — Ty również masz „brakteat Jaksy” z Kopanicy.

— „Brakteat Jaksy”? Drogi Tomaszu, raczysz żartować. To bardzo rzadka moneta, a ja, jak wiesz, nie jestem kolekcjonerem.

— Czy naprawdę posiadasz dukat Łokietka? — zapytałem, pomijając milczeniem jego wykręty.

Westchnął ciężko.

— Co z tobą, Tomaszu? Czyżbyś i ty wierzył, że istnieje drugi egzemplarz tego dukata?

— Wyobraź sobie, Waldku, że jakaś kobieta zaproponowała telefonicznie dyrektorowi Marczakowi sprzedaż tego dukata. Za sto tysięcy. Jak sądzisz, czy to nie dowcip?

Batura zastanowił się chwilę. Dla mnie było bardzo ważne, co odpowie na to pytanie. Jeśli zacznie drwić, będzie to znaczyło, że chyba nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Jeśli jednak poważnie się do niej odniesie, zyskam niemal pewność o jego udziale w historii z monetami.

— Złoty dukat? Drugi egzemplarz dukata? — rozważał głośno Batura. — No cóż, taki żart ma bardzo krótkie nogi. Przy pierwszej konfrontacji weźmie w łeb. Od dawna przecież krążyły wieści, że istnieje drugi egzemplarz dukata Łokietka. Może więc ten ktoś, kto go posiada, chce wam sprzedać? Suma nie jest wielka, biorąc pod uwagę tak rzadką monetę.

— Dlaczego zaproponowano sto tysięcy, a nie milion? — zapytałem.

— Nie wiem, bo niby skąd mogę wiedzieć? Przypuszczam jednak, że ten ktoś jest realistą. Zdaje sobie sprawę, że muzea nie dysponują wielkimi budżetami. Za sto tysięcy złotych muzea mogą kupić drugi egzemplarz dukata, a za milion nie kupią, bo miliona nie mają.

— Dlaczego więc nie sprzeda go za granicą? Otrzymałby za niego taką sumę, że mógłby spokojnie żyć przez wiele lat. Przemycić dukat nie byłoby trudno: jest cienki jak papier, a ma wielkość paznokcia.

— Nie wiem, Tomaszu — wzruszył ramionami Batura. — Pytasz mnie jak jasnowidza. A mnie trudno odpowiadać w czyimś imieniu.

Nie dawałem za wygraną.

— A ty, Waldku? Co ty zrobiłbyś, gdybyś był w posiadaniu złotego dukata Łokietka? Jestem przekonany, że zamiast oddać za sto tysięcy złotych, wywiózłbyś go za granicę i sprzedał na jakiejś międzynarodowej aukcji za sto tysięcy dolarów.

Batura przecząco pokręcił głową.

— Mylisz się, Tomaszu. Wiem, że uważasz mnie za łajdaka, ponieważ dla ciebie każdy zabytek to świętość narodowa, a ja ośmielam się handlować tymi świętościami. Ale to nie takie proste. Mogę handlować starymi lampami naftowymi, starymi szablami i stylowymi meblami, ale to nie znaczy wcale, że gdybym posiadał rzecz naprawdę bezcenną dla narodu, jak drugi egzemplarz dukata, sprzedałbym ją za granicą. Też jestem patriotą, Tomaszu, choć trochę innym niż ty. I wierz mi: gdybym wiedział, że istnieje ktoś, kto rzecz naprawdę bezcenną pragnie sprzedać obcym, wywieźć z naszego kraju, oddałbym go w ręce milicji. Co nie znaczy, Tomaszu, że w dalszym ciągu nie będę handlował starymi lampami naftowymi, meblami lub pośredniczył w sprzedaży starych ikon. Pamiętaj: jestem zdolny do tego, co w twoim pojęciu jest nieuczciwością, ale nie zamierzam stać się łajdakiem.

Tak mówił Waldek Batura i szczerłość brzmiała w jego głosie.

Kącikiem oczu obserwowałem kustosza. Nie mogąc doczekać się tajemniczej kobiety z brakteatem, złożył wreszcie swoje naukowe pismo, zapłacił za kawę i opuścił kawiarnię. Zapewne podobnie jak i ja doszedł do wniosku, że tajemnicza kobieta nie przyjdzie i transakcja nie dojdzie do skutku.

Przez chwilę pomyślałem, że należy przerwać rozmowę z Baturą, pójść za kustoszem i omówić z nim nową sytuację. Ale doszedłem do wniosku, że kontynuowanie rozmowy z Baturą przynieść może więcej korzyści. Jeśli upewnię się, że to on kryje się za sprawą tych monet, moje zadanie zostanie spełnione, wpadnę na poszukiwany trop. Zresztą, do kustosza mogłem zadzwonić po skończeniu rozmowy z Baturą i umówić się z nim na wypadek, gdyby ta kobieta od brakteatu znowu się z nim skontaktowała i wyznaczyła jakiś inny dzień i inne miejsce na spotkanie.

— Chciałbym ci wierzyć — powiedziałem do Batury. — A poza tym, nie widzę powodów do ukrywania celu mojego przyjazdu do Łodzi. Naszym muzeom w ostatnim czasie zaoferowano do kupna kilka bardzo rzadkich monet polskich: denar Mieszka I, denar „Gnez-dun civitas”, „brakteat Jaksy” z Kopanicy. I, jeśli wierzyć telefonowi, złoty dukat Łokietka.

— Czy ceny wydały się wam zbyt wygórowane?

— Och nie. Zaoferowano je nawet bardzo tanio. Dlatego zakupiono już denar Mieszka I i denar „Gnezdun civitas”. Dziś, tutaj, w „Honoratce” miała być dokonana trzecia transakcja: kupno „brakteatu Jaksy”. Ale kobieta, która oferowała ten brakteat, nie przysłała na spotkanie. Natomiast zjawiłeś się ty, Waldku...

— Rozumiem. Podejrzewasz, że ja w tej sprawie maczam palce — pokiwał głową.

— Transakcje, które doszły do skutku, dokonane zostały przez osoby podstawione. Ktoś się kryje za tą sprawą.

— Kto?

— Ty. Oczywiście ty.

Waldek roześmiał się.

— Jesteś zartownisiem, Tomaszu. Czy sądzisz, że raptem wykopałem z ziemi jakiś skarb?

— Tak nie myślę. Wśród monet, jakie od czasu do czasu wyorują z ziemi rolnicy, może znaleźć się jakaś jedna rzadka, w powodzi innych, małowartościowych. Trudno uwierzyć, aby w takim skarbie, obok denara Mieszka I i denara „Gnezdun civitas”, znalazł się również „brakteat Jaksy” i złoty dukat Łokietka.

— Więc sądzisz, że ukradłem gdzieś te monety?

— Nie. Po prostu wszedłem w posiadanie jakiejś bardzo ciekawej, zaginionej podczas wojny, kolekcji starych monet. Oczywiście jestem ci bardzo zobowiązany za to, że nie usiłowałeś przeszwarcować ich za granicę, a zaoferowałeś je naszym muzeum.

— Nie masz żadnej pewności, że to ja kryję się za tą sprawą.

— Jutro, Waldku, będę już wiedział, z czyjej kolekcji pochodzą te monety. Nasz departament posiada prawie pełny rejestr wszystkich wybitnych kolekcjonerów i spis ich kolekcji, tych sprzed wojny i po wojnie. Nie tak wielu kolekcjonerów szczyliło się posiadaniem „brakteatu Jaksy”.

Blefowałem. Nasze rejestry były bardzo skąpe. Wielu prywatnych kolekcjonerów okrywało tajemnicą swoje zbiory.

Czy Batura zdawał sobie z tego sprawę?

Powiedział:

— Nie bardzo rozumiem powód twojego śledztwa. Nawet jeśli masz rację i te monety pochodzą ze zbioru jakiegoś słynnego kolekcjonera, to przecież nie jest wykluczone, że ten właśnie kolekcjoner teraz się pozbywa niektórych okazów, być może podwójnych.

— Nie wierzę, aby ktoś posiadał aż dwa denary „Gnezdun civitas” i dwa egzemplarze dukata Łokietka.

— Albo w czasie wojny pozbył się swej kolekcji i trafiła ona w inne ręce? Iluż ludzi w warunkach wojennych znalazło się w tak ciężkiej sytuacji, że gotowych było za kawałek chleba oddać najcenniejsze okazy ze swoich zbiorów? Czy w czasie wojny przeróżni paskarze nie kupowali nawet Rubensów za kawałek masła?

— Tak. Prawda — zgodziłem się. — I my nie chcemy specjalnie wnikać w te wszystkie sprawy, zresztą bardzo skomplikowane ze względu na minione warunki wojenne. Ale nabywając jakieś bezcenne zabytki pragniemy jednak wiedzieć, skąd one pochodzą. Błędem byłoby przypuszczać, że moje śledztwo ma doprowadzić do wykrycia jakiegoś spisku, szajki czy bandy złoczyńców i spowodować ich aresztowanie. Po prostu musimy poznać prawdziwe źródło, kapiące bezcennymi monetami. Być może ten tajemniczy „ktoś” ma znacznie więcej bardzo cennych monet, a sprzedaje je nam po jednej, po dwie, po trzy. Może uda się nam z nim skontaktować i zakupić cały zbiór? Nie wszystkie nasze muzea mają gabinety numizmatyczne.

— I sądzisz, że tym tajemniczym „ktoś” jestem ja? — rzekł Batura.

— Tak — odpowiedziałem. — Tylko zastanawia mnie jedno: na co liczył tajemniczy „ktoś” oferując w tak krótkim czasie aż kilka bezcennych monet? Przecież musiał przypuszczać, że to wzbudzi podejrzenia w naszym departamencie.

Batura roześmiał się i odrzekł beczelnie:

— Może potrzebował pieniędzy? A może sądził, że ty i na sierpień pozostaniesz we Francji, a tę sprawę dyrektor Marczak powierzy, na przykład, magistrowi Pietruszce?

— Dziękuję ci za słowa uznania — powiedziałem.

Zegar w „Honoratce” zakukał dziewięć razy. Pora była kończyć rozmowę i wracać do Warszawy. Przeprosiłem na chwilę Baturę i podszedłem do telefonu. Połączyłem się z prywatnym mieszkaniem kustosa.

— Co?! Co się stało?! — krzyknąłem w słuchawkę, bo to, co usłyszałem od kustosa wydawało się wprost niewiarygodne.

Gdy kustosz wracał do domu po nieudanym spotkaniu, tuż przy drzwiach na klatkę schodową, prowadzącą do jego mieszkania, natknął się na mężczyznę, który powiedział, że przychodzi w imieniu tej pani, która, niestety, nie mogła przyjść do kawiarni na spotkanie, ponieważ zachorowała. Ten pan wyjaśnił, że ma ze sobą „brakteat Jaksy” i transakcja może natychmiast dojść do skutku. Kustosz miał nakaz dokonania zakupu, zaprosił więc tajemniczego osobnika do siebie, obejrzał monetę, stwierdził jej autentyczność i po spisaniu personaliów osobnika, wypłacił mu żadaną sumę. Właśnie przed chwilą człowiek ten, zapewne osoba również podstawiona, opuścił mieszkanie kustosa.

— Zaraz będę u pana — rzuciłem do telefonu.

I wróciłem do stolika, gdzie wciąż jeszcze siedział Waldek Batura. Spojrzałem na niego ponuro.

— Tym razem twoje na wierzchu, Waldek — stwierdziłem.

— Czy stało się coś złego? — zainteresował się.

— Kustosz zakupił „brakteat Jaksy”. Wszystko więc jest w najlepszym porządku. Ale ja nie lubię, kiedy robi się ze mnie durnia. Uważam, że rzuciłeś mi rękawicę. Przyjmuję ją. I myślę, że się jeszcze spotkamy...

Podaliśmy sobie rękę. Albowiem mimo wszystko pełen byłem podziwu dla jego sprytu. Zresztą, szanując naszych przeciwników, okazujemy szacunek także dla samych siebie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

ZAGADKI PUŁKOWNIKA KOENIGA · TRZY SKRYTKI ZE SKARBAMI · CO  
ODKRYŁ MAGISTER PIETRUSZKA · OKO W OKO ZE SKARBAMI · NIEZWYKŁA  
KOLEKCJA · LEKCJA RACHUNKÓW · HISTORIA O BOGACZU, KRZYŻU Z  
DIAMENTAMI I ZŁODZIEJU · ILE ZNALEZIONO MONET · JAK UKRAŚĆ, ABY NIC  
NIE BRAKOWAŁO · CO ZGINIE Z DRUGIEGO I TRZECIEGO SCHOWKA ·  
WYJEŻDŻAM DO FROMBORKA

Nazajutrz w skrzynce pocztowej w moim mieszkaniu w Warszawie znalazłem list od mojego młodego przyjaciela, przewiskiem „Baśka”, bo z urody przypominał dziewczynkę. Chłopiec pisał do mnie:

„Drogi panie Tomaszu!

Jeśli powrócił Pan już z Francji, niech Pan natychmiast wsiada w swój wehikuł i przyjeżdża do Fromborka, gdzie przebywam na obozie harcerskim nr 2 nad Zalewem Wiślanym. Jestem tutaj już od końca czerwca, biorąc udział w akcji „Frombork 1001”, to znaczy porządkuję gród Kopernika. Może nawet i do Francji dotarła przez prasę, wiadomość o fromborskiej zagadce, ale najlepiej będzie, jeśli sam tę historią Panu opiszą, gdyż prasa przemilczała jeden drobny szczegół, a o drugim — odnalezieniu schowka ze skarbami — nic publicznie nie wiadomo, gdyż tę sprawę trzyma w tajemnicy pan mgr Pietruszka. Ten pierwszy szczegół to fakt, że to moja drużyna harcerska, uprzątając gruzy zrujnowanej kamieniczki w pobliżu portu, trafiła na szkielet ludzki z czasów wojny. Na szkielecie były resztki hitlerowskiego munduru, a w obok leżącej blaszanej puszcze — dokumenty, zupełnie dobrze zachowane. Okazało się, że należały one do pułkownika SS, Gustawa Koeniga. Jak dowiedzieliśmy się później, Gustaw Koenig był dowódcą specjalnej grupy zajmującej się rabunkiem i wywożeniem do Niemiec dzieł sztuki grabionych przez hitlerowców w krajach przez nich okupowanych, a przede wszystkim w Polsce. Nic więc dziwnego, że wszystko, co przy nim odkryto, musiało obudzić zainteresowanie władz. My byliśmy znalazcami i dlatego w pierwszym okresie dopuszczono nas do tajemnicy, ale potem, gdy przyjechał pan magister Pietruszka, zlekceważono naszą pomoc i w ogóle zabroniono nam się wtrącać w te tajemnicze sprawy. A trzeba Panu wiedzieć, Panie Tomaszu, że oprócz swoich dokumentów wojskowych, miał przy sobie Koenig ciekawy, starannie przechowany papier, coś w rodzaju planu. Sporządziłem sobie odpis tego dokumentu, i to wielkie szczęście, bo teraz pan Pietruszka przenigdy chyba nie dałby mi go do rąk.

A ów dokument tak wyglądał:

U dołu dokumentu widniał napis: Frauenburg 11.II.45. Oczywiście cały ten dokument był napisany po niemiecku i został przetłumaczony na polski, z tym, że pozostawiłem z oryginału ów „Teufelb”, bo jak to przetłumaczyć? „diabeł b”? To przecież nic nie znaczy, prawda?

Nie ulega wątpliwości, że dokument ten spisany został we Fromborku (Frauenburg to niemiecka nazwa Fromborka) jedenastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Ta data ma pewne znaczenie. Otóż, jak dowiedziałem się, właśnie jedenastego lutego nastąpiła ofensywa wojsk radzieckich, zgrupowanych w okolicach pobliskiego Tolkmicka. W wyniku tej ofensywy Frombork został wyzwolony spod władzy faszystów. A więc sporządzono ów dokument w chwili, gdy los Fromborka był przesądzony. Pan zresztą chyba

wie, jak ciężkie tu toczyły się boje z hitlerowcami. Słyszał Pan pewnie o przyczółku braniewskim, o tragedii na Zalewie Wiślanym, o silnie ufortyfikowanych punktach oporu, gdzie hitlerowcy bronili się długo i zaciekle niemal do końca wojny.

Każdemu, kto oglądał dokument Koeniga, od razu nasuwało się przekonanie, że dotyczy on miejsca ukrycia zrabowanych przez niego przedmiotów, zresztą wyszczególnionych w spisie. Gustaw Koenig wraz ze swym łupem znalazł się we Fromborku, zapewne licząc na to, że uda mu się wyjechać stąd morską drogą. Lecz zapewne droga przez potrząskany bombami łódź na zalewie była zbyt niebezpieczna, poza tym nastąpiła nagła ofensywa radziecka, i Koenig pośpiesznie ukrył swój łup aż w trzech kryjówkach. Potem sporządził plan, dla niego tylko zrozumiały. Liczył na to, że gdy Niemcy tu znowu wrócą, to on łup swój odnajdzie i zabierze. A skoro plan swój sporządził we Fromborku, to chyba i tutaj ukrył swoje skarby.

Ponieważ Pan przebywał we Francji, usiłowałem sam zająć się rozszyfrowaniem planu Koeniga. Niestety, nie udało mi się to. Wreszcie zjawił się magister Pietruszka, Pana kolega z Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków. Wyznaję, że zrobił na mnie bardzo złe wrażenie (może dlatego, że wyrażał się o Panu z pewnym lekceważeniem), nie wierzyłem, aby zdolny był rozszyfrować plan Koeniga. Lecz, o dziwo, po tygodniu trafił na pierwszą kryjówkę.

Och, jakże proste okazało się wyjaśnienie pierwszej zagadki.

Prostokąt z krzyżykami... Przecież właśnie w ten sposób na planach zaznacza się cmentarz. Litery „H” i „A” to „Haupt Alee”, czyli główna aleja na cmentarzu. „37” to numer grobu po prawej stronie, bo „R” to nic innego jak „Rechts”, czyli „na prawo”.

I tak było. Kryjówka znajdowała się, pod płytą trzydziestego siódmego grobowca w głównej alei cmentarnej po prawej stronie.

Nie byliśmy przy otwarciu kryjówki, bo magister Pietruszka zrobił to nocą, aby nie wywoływać sensacji. Znalezione przedmioty natychmiast odwieziono do Warszawy. Nawet do prasy nie podano żadnej informacji na ten temat, żeby uniknąć najazdu ciekawskich i nie spowodować trudności przy poszukiwaniu dalszych schowków.

Ale od pierwszego odkrycia minęły już dwa tygodnie, a mgr Pietruszka nie znalazł ani drugiego, ani trzeciego schowka. Kopał w kilku miejscach, niestety, bez rezultatu. Jest w coraz gorszym humorze, a gdy mu napomknąłem, że wkrótce Pan powróci z Francji i chyba Pana przyślą do Fromborka, to pan Pietruszka bardzo się rozgniewał i nazwał mnie pańskim szpiegiem. Powiedział, że sam znajdzie pozostałe kryjówki, ale to musi jeszcze potrwać czas jakiś. A ja myślę, że on na tę pierwszą kryjówkę natrafił przez przypadek i nie ma nadziei, aby resztę rzeczy odnalazł. Więc piszę o tym do Pana, aby Pan, Panie Tomaszu, przyjechał do Fromborka i zajął się rozwikłaniem zagadki.

Ściskam serdecznie dłoń, Baśka”

Przeczytałem ten list kilkakrotnie z największą uwagą. A potem zadzwoniłem do dyrektora Muzeum Narodowego i poprosiłem go o pokazanie skarbów, które odnalazł kolega Pietruszka.

Z dyrektorem muzeum znamy się od dawna, wydaje mi się, że po swojemu ceni on moje skłonności detektywistyczne, które poświęciłem sprawie ochrony zabytków kultury. On sam bardzo wiele zrobił dla zabezpieczenia naszych skarbów narodowych i jest wielkim wrogiem handlarzy antyków, a przede wszystkim mają w nim zacieklego przeciwnika ci wszyscy, którzy pod różnymi pozorami usiłują nasze skarby narodowe wywieźć za granicę. Wydaje mi się, że gdyby to było w jego mocy, zabroniłby handlu zabytkami, a wszystkie istniejące w Polsce stare zamki i pałace zamieniłby w muzea. Z takim człowiekiem nietrudno mi było się



porozumieć i dlatego już w godzinę później w piwnicach Muzeum Narodowego oglądałem skarby odkryte we Fromborku.

Muszę przyznać, że Pietruszka zaimponował mi, a nawet przez chwilę ogarnęło mnie wstrętne uczucie zazdrości.

W pierwszej kryjówce Koeniga odnalazł dwanaście obrazów bardzo znanych polskich i holenderskich malarzy, jak się teraz okazało, zrabowanych przez Koeniga w warszawskim getcie. Obrazy te przetrwały w grobowcu w dobrym stanie. Podobnie dobrze zachowały się cztery ikony. Pochodziły z siedemnastego wieku, nad ustaleniem miejsca, skąd je zrabowano, pracowali właśnie eksperci z Muzeum Narodowego. Przypuszczano, że hitlerowcy skradli je z muzeum w Kijowie i — jeśli ta hipoteza okazałaby się słuszna — zamierzano ikony zwrócić Ukraińskiej Republice. I w tej bowiem dziedzinie istnieje ścisła współpraca między krajami socjalistycznymi. Tak na przykład Związek Radziecki przekazał nam wiele naszych skarbów narodowych, starych druków i obrazów, odnalezionych przez rosyjskich żołnierzy na terenie Niemiec. My zaś ze swej strony staramy się w ręce prawowitych właścicieli przekazać znalezione u nas skarby kultury innych narodów.

W pierwszej kryjówce Koeniga Pietruszka odkrył — oprócz obrazów i ikon — trzynaście rzeźb drewnianych, gotyckich i barokowych, ukradzionych z kościołów. Fachowcy z Muzeum Narodowego również starali się ustalić miejsca, z których zostały zrabowane. Podobnie przedstawiała się sprawa z dwiema złotymi monstrancjami kościelnymi, które ukrył w grobowcu pułkownik Koenig.

I monety. Wspaniała kolekcja polskich monet, począwszy od monet piastowskich wczesnośredniowiecznych, poprzez monety okresu groszowego i renesansowe, okresu złotowego, aż do późnorenesansowych monet Wazów, monet barokowych i monet okresu oświecenia. Nie ulegało wątpliwości, że pułkownik Koenig wszedł w posiadanie czyichś prywatnych zbiorów, uprzednio zamordowawszy kolekcjonera lub wtrąciwszy go do obozu zagłady.

— Piękną kolekcję polskich monet miał przed wojną znany numizmatyk, Feliks Modrzyński z Warszawy — powiedział profesor, który towarzyszył mi przy przeglądzie skarbów z grobowca. — Istnieją przypuszczenia, że to właśnie jest część tych zbiorów. Jego kolekcja liczyła ponad tysiąc dwieście monet polskich i obcych.

— A jakie były losy Modrzyńskiego? — zapytałem.

— Wkrótce po zajęciu Warszawy przez hitlerowców aresztowano go i wraz z całą rodziną zesłano do obozu gdzie zginął. Losy jego zbiorów nie są znane. Prawdopodobnie ci, którzy aresztowali Modrzyńskiego, zrabowali jego kolekcję. Być może rabusie podzielili się łupem i pułkownikowi Koenigowi przypadł w udziale zbiór polskich monet. Albo, co jest też prawdopodobne, Koenig odkupił część zbioru od jakiegoś rabusia z gestapo.

— Ile jest tych monet?

— Dokładnie sto czterdzieści siedem sztuk — odrzekł profesor.

Zajrzałem do listu, który dziś rano otrzymałem z Fromborka.

— Powinno być sto pięćdziesiąt monet. Koenig zanotował, że tyle sztuk ukrył w grobowcu.

— I było sto pięćdziesiąt. Ale odrzuciliśmy trzy bezwartościowe niemieckie fenigi.

— Skąd się wzięły trzy fenigi w kolekcji najcenniejszych polskich monet? — zdziwiłem się.

— Trzeba by o to zapytać pułkownika Koeniga. Lecz on już nic nigdy nikomu nie wyjaśni — pokiwał głową profesor.

— A na jakiej podstawie sądzicie, że zbiór odkryty w grobowcu jest częścią kolekcji Feliksa Modrzyńskiego?

— Znajduje się tu kilka monet o charakterze unikalnym, jak na przykład specjalna odmiana denara „Walka ze smokiem”. Wiadomo, że miał je tylko Modrzyński w swoich zbiorach. A skoro te same monety znalazły się w schowku Koeniga, wniosek sam się narzucił. Zresztą, proszę, tu jest pełny spis monet z grobowca — profesor podał mi dużą kartkę papieru, na której wyszczególniono wszystkie sto czterdzieści siedem monet.

Przejrzałem pobieżnie spis. Tego, czego szukałem, nie znalazłem.

— Brakuje „brakteatu Jaksy” z Kopanicy. Wiadomo na pewno, że posiadał go Modrzyński w swej kolekcji — stwierdziłem. Brakuje również denara Mieszka I, który podobno miał Modrzyński. Mówiono, że posiadał on również drugi egzemplarz denara z napisem „Gnezdun civitas”.

Profesor wzruszył ramionami.

— Kolekcja Modrzyńskiego liczyła tysiąc dwieście sztuk monet polskich i zagranicznych. Trudno powiedzieć, ile sztuk z tego zbioru przepadło na zawsze. Faktem jest, że Koenig zdobył tylko sto czterdzieści siedem sztuk z kolekcji polskiej, bo tyle znaleziono w jego schowku. Brakuje „brakteatu Jaksy”, brakuje denara Mieszka I, być może, brakuje jeszcze wielu innych ciekawych monet polskich.

Skinąłem głową, że doceniam argumentację profesora.

Ale przecież wciąż pamiętałem, że muzeum w Łodzi w ostatnich dniach nabyło „brakteat Jaksy” z Kopanicy, a dwa inne muzea kupiły denar Mieszka I i denar „Gnezdun civitas”.

Podziękowałem profesorowi za pokazanie mi skarbów ze schowka Koeniga i pomaszerowałem do Ministerstwa Kultury i Sztuki, do dyrektora Marczaka.

Dyrektor był już chyba poinformowany telefonicznie o tym, co stało się wczoraj w Łodzi, bo przyjął mnie bardzo chłodno.

— I co? Nie udało się? — rzekł do mnie na przywitanie. — Siedział pan sobie w kawiarni popijając kawkę, a w tym samym czasie tajemnicza dama sprzedała kustoszowi „brakteat Jaksy”. Pan zaś nie powąchał nawet perfum tej damy, nie mówiąc o tym, że nie trafił pan na jej ślad.

Uśmiechnąłem się, co jeszcze bardziej poirytowało Marczaka.

— A taki był pan pewien siebie — burknął.

— A jednak pan się myli — odrzekłem.

— Co? Ja się mylę? Relację z całej wczorajszej historii zdał mi już telefonicznie kustosz muzeum łódzkiego.

— A czy powiedział panu, z kim siedziałem w kawiarni?

— Nie.

— Szkoda. Bo ta informacja wyjaśnia wszystko. Otóż w kawiarni „Honoratka” spotkałem... Waldemara Baturę.

— Baturę? — dyrektor jakby nie dowierzał własnym uszom.

— A tak. Jestem pewien, że to on, przez podstawione osoby, sprzedał naszym muzeom bezcenne okazy monet. Dlatego poszukiwanie tajemniczej damy naprawdę nie ma już sensu.

— Batura... — mruknął zamyślony Marczak. Podobnie jak i ja, znał on dobrze spryt, inteligencję i wiedzę Waldka Batury. W starym dworze, gdzie kryły się zbiory masoników polskich, skrzyżowały się wtedy nasze tropy. Dyrektor Marczak brał wówczas udział w walce z Batura i zdawał sobie sprawę, że jest on niebezpiecznym przeciwnikiem.

— Skąd on ma te monety? — zastanawiał się głośno Marczak. — Głowę bym sobie dał uciąć, że zdobył je w sposób nieuczciwy. Do licha. Takich monet nie znajduje się na ulicy! Pan musi wyjaśnić tę zagadkę! — dyrektor aż uderzył dłonią w biurko i poczerwieniał na twarzy. — Podejrzewam, że kryje się za tym jakieś ogromne łajdactwo. Nie możemy dać się wykiwać Waldemarowi Baturze.

— Tak jest, panie dyrektorze — powiedziałem. — Dlatego proszę o delegację do Fromborka.

Marczak popatrzył na mnie z największym zdumieniem.

— Do Fromborka?... Tam już działa Pietruszka...

— Tam także kryje się rozwiązanie i tej zagadki — odparłem.

Dyrektor Marczak zaczął gniewnie wymachiwać rękami.

— Wszystko, tylko nie to. Nie, w żadnym razie! Czy pan sądzi, że ja nie domyślam się, do czego pan zmierza? Pozazdrościł pan Pietruszce jego sukcesów. Nie, panie Tomaszu. Frombork nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Prędzej gotów jestem wydać panu delegację służbową do Patagonii. Co sobie pomyśli Pietruszka? Że nie mam do niego zaufania!

— A jednak muszę pojechać do Fromborka — powtórzyłem z uporem.

A potem nabiłem fajkę i długo ją rozpalałem, czekając, aż dyrektor Marczak opanuje wzburzenie i da mi spokojnie dojść do głosu.

Stało się to po dłuższej chwili. Twarz dyrektora straciła czerwoną barwę, tylko oczy jego wciąż patrzyły na mnie surowo. Tak samo zabrzmiał jego głos.

— Słucham pana... — wyrzekł bardzo cicho, ale złowroźnie.

Pyknąłem z fajki i rzekłem:

— Zaczniemy od lekcji rachunków, panie dyrektorze...

— Tylko bez żartów — dyrektor znowu uderzył dłonią w biurko.

— To poważna sprawa — zastrzegłem się. I wyciągnąłem z kieszeni list od Baški. — A więc, panie dyrektorze, kolega Pietruszka dokonał we Fromborku odkrycia pierwszego schowka pułkownika Koeniga. Według danych samego Koeniga w grobowcu schował on dwanaście obrazów. Ile obrazów odnalazł Pietruszka?

— Dwanaście — odparł zaciekawiony dyrektor Marczak.

— Koenig ukrył w schowku cztery ikony. Ile ikon odnalazł Pietruszka?

— Cztery.

— Koenig ukrył trzynaście rzeźb. Ile rzeźb odnalazł Pietruszka?

— Trzynaście... — odparł Marczak, ale tym razem wzruszył ramionami.

— Dwie monstrancje ukrył Koenig i dwie monstrancje znalazł w grobowcu kolega Pietruszka. Ponadto Koenig schował w grobowcu sto pięćdziesiąt monet. Ile monet odnalazł kolega Pietruszka?

— Sto pięćdziesiąt sztuk.

— Nie, panie dyrektorze. Należy odjąć trzy bezwartościowe niemieckie fenigi. Pozostaje sto czterdzieści siedem polskich monet.

— No, powiedzmy... I co z tego wynika?

— Ile monet w ostatnich dniach sprzedał naszym muzeom tajemniczy „ktoś”?

Dyrektor Marczak wyciągnął przed siebie dłoń z rozcapierzonymi palcami i wyliczał, zginając palce:

— Denar Mieszka I to — jedna moneta. Denar „Gnezdun civitas” — to dwie monety. „Brakteat Jaksy” — to trzy monety. Trzy — stwierdził.

— I właśnie trzy sztuki brakują do liczby sto pięćdziesiąt. Bo tyleż monet powinno się było znaleźć w schowku Koeniga — rzuciłem tryumfująco.

Dyrektor Marczak chytrze przymrużył oczy.

— Zapomina pan o dukacie Łokietka, który również zaoferowano mi do kupna. A to już czwarta moneta. Coś się nie zgadza w pańskich rachunkach.

Tym razem to ja wzruszyłem lekceważąco ramionami.

— To był sprytny wybieg mający na celu ukrycie tej liczby: trzy. Nie istnieje drugi egzemplarz złotego dukata Łokietka. Gdyby rzeczywiście ktoś posiadał taki egzemplarz, przecież nie dzwoniłby do pana, ale zaproponowałby kupno jakiemuś konkretnemu muzeum. Głowę dam, że nie będzie drugiego telefonu w sprawie tego dukata. Pozostajmy więc tylko przy faktach. A faktem jest, że sprzedano nam trzy cenne okazy polskich monet. Grobowiec we Fromborku został obrabowany z tych trzech monet.

Dyrektor Marczak popatrzył na mnie jak na wariata.

A potem uderzył pięścią w stół.

— Co to za żarty, panie Tomaszu? W grobowcu było sto pięćdziesiąt monet, a nie sto czterdzieści siedem. Sto pięćdziesiąt, pan słyszy?

— Sto czterdzieści siedem — odparłem.

— Sto pięćdziesiąt! — krzyknął dyrektor Marczak.

— Sto czterdzieści siedem — powtórzyłem grzecznie.

— Sto pięćdziesiąt! — podniósł głos dyrektor Marczak.

I twarz jego znowu stała się purpurowa.

Czułem, że jeśli jeszcze raz powtórzę: „sto czterdzieści siedem”, on każe mi wyjść ze swojego gabinetu.

Westchnąłem ciężko. Wyrwałem z notatnika kartkę i wyrysowałem na niej duży krzyż.

— Czy pan dyrektor pozwoli, że dam mu do rozwiązania pewną zagadkę?

Na chwilę aż zaniemówił z gniewu. Ale zdołał się opanować. Doszedł mych uszu jego złowróżbny szept:

— Jestem człowiekiem bardzo zajęтым i nie przychodzę do biura, aby od swych pracowników wysłuchiwać zagadek.

— Tak jest, panie dyrektorze — przytaknąłem grzecznie. — Ale na ten raz niech pan zrobi wyjątek. Oto i zagadka: Żył, był pewien bogacz, któremu umarła żona. Wystawił on jej na cmentarzu wspaniałą pomnik z krzyżem przybranym diamentami. Tak wyglądał ten krzyż, a tak oto wtopiono w niego diamenty.

Bogacz ów bał się — ciągnąłem dalej — o swoje diamenty. Dlatego przychodził codziennie na cmentarz i liczył je. W jaki sposób? Z dołu do góry — jedenaście diamentów. Z dołu do końca prawego ramienia — jedenaście diamentów. I z dołu do lewego ramienia — jedenaście diamentów. Tak, panie dyrektorze? Sprawdził pan?

Zaciekawiony dyrektor Marczak końcem długopisu przeliczył diamenty na krzyżu.

— Zgadza się. W każdą stronę wychodzi jedenaście.

— Ale żył również sprytny złodziej. Bezczelnie ukradł dwa diamenty, choć bogacz nigdy się o tym nie dowiedział. Jak dawniej codziennie przychodził na cmentarz i liczył diamenty. Z dołu do góry — jedenaście. Z dołu przez prawe ramię. — jedenaście, przez lewe ramię również jedenaście. Ilość diamentów zgadzała się, a przecież dwa diamenty zostały skradzione.

— Ależ to nonsens! — pokręcił głową dyrektor Marczak. — Nie. mogło być wciąż jedenaście, skoro, jak pan twierdzi, ukradł dwa diamenty.

— Proszę. Oto, co zrobił złodziej. Ukradł po jednym diamencie z prawego i lewego ramienia. A pierwszy diament od góry przeniósł na sam dół krzyża. Ot, tak: I proszę liczyć, panie dyrektorze. Z dołu do góry — jedenaście. Z dołu przez prawe ramię — jedenaście. I tak samo przez lewe ramię. A jednak dwa diamenty zostały zabrane.

Marczak aż klasnął w dłonie.

— Świetna, świetna zagadka. Powtórzę ją dziś swojemu synowi.

Lecz po sekundzie spowaźniał.

— Przepraszam, ale co ta zagadka ma wspólnego z naszą sprawą?

Skromnie spuściłem oczy.

— Zapomniałem dodać, panie dyrektorze, że złodziej nazywał się Waldemar Batura, a bogacz pan Marczak.

Sądziłem, że dyrektor krzyknie na mnie strasznym głosem. Lecz on zachował się inaczej. Powiedział rzeczowo:

— Proszę o szczegóły, panie kolego.

Wyjaśniłem:

— Pułkownik Koenig ukrył w schowku sto pięćdziesiąt monet. Twierdzą, że skradziono trzy monety, ale jak by pan nie liczył, wychodzi, że odnaleziono jednak sto pięćdziesiąt, i wszystko jest w najlepszym porządku.

— Proszę o dowody — warkną dyrektor.

— Pułkownik Koenig był rabusiem, ale nie kretysem. Jaki sens dla niego miałyby ukrycie trzech bezwartościowych niemieckich fenigów? On ukrył sto pięćdziesiąt bezcennych polskich monet, a odnaleziono tylko sto czterdzieści siedem.

— Było sto pięćdziesiąt monet — jęknął dyrektor.

— Więc wciąż chce pan pozostać w roli tego bogacza, któremu, jak by nie liczył, wychodziło jedenaście? Ktoś ukradł trzy bezcenne monety, a podłożył na to miejsce bezwartościowe fenigi. I te trzy monety natychmiast zaproponowano naszym muzeum.

Dyrektor Marczak kilkakrotnie odetchnął bardzo głęboko. Wiedziałem, że od tej chwili nasza rozmowa będzie miała charakter bardzo rzeczowy. Bo dyrektor Marczak był człowiekiem mądrym. Brakowało mu żyłki detektywistycznej, ale od tych spraw byliśmy my — ja i Pietruszka. Mądrość jego polegała na tym, że jeśli przychodziło się do niego z przekonywającymi argumentami, nie upierał się przy swoim zdaniu, dawał się przekonać i pozwalał działać, ponosząc odpowiedzialność za nasze klęski, a tych przecież nam nie brakowało.

— Czy podejrzewa pan kolegę Pietruszkę? — zapytał. — Sądzi pan, że to on zamienił bezcenne okazy na bezwartościowe fenigi?

— Nie, panie dyrektorze. Pietruszka to człowiek na wskroś uczciwy. Być może moja zawodowa zawiść każe mi dopatrywać się u niego braku detektywistycznych talentów, ale uczciwości jego nigdy nie stawiałem pod znakiem zapytania. Wydaje mi się, że ktoś go uprzedził. Ktoś przed nim otworzył grobowiec i z kolekcji monet zabrał trzy najcenniejsze okazy, a podłożył na ich miejsce bezwartościowe fenigi.

— Dlaczego nie ukradł któregoś z obrazów? Albo jakiejś ikony? Monstrancji czy rzeźby, która leżała w grobowcu?

Odpowiedziałem:

— Złodziejowi zależało na tym, aby ilość przedmiotów znalezionych w grobowcu zgadzała się z liczbą wyszczególnioną w planie pozostawionym przez Koeniga. Musiałby zamienić jeden obraz na drugi, jedną ikonę na inną ikonę, jedną monstrancję na drugą. Pan zresztą wie, jak trudno bez zwrócenia uwagi sprzedać obraz Wyczółkowskiego czy Malczewskiego. Każdy obraz słynnego malarza ma swoją długą historię i nie można jej zatrzeć. A złodziej, z którym mamy do czynienia, to człowiek, który nie chce popaść w konflikt z milicją. Jeśli kradnie, to w taki sposób, że nie można mu udowodnić kradzieży. Twierdzą więc, że mamy znowu na pieńku z Waldemarem Baturą.

— Dlaczego zabrał ze schowka tylko trzy okazy monet, a nie całą kolekcję?

— A co zrobiłby z kolekcją? Przecież sprawa wydałaby się natychmiast. Zwrócilibyśmy uwagę, że brakuje stu pięćdziesięciu monet. A Baturą, proszę pamiętać, to człowiek, który potrafi zadowolić się mniejszym łupem, byle tylko nie można mu było udowodnić przestępstwa. Zabierając trzy najcenniejsze okazy i podkładając bezwartościowe fenigi liczył na to, że nikt nie zwróci uwagi na kradzież i on będzie mógł spokojnie pozbyć się monet. Był nawet tak bezczelny, że zaoferował je muzeum, i co tu dużo gadać, zarobił prawie sto tysięcy złotych. Bo gra, panie dyrektorze, idzie o jeszcze większą stawkę. O drugi i trzeci schowek.

Wyjąłem z kieszeni list z Fromborka i zajrzawszy do niego, mówiłem dalej:

— W drugim schowku Koeniga winny się znajdować: cztery miniatury, porcelana, dwanaście lichtarzy i pięć kielichów. Gdyby pan chciał dokonać kradzieży bez zwrócenia uwagi, a więc systemem zamiany rzeczy wartościowych na inne, o mniejszej wartości, co padłoby pana łupem?

Dyrektor długo się zastanawiał, głośno rozmyślając:

— Trudno chyba zamienić miniatury, bo skąd wziąć je na zamianę? Zabawa z porcelaną też chyba nie jest łatwa do realizacji. Najłatwiej o zamianę lichtarzy i kielichów.

— Tak jest, panie dyrektorze. Ale lichtarze chyba odpadają, bo były zazwyczaj ze srebra. Pozostają więc tylko kielichy. Można przypuszczać, że Koenig ukrył bardzo cenne kielichy mszalne, złote, wysadzone drogimi kamieniami. Co będzie, jeśli w drugim schowku Koeniga Pietruszka odnajdzie pięć srebrnych kielichów?

— Zdziwię się, że Koenig rabował tak małowartościowe przedmioty...

— Ale nie będzie pan miał żadnych konkretnych podejrzeń, prawda? — podchwyciłem. — A o srebrne kielichy wcale nie tak trudno. Można je znaleźć w sklepach Desy, i to za stosunkowo małą sumę. Wystarczy je zamienić na złote i ma się wspaniały połów.

— A trzeci schowek? — zapytał Marczak. Jeszcze raz zajrzałem do listu Baški.

— Nie ukradnie Batura infuly ani czterech relikwiarzy. Ale w tym schowku będzie dziesięć rubinów. Nic łatwiejszego jak na ich miejsce podłożyć rubiny sztuczne, fałszywe. W jubilerskich sklepach nietrudno o takie kamienie. A my po odkryciu trzeciego schowka będziemy sądzić, że to Koeniga ktoś oszukał...

Zapadła chwila milczenia. Dyrektor Marczak rozważał w sobie moje wywody.

A ja dorzuciłem:

— Na szczęście złodziej jeszcze chyba nie wie, gdzie jest drugi i trzeci schowek Koeniga. Dopiero szuka tych kryjówek.

— I może Pietruszka go uprzedzi — ucieszył się Marczak.

— Tak — potwierdziłem. — Przecież to, co mówię, pozostaje jeszcze w kręgu hipotez.

— Nie możemy krzywdzić Pietruszki — radośnie zgodził się dyrektor Marczak. — Pietruszka jest bardzo ambitny. Jeśli pošlę pana do Fromborka, na przykład, w charakterze jego pomocnika, uzna to za votum nieufności dla siebie i strasnie ten fakt przeżyje. To człowiek niezwykle wrażliwy.

— A jednak muszę jechać do Fromborka — stwierdziłem.

Zasepiona znowu twarz dyrektora Marcza nagle rozpromieniła się.



— Mam świetny pomysł! — zawołał radośnie. — Potrzebny nam jest obszerny przewodnik po Fromborku. W ostatnim czasie działa tam kilka grup naukowców. Przeprowadzają badania archeologowie, historycy, astronomowie. Trzeba zapoznać się z wynikami ich prac i opracować nowy przewodnik, uwzględniający współczesną wiedzę o dawnym Fromborku i o pobycie w nim Mikołaja Kopernika. I to będzie pańskie zadanie, że się tak wyrażę, oficjalne. Lecz jako główne zadanie w dalszym ciągu powierzam panu wyjaśnienie zagadki pojawienia się bezcennych monet. Jedzie pan A więc do Fromborka, ponieważ tam prowadzą tropy w powierzonej panu sprawie. Przecież nieraz tak bywa w służbie śledczej, że prowadzone w dwóch różnych miejscach sprawy, pozornie od siebie niezależne, kierują się jednak do tego samego miejsca i zazębiają się o siebie. Pietruszka ma za zadanie odkrycie schowków Koeniga, a pan wyjaśnienie sprawy bezcennych monet. Jeśli potraficie ułożyć sobie współpracę, tym lepiej. Jeśli nie, to trudno, musicie działać oddzielnie — stwierdził na zakończenie dyrektor Marczak.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

TAJEMNICA BOMBONIERKI · CZY BĘDĘ WIÓZŁ POGROMCĘ ZWIERZĄT ·  
SPOTKANIE Z CAGLIOSTREM · NIESAMOWITA MENAŻERIA · KOSZMARNY  
PODROŻ · CZŁOWIEK, KTÓRY WCIAŻ KŁAMIE · O WIEDZY TAJEMNEJ SŁÓW  
KILKA · CO SIĘ STAŁO PODCZAS OBIADU · GDZIE SIĘ KRYŁ WĄŻ · MÓJ NOWY,  
DZIWNY POMOCNIK

Czwartego sierpnia rano zajęłam swoim wehikułem przed Ministerstwo Kultury i Sztuki, aby wziąć delegację służbową. W wehikule miałem już neseser z moimi osobistymi rzeczami oraz sprzęt campingowy. Byłem zdecydowany wyruszyć w drogę natychmiast po załatwieniu formalności w ministerstwie.

W sekretariacie dyrektora Marcza zastałem jak zwykle promiennie uśmiechniętą panią Zosię, sekretarkę. Była to osoba niemłoda i bardzo otyła, uwielbiana słodyczami. Gdy wszedłem do pokoju, ostrożnie, dwoma paluszkami, jak entomolog przepięknego motyla ze swej kolekcji, wyjmowała czekoladkę z leżącej przed nią na biurku ogromnej bombonierki.

— Delegacja jest gotowa — lewą ręką podała mi papiery, w prawej bowiem trzymała czekoladkę.

— Dziękuję pani uprzejmie — skłoniłem się nisko. Albowiem dobrze jest żyć w zgodzie ze swoim dyrektorem. Ale zupełnie źle jest popaść w konflikt z jego sekretarką.

— Mam do pana prośbę, panie Tomaszu — pani Zosia obdarowała mnie promiennym uśmiechem i w moim kierunku podsunęła otwartą bombonierkę. — Dzwonili do mnie z departamentu widowisk. Otóż jest prośba, aby pan wziął ze sobą do Fromborka pewnego sympatycznego artystę. Chodzi o to, że ten artysta będzie miał występy dla młodzieży harcerskiej, a nie może jechać pociągiem.

— Czyżby brakowało mu na bilet? — zapytałem.

— Ach, nie, panie Tomaszu — pani Zosia spojrzała na mnie z dezaprobatą. — Przeszkody natury, że się tak wyrażę, technicznej nie pozwalają mu jechać pociągiem.

— A cóż to za artysta, że pociągi mu nie służą?

— Dzwonili z departamentu widowisk, więc to artysta cyrkowy — niepewnie odrzekła pani Zosia.

— A co mu wzbrania jechać pociągiem? — indagowałem.

Zerknęła bezradnie na otwartą bombonierkę i podsunęła mi ją jeszcze bliżej. Zrozumiałem, że otrzymała ją w prezencie od owego artysty, który zapewne, aby zaoszczędzić sobie koszty biletu, wolał jechać cudzym samochodem.

— On wiezie jakieś zwierzęta — szepnęła i ugryzła czekoladkę.

— Słonie? Żyrafy? Tygrysy? — przeraziłem się. — To może pogromca dzikich zwierząt?

— Co też pan mówi, panie Tomaszu — roześmiała się. — On jest chyba iluzjonistą. Ma białego króliczka. Pan rozumie, takiego, którego wyciąga się z cylindra.

— Króliki, o ile mi wiadomo, wolno przewozić w pociągu.

— Tak. Tylko że on ma jeszcze... białe myszki.

— Myszki?

— Tak. I... padalca, to jest zaskrońca — powiedziała pani Zosia i aż wzdrygnęła się ze wstrętu.

— I ja mam wieźć do Fromborka całą tę jego menażerie?

— A cóż to panu szkodzi? Nie ma pan miejsca w swoim samochodzie? — zapytała, spoglądając na otwartą bombonierkę.

A ja wiedziałem, że nie wywinę się od iluzjonisty, skoro ona od niego dostała bombonierkę ze smacznymi czekoladkami.

Zrezygnowany machnąłem ręką.

— To niech pani daje tego cyrkowca. Tylko zaraz, bo ja już wyjeżdżam z Warszawy.

Przełknęła pośpiesznie czekoladkę.

— On czeka na korytarzu. Łatwo pan go pozna, bo ma czarną bródkę...

Schowałem do kieszeni papiery, ucałowałem pachnącą czekoladkami dłoń pani Zosi i wyszedłem na korytarz. Iluzjonista zaraz rzucił mi się w oczy. Miał bródkę i stał obok leżących na podłodze dziesięciu prostokątnych pudełek.

Miał lat około trzydziestu i był niezwykle przystojny: przystojna, śniada twarz Hindusa, przenikliwe oczy.

— Czy to pana mam zabrać do Fromborka? — zagadnąłem.

— Tak jest — ukłonił się grzecznie, niemal w pas, jak publiczności po skończonym występie.

— Na imię mi Tomasz — wyciągnąłem do niego rękę.

— A mnie Józef. To jest właściwie Franek — powiedział.

— Więc Józef czy Franek? — zapytałem równie grzecznie.

— Noszę pseudonim artystyczny: Józef Balsamo vel Cagliostro — wyjaśnił.

No cóż, z różnymi ludźmi miałem do czynienia. Teraz zaś dane mi było uścisnąć dłoń samego Cagliostro, o którym głośno ongiś było w Warszawie[2]. Wprawdzie działo się to aż dwieście lat temu, ale należało się spodziewać, że i ten Cagliostro cieszy się nie mniej zasłużoną sławą.

— Czytałem powieść Dumasa pt. „Józef Balsamo” — oświadczyłem z wielkim szacunkiem.

— Ach, to o moim poprzedniku — lekceważąco wzruszył ramionami.

A potem nachylił się ku ziemi, podniósł z niej cztery pakunki i włożył je w moje ręce.

— Bardzo proszę o pomoc w zniesieniu tych rzeczy do samochodu — powiedział ciepło.

— Broń Boże, w którejś z tych paczek jest padalec? — zapytałem z odrobiną strachu, bo nie lubię pełzających stworzeń. — Jeśli pan tak łaskaw, już wolałbym nieść króliczka.

— Ach, nie. Piotrusia noszę zawsze przy sobie — odrzekł mistrz Balsamo sięgając ręką do wewnętrznej kieszeni tużurka.

Zapomniałem bowiem nadmienić, że mistrz Balsamo nie miał na sobie marynarki, a tylko coś długiego i czarnego, jakby rodzaj fraka albo skrzyżowanie tużurka z surdudem. I z wewnętrznej kieszeni owego tużurko-surduta wyciągnął czarnego zaskrońca.

— To jest Piotruś — oświadczył. I dodał: — Piotrusiu, bądź miły dla pana Tomasza.

Nie znam się na węzach i nie wiem, czy można je dobrze wychować. Ten owinał się wokół szyi mistrza, a ja przezornie cofnąłem się o krok.

— A tu mam myszki — Balsamo sięgnął do drugiej wewnętrznej kieszeni tużurko-surduta. I po sekundzie dwie białe myszki maszerowały po klapach jego dziwnego przyodziewku.

— Hm, hm — chrząknąłem ostrzegawczo — już wolą nie pytać, co ma pan w innych kieszeniach. Sądzę, że najlepiej uczynimy, idąc do samochodu.

Albowiem cała ta scena działa się na korytarzu Ministerstwa Kultury i Sztuki, gdzie zawsze spotkać można miłe, starsze, bardzo kulturalne panie. I przez moment odniosłem wrażenie, że jednej z tych pań na widok węża i dwóch białych myszek zrobiło się niedobrze.

Cagliostro też chyba to dostrzegł, bo wcisnął węża do jednej kieszeni, myszy do drugiej i w pośpiechu opuściliśmy zabytkowy gmach na Krakowskim Przedmieściu.

Pakunki umieściliśmy na tylnym siedzeniu, Cagliostro usiadł obok mnie, na kolana biorąc jakąś sporą paczkę.

Okazało się, że pakunek, który miał na kolanach, był owiniętą w papier klatką. Uchylił jej drzwiczki i wyjrzał z nich ruchliwy nosek królika.

— Bardzo miłe stworzenie — oświadczyłem. Cagliostro odetchnął z ulgą.

— A już sądziłem, że pan nie lubi zwierząt.

— Dla mnie zaskroniec nie jest zwierzęciem — odrzekłem zdecydowanie.

— Przecież należy do fauny — odparł.

— Wolę florę — stwierdziłem szczerze, choć króliczek był sympatyczny.

Przypomniała mi się piosenka Skaldów o króliczku i nucąc ją pod nosem, wyruszyłem wehikułem z Krakowskiego Przedmieścia.

Czy kto widział, jak biegnie króliczek ulicą?

Czy to widział kto?

Czy to widział kto?

W naszym mieście szukali króliczka ze świecą

Aż dopadli go,

Aż dopadli go....

Ho, ho, ho, ho, ho,

Ho, ho.

W gruncie rzeczy mistrz Cagliostro wydał mi się bardzo miły. Może dlatego, że widok mego wehikułu nie wzbudził w nim drwin ani nawet najdrobniejszej złośliwej uwagi. Przez chwilę miałem nawet podejrzenia, że domyśla się, jak potężny silnik kryje to pokraczne pudło przypominające skrzyżowanie czółna z namiotem na kołach. Ale przecież byłby to absurd!

Cóż można napisać o podróży w towarzystwie iluzjonisty, króliczka, białych myszek i zaskronca?

Dzień był słoneczny, bezchmurny, ciepły. Asfaltowa szosa międzynarodowa E 81 pozwalała na dużą szybkość. Mijałem lasy, pola, miasteczka i wioski, a przecież nie przetrwało w mej pamięci nic z uroków tak długiej jazdy samochodem.

Cagliostro rozsiadł się wygodnie w samochodowym fotelu i natychmiast zasnął. A wtedy z kieszeni jego surduta najpierw ostrożnie wylazły dwie białe myszy i usadowiły mu się na kolanach. Potem wystawił swój łeb zaskroniec. Popatrzył na śpiącego Cagliostro, zerknął na mnie, a później na myszy. Stwierdziwszy zapewne, że mistrz śpi mocno, wypełznął z jego kieszeni — i jeśli się nie mylę — usiłował połknąć którąś z myszek. Obydwie uciekły więc na tylne siedzenie, a zaskroniec z kolan Cagliostro przelazł na moje i zwinąwszy się w kłębek, zasnął na nich w najlepsze.

Ja — dwukrotnie nieomal nie spowodowałem wypadku. Naprawdę, trudno jest prowadzić samochód z zaskroncem na kolanach i myszami, które buszują po kieszeniach.

Wreszcie nie wytrzymałem. Trąciłem mistrza w ramię.

Obudził się. Pojął chyba grozę sytuacji, bo zabrał mi z kolan zaskronca i znowu wpakował go sobie do kieszeni.

— Wolałbym, żeby pan nie spał — powiedziałem.

— Zgoda. Będziemy rozmawiać — odrzekł.

Ale właściwie o czym można rozmawiać z mistrzem czarnej i białej magii?

Byłem jednak gospodarzem w samochodzie, do mnie należało narzucenie tematu konwersacji. Nie sądziłem, aby sprawy ochrony zabytków lub zagadnienie walki z handlarzami antyków mogły go zainteresować. Spróbowałem więc z innej beczki.

— Czy długo uczył się pan wiedzy tajemnej? I na jakiej uczelni? — zapytałem.

Odpowiedział pytaniem:

— Pan jest idealistą czy materialistą?

— Materialistą...

— Nie wierzy pan w cuda oraz w wiedzę tajemną?

— Wszystko polega na fałszu i zręczności — wypowiedziałem się szczerze o wiedzy tajemnej.

Nie obraził się.

— Wszystko jest iluzją — zrobił nieokreślony ruch ręką, jakby dając mi do zrozumienia, że iluzją jest również mój samochód, ja sam i cały otaczający nas świat. — Żyjąc w świecie iluzji, przestałem odróżniać fałsz od prawdy. Zresztą — dodał z odrobiną smutku — prawie zawsze oszukuję. To już skrzywienie zawodowe. Zazwyczaj na pytanie, gdzie zdobyłem wiedzę tajemną, odpowiadam: w Indiach albo u tybetańskich mnichów. Panu odpowiem inaczej: skończyłem Sorbonę.

O czym rozmawiać z człowiekiem, który programowo, że tak powiem z zasady, nie mówi prawdy? Znowu więc jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, co upewniło tkwiące w surducie

stwory, że iluzjonista zasnął. Dlatego znów ujrzałem wychylającą się z kieszeni głowę zaskrońca.

— Bądź grzeczny, Piotrusiu — upominał go Cagliostro, delikatnie gładząc palcem łepkę węża.

Co do mnie, wolałem wysłuchiwać kłamstw niż trzymać na kolanach zwiniętego w kłębek zaskrońca, a mistrz znowu zaczął okazywać senność.

— We Fromborku czekają pana występy dla młodzieży? — zagadnąłem.

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Zerwałem kontrakt z „Estradą”, bo pokłóciłem się z dyrektorem. Jeśli mam być szczerzy, ostatnio wiedzie mi się nie najlepiej. Nie mam żadnego stałego etatu. Ale młodzież lubi sztuki magiczne, dlatego jest nadzieja, że uda mi się we Fromborku zorganizować kilka pokazów dla harcerzy.

— Nie sądziłem, że harcerze są zwolennikami wiedzy tajemnej — zdumiałem się.

Skinął głową.

— Harcerstwo to najpoważniejsza baza dla iluzjonistów — stwierdził. — Nie ma dobrze zorganizowanego ogniska harcerskiego bez pokazów sztuk magicznych. Moje pokazy dla harcerzy będą połączone z nauką różnego rodzaju trików. Oczywiście, najprostszych. Albowiem niektóre z nich wymagają wieloletniego treningu. A pan? Pan szanowny po co jedzie do Fromborka?

— Ja? — zdziwiłem się. — Czy pani Zosia nie poinformowała pana, że zajmuję się ochroną zabytków?

— I pan je ochrania? — spojrzał na mnie z uwagą, ale zarazem z odrobiną powątpiewania.

— No, nie tylko ja — odparłem. — Ogromna rzesza ludzi pracuje przy ochronie zabytków. Restaurujemy je, bronimy przed zniszczeniem, dewastacją, kradzieżą.

— Pani Zosia mówiła mi, że pan jest czymś w rodzaju detektywa — stwierdził.

„No proszę. Tak chroni się największe tajemnice Departamentu Muzeum i Ochrony Zabytków” — pomyślałem.

— Nie, proszę pana — zaprzeczyłem gorliwie. — Jadę do Fromborka, aby opracować przewodnik.

Wydaje mi się, że nie uwierzył. Znowu rozmowa urwała się. Po chwili on zasnął, zaskrońiec wyłazł z kieszeni. Tym razem jednak pomaszerował między pakunki na tylnym siedzeniu. Natomiast myszy znalazły moje drugie śniadanie w podróźnej torbie i zabrały się do jedzenia. Nie protestowałem.

Żał mi było króliczka. Przed Pasłękiem zatrzymałem wóz i w przydrożnym rowie narwałem trochę trawy.

Cagliostro obudził się.

— Co pan robi? — zapytał, widząc, że wracam do samochodu z pękiem przydrożnych ziół.

— To dla króliczka — oświadczyłem.

— A fe! — skrzywił się z niesmakiem. — Alojzy nie jada takiego świństwa. Dziś rano kupiłem dla niego kilka młodych marchewek. A my, gdzie my zjemy obiad?

— Jestem gotów zaprosić pana do restauracji w Pasłęku — powiedziałem. — Ale pod warunkiem, że zostawi pan w aucie całą swoją menażerię.

Przystał na mój warunek. Menażeria została zamknięta w wehikule, a my udaliśmy się do restauracji. I wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie pewien głupi incydent, który zdarzył się nam pod koniec obiadu. Otóż, gdy chciałem płacić kelnerce i sięgnąłem po pieniądze, wyciągnąłem z kieszeni białą mysz.

Kelnerka narobiła pisku na całą restaurację. Zbiegło się sporo gości, przydreptał nawet kierownik lokalu i zrobił mi awanturę.

— Czy pan nie czytał napisu: „Wprowadzanie psów wzbronione”? — krzyczał groźnie.

— To przecież nie pies — tłumaczyłem.

— Ja widzę, że to mysz! — woła kierownik. — Ale przez napis „Wprowadzanie psów wzbronione” rozumieć należy, że i innych zwierząt też wprowadzać nie wolno. Czy pan wie, że gdyby tu, na tej sali, był inspektor z sanepidu, miałbym dochodzenie administracyjne? W jaki sposób mógłbym udowodnić, że u nas nie załęgły się myszy, tylko pan mysz wprowadził do restauracji?

Cagliostro uspokajającym gestem położył rękę na ramieniu kierownika. Potem przyjaźnie poklepał go po plecach i pogładził kłapy jego białego kitla.

— Skąd pan wie, że to mysz tego pana? — wskazał mnie. — Może to wasza, restauracyjna mysz, która w trakcie obiadu wlaźła temu panu do kieszeni?

— To biała mysz! — zawołał kierownik lokalu.

— Może u was zagnieździły się białe myszy? — zauważył głośno Cagliostro.

I biorąc wszystkich gości na świadków, powiedział:

— Niech no pan sam, kierowniku, sprawdzi kieszenie swego fartucha.

Kierownik włożył ręce do obydwu kieszeni białego kitla. A kieszenie miał wielkie, odstające.

— Nic nie mam. Są puste! — zawołał triumfująco.

— Czyżby? — zdumiał się Cagliostro. — Pan pozwoli, że ja sam sprawdzę.

I Cagliostro wsadził rękę w odstającą kieszeń kierownikowego kitla. Po sekundzie, na oczach wszystkich, wyciągnął z niej za ogon — białą mysz.

— O Jezu! — wykrzyknął kierownik.

— No, widzi pan — z ubolewaniem pokiwał głową Cagliostro.

— Gdzie jest ta mysz? Dawajcie tu kota! — krzyczał kierownik.

Ale mysz gdzieś zniknęła.

Cagliostro znowu uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu kierownika.

— Niech się pan nie unosi. W zakładach gastronomicznych różne rzeczy się zdarzają. Pewnego razu zamiast kotleta schabowego podano mi upieczonego szczura.

— Co? Co pan mówi! — wrzeszczał kierownik. — Pan moim klientom obrzydza posiłki. To jest karalne, proszę pana!

— A zamiast węgorka podano mi wędzonego węża — zakończył Cagliostro.

I na oczach wszystkich gości z przepastnej kieszeni kierownika wyciągnął żywego zaskrońca Piotrusia.

Kierownik zdrętwiał. Spojrzałem na twarze gości. Miny mieli ponure i patrzyli na kierownika jak na zbrodniarza, którego powinno się aresztować i skazać na długoterminowe ciężkie roboty.

A my ulotniliśmy się z restauracji. Otwierając drzwiczki wehikułu, powiedziałem z wyrzutem do Cagliostra:

— A przecież ta pańska menażeria miała pozostać w samochodzie.

— Pan sam zamknął je w swoim wozie — zauważył, — Ale, jak pan wie, wszystko jest iluzją.

— Nie jest żadną iluzją. Pan zabrał zwierzaki do restauracji — rozsierdziłem się.

— Ja? Wydaje mi się, że one bardzo pana polubiły, i to pan je zabrał do restauracji na obiad. To nie ja, tylko pan znalazł mysz w swojej kieszeni.

Coś mi się poruszyło w kieszeni na piersiach. Spojrzałem podejrzliwie na Cagliostra.

— Gdzie jest Piotruś, he? — zapytałem wrogo.

— Nie wiem. Pewnie u pana w kieszeni.

— Tak — kiwnąłem głową. — W wewnętrznej kieszeni marynarki. Niech go pan stamtąd natychmiast zabiera, bo ja brzydzę się go dotknąć.



Zabrał Piotrusia, z innych moich kieszeni powyciągał myszy. Obrażony zasiadłem za kierownicą i wyjechaliśmy z Pasłęka.

— Jakie to szczęście, że wkrótce się rozstaniemy — burknąłem. — W tym rozgardiaszu zapłaciłem za pański obiad.

— Dziękuję panu — kiwnął głową. — Ale i tak by pan to musiał zrobić, bo ja nie mam pieniędzy ani na obiad, ani na kolację, w ogóle jestem, jak to się mówi, absolutnie spłukany z forsy.

— Nic mnie to nie obchodzi — warknąłem jak zły pies. — Ale pan coś wspomniał o kolacji?  
— zapytałem podejrzliwie.

— Łudziłem się, że na kolację też mnie pan zaprosi — westchnął bezczelnie. — W zamian za to nauczę pana kilku sztuk magicznych.

— Bez łaski.

— Sprzedam panu Piotrusia...

— Nigdy! — krzyknąłem.

— A myszy?

— W żadnym razie.

— A może pan chce Alojzego?

— Jestem detektywem, a nie pogromcą zwierząt — wyrwało mi się.

— A jednak — ucieszył się. — Czy nie sądzi pan, że mógłbym się panu na coś przydać?

— Przy ochronie zabytków?

— Nie. W pracy detektywa. Mógłbym dla pana zbierać informacje, śledzić, indagować. Nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że iluzjonista jest na pana usługach.

Coś mnie tknęło. To była myśl. Taki facet mógł się rzeczywiście przydać. Waldemar Batura na pewno będzie robił wszystko, aby uniknąć mojego wzroku. A Cagliostro nie zna.

Lecz w gruncie rzeczy, co ja wiedziałem o Cagliostrze i czy miałem prawo wtajemniczyć go w swoje sprawy?

— Powiedziałem panu, że jadę do Fromborka, aby zająć się opracowaniem przewodnika. Interesuje mnie przede wszystkim Kopernik — odpowiedziałem.

— Ma go pan zamiar śledzić?

— Coś w tym rodzaju. Będę penetrował jego niektóre sprawy.

— A jak ten facet wygląda?

— Piękna, myśląca twarz, bardzo długie włosy, w ręku trzyma konwalie.

— To jakiś hippie? — zapytał.

— Czy pan oszalał?

— No, bo ma długie włosy i kwiat w ręku. Jak dzieci-kwiaty.

— Ależ, drogi panie. Pan nigdy nie słyszał o astronomie Mikołaju Koperniku? I pan skończył Sorbonę?

— Przepraszam pana, ale nie zrozumieliśmy się. Sądziłem, że pan ma na myśli kogoś, kto nosi pseudo „Kopernik”. Ja sam przecież nazywam się Józef Balsamo vel Cagliostro. Znam zresztą kilku zwariowanych facetów. Oni noszą najdziwniejsze przezwiska, jak na przykład: „Prorok”, „Judasz”, „Chrystus”, „Salomon”.

— No, dobrze. Postawię panu kolację — zdecydowałem łaskawie.

— Dziękuję. Jeszcze tylko proszę o załatwienie dla mnie jakiegoś noclegu. Bo gdzie ja się zatrzymam we Fromborku? Na występach trochę zarobię i będę mógł się jakoś urządzać. Ale teraz będzie mi potrzebna pańska pomoc i protekcja. Pan jest przecież z bardzo ważnego departamentu. Ma pan wszędzie drzwi otwarte.

— Będę spał w namiocie albo w wehikule — wyjaśniłem.

— A dla mnie miejsce się znajdzie w pańskim namiocie?

„A tom sobie biedy napytał” — pomyślałem melancholijnie.

On zaś rzekł smutnie:

— Czy dopuści pan do tego, abym spał na ławce w parku? I te biedne zwierzęta...

— Na jedną noc pożyczę panu namiot — zdecydowałem.

— Ma pan dobre serce — stwierdził i wręczył mi portfel.

— Co to takiego? — zdumiałem się.

— Pański portfel...

— Skąd on się znalazł u pana? — nasrożyłem się.

— Zabrałem panu.

— Kiedy?

— Gdy wyjmowałem zaskrońca z pańskiej kieszeni. Pan głowę odwrócił, żeby nie patrzeć na wstrętnego płaża, a ja w tym czasie świsnąłem panu portfel.

— Pan jest kieszonkowcem?

— Nie. Iluzjonistą. Nie miałem najmniejszego zamiaru pana obrabować. Tak tylko, z nawyku zawodowego, ciągle muszę robić jakieś sztuczki.

— Nie rozumiem...

— Pianista ciągle ćwiczy, aby mieć wprawne palce. Ja też muszę wciąż komuś zabierać, zamieniać, żeby mi palce nie zwiotczały i nie utraciły zręczności.

I gadaj tu z takim.

— Czy oprócz umiejętności przenikania do cudzych kieszeni, potrafi pan, na przykład, przeniknąć cudze myśli? — zapytałem złośliwie.

— Poniekąd — odparł enigmatycznie.

— Więc pan chyba wie, co o panu myślą.

— Tak. Cagliostro to łajdak, tak pan myśli, i zarazem człowiek niebezpieczny. Ale może mi się przydać...

— Owszem. Tak właśnie myślę. Ale to nietrudno było panu odgadnąć.

Pomyślałem bowiem, a właściwie wyobraziłem sobie chwilę, w której Cagliostro spotyka Baturę, zbliża się do niego, wyjmuje mu z kieszeni najtajniejsze plany i przenika myśli Batury, o których potem zostaję poinformowany.

— Posiadam także różdżkę, która pozwala odkrywać podziemne źródła wody i zakopane skarby — rzekł.

— Świetnie! Świetnie! — zawołałem.

Po chwili jednak opadły mnie wątpliwości.

— Potrafi pan odkrywać skarby, ale nie ma pan grosza na obiad i na kolację...

— Bo brakuje mi szczęścia — beczelnie odparł Cagliostro.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

JAK TRZEBA SIĘ ZACHOWYWAĆ NA WARMII I MAZURACH · KILKA ZAGADEK Z HISTORII · KTO ŚLEDZI KOPERNIKA · ZAKAZ WJAZDU I CO Z TEGO WYNIKŁO ·

## CZY WIERZĘ W MARSJAN · SPOTKANIE W WĄWOZIE · OKO W OKO Z WENUSJANAMI · STRASZLIWY AS · GROŻNA DAMA I ŻELAZNE RĘCE · PRZYSIĘGA MILCZENIA

Frombork leży na północnym krańcu Wysoczyzny Elbląskiej, na wschodnim jej skrawku. Na północy rozciąga się ciemna i wciąż lekko wzburzona toń Zalewu Wiślanego, z widoczną na horyzoncie czarną smugą Mierzei Wiślanej i jej uroczym kurortem — Krynica Morską. Od południa, jakby plecami, wspiera się Frombork o Wzgórze Elbląskie, falistą równinę morenową, pociętą malowniczymi wąwozami, tu i ówdzie porośniętymi mieszanym lasem.

Za Pasłękiem rozstaliśmy się z międzynarodową drogą E 81, prowadzącą z Warszawy do Gdańska, i skręciliśmy na wąską szosę do Młynar. Potem szosa ta przeskakuje nad autostradą Elbląg — Kaliningrad i robiąc ogromny łuk, prowadzi przez Jędrychowo do Fromborka. Już od Pasłęka jedzie się przez Wysoczyznę Elbląską, a im bliżej Fromborka, tym więcej spotyka się owych przepięknych wąwozów, wrytych przez erozję w równinie morenowej, wypiętrzonej kiedyś przez ogromny jezior lodowca. Wąwozy te — jak już wspomniałem — są bardzo malownicze i na ogół lesiste. Jadąc w ów sierpniowy dzień nawet nie przypuszczałem, że w jednym z takich wąwozów spotka mnie wkrótce niezwykła przygoda. Pierwsza wielka przygoda na szlaku fromborskich zagadek.

Jechaliśmy przez Warmię. Ale co oznacza to słowo: Warmia?

Jestem pewien, drodzy czytelnicy, że gdyby was zapytać o Warmię, to nieuchronnie skojarzy się ona wam ze słowem: Mazury. Warmia i Mazury tworzą w umyśle niemal jedno pojęcie, a ono wiąże się z północną częścią naszej ojczyzny, z województwem olsztyńskim, krainą tysiąca jezior.

Ale gdyby zapytać was, gdzie leży Warmia, a gdzie leżą Mazury, jestem pewien, że nie każdy potrafiłby dać prawidłową odpowiedź. Używane na co dzień obiegowe pojęcia — zazwyczaj niedokładnie przylegają do rzeczywistości. Warmia i Mazury, czyli „kraina tysiąca jezior”, w rzeczywistości liczą tych jezior ponad trzy tysiące.

A poza tym Warmia i Mazury to dwa różne pojęcia geograficzne i historyczne. I tak na przykład w północnej części Warmii, to jest tam, dokąd jechaliśmy, niewiele jest jezior, może mniej niż w Łódzkim czy Warszawskim.

Chłopca czy dziewczynkę, którzy po raz pierwszy w swym życiu wyruszyli z rodzicami w północne rejony Polski, już w pobliżu Nidzicy i Szczytna zaczyna coś zastanawiać w otaczającym krajobrazie. Może nieco odmienna architektura wsi — domy przeważnie z czerwonej cegły, kryte czerwoną dachówką, podczas gdy w Polsce centralnej drewniaki pobielone są wapnem, a murowańce bywają otynkowane na biało czy szaro. I jeszcze coś uderza i zastanawia. Tak niewiele pochylonych krzyży, kapliczek, świątków, madonn polskich, które niemal co krok, na każdym prawie rozstaju dróg widzisz w Łódzkim, Warszawskim czy Krakowskim. Ktoś może ci wyjaśni tę sprawę: „Oto zaczęły się dawne Prusy Wschodnie i widzisz piętno niemieczyzny”. A to nieprawda, kochani. Mazury — bo jedziesz właśnie przez Mazury — to taka sama Polska, jak gdzie indziej, jak w Lubelskim czy na Kujawach. Ale ludność polska, która zamieszkiwała tę okolicę, była wyznania ewangelickiego.

A potem robisz krok dalej na północ i znowu jakbyś się znalazł w Łódzkiem czy Warszawskiem. W zieleń bieleją ściany domów, ale okna w tych domach mają jakby kolorową ramę.

I znowu pochylone krzyże na rozstajach, kapliczki, madonny. Jesteś już na Warmii, której ludność polska była katolicką.

Lecz czy to aż takie ważne, jaką religię wyznawali ludzie zamieszkujący te ziemie?

Tak, to ważne. Bo w tym, między innymi, kryje się zagadka ich odrębności. To ważne przede wszystkim dla ciebie, wędrowcze. Dla twego sposobu myślenia i postępowania. Bo jeśli w mazurskiej wsi odwiedzisz kościół i przekonasz się, że znalazłeś się w protestanckim zborze, nie myśl pochopnie, że jesteś we wsi, gdzie żyją Niemcy lub ludzie, którzy ulegli zniemczeniu. To Polacy tacy sami jak ty. Ale oni, po prostu, wyznają inną religię.

A jeśli odwiedziłeś cmentarz mazurski i dostrzegłeś kamienne nagrobki z napisami wrytymi gotykiem, nie daj się zwieść pozorom, że to niemieckie groby, bo gotyk kojarzy ci się z Niemcami. Spróbuj wyczytać się w ów gotyk, a ze zdziwieniem stwierdzisz, że tylko litery są gotyckie, słowa zaś polskie. Stare modlitewniki i księgi mazurskie pisane są po polsku, ale alfabetem gotyckim. Zdumiejesz się, gdy ci ktoś wyjaśni, że ten gotyk nazywany jest „Sriftem krakowskim”, czyli pismem krakowskim, przywędrował bowiem tutaj wcale nie z Niemiec, ale z Krakowa. Czy jeszcze będziesz zdziwiony, gdy ci powiem, że najstarsze polskie księgi pisane były właśnie takim gotykiem, a ziemie te, aż hen po Królewiec, stały się przed wiekami kuźnią, piśmiennictwa polskiego?

W okresie zwanym Odrodzenie, w Królewcu, w stolicy Prus Książęcych, na dworze księcia Albrechta, bywało wielu wspaniałych pisarzy ówczesnej doby, tu tworzyło, utworami swoimi okazując wdzięczność tej, krainie.

Czemu właśnie Prusy tak ich wabiły ku sobie? Dlaczego w „Prusiech” — bo tak nazywano tę krainę — rodziły się prawdziwe skarby polskiej kultury?

Zadecydowały o tym względy religijne. Jak wiemy z historii, okres reformacji przyczynił się do ożywienia życia umysłowego i literackiego w Polsce i do narodzin literatury w języku polskim. Pisarze innowiercy, odwołując się do prostego ludu, musieli się w swych utworach posługiwać nie obowiązującą wówczas łaciną, ale językiem polskim. A ponieważ na dworze księcia Albrechta protestantyzm zapanował niepodzielnie, u niego znajdowali azyl oraz pole do działania pisarze, z których wielu, jak choćby Rej z Nagłowic, było innowiercami. Zresztą nie tylko. Bujne życie umysłowe na dworze księcia Albrechta wabiło i inne wybitne umysłowości tamtej epoki. Tu bywał przecież często i Jan z Czarnolasu, i inni. W szesnastym wieku w drukarniach Królewca ukazało się bardzo wiele książek pisanych w języku polskim.

Dlatego stąpając po ziemi mazurskiej i warmińskiej bądź ostrożny w ocenie ludzi i spraw. Bądź pełen taktu i umiaru. Kto wie, czy nie stoisz przed czymś, co wydaje ci się zagadką, a co bez trudu mógłbyś sobie sam wyjaśnić, gdybyś trochę uważniej słuchał w szkole lekcji historii i języka polskiego.

Co do mnie, nie wykręcam się od wyjaśnień. Ale coraz bliżej byliśmy Fromborka i Cagliostro znowu zaczął drzemać. Wychylił się z jego kieszeni zaskroniec Piotruś, na moje kolana wlaża biała mysz.

— Cagliostro! Hej, panie Cagliostro — trąciłem iluzjonistę w ramię.

— Co? Co się stało? — ocknął się, trochę nieprzytomny.

— Zbliżamy się do grodu Kopernika — oświadczyłem.

Rozejrzał się, ale jechaliśmy właśnie szosą przez las. Do Fromborka pozostało jeszcze dziesięć kilometrów.

Iluzjonista ziewnął, potem pogładził swoją czarną brodę. Capnął mysz na moim kolanie i wsadził ją sobie do kieszeni.

— Pan naprawdę jedzie do Fromborka w sprawach tego faceta? — zapytał.

— Czy nie mógłby się pan wyrażać z większym szacunkiem o jednym z największych ludzi czasów nowożytnych?

— A ja sądziłem, że największym człowiekiem był Napoleon — stwierdził.

— Ten mały kapral? — odrzekłem pogardliwie. — Jedyłą jego zasługą jest fakt, że na swoją kampanię egipską zabrał kilku panów, co się trochę znali na starożytnościach. I dzięki temu zrodziła się nauka zwana egiptologią. Co innego Kopernik, proszę pana. Odważył się powiedzieć coś, o czym cały ówczesny świat mniemał zupełnie inaczej. Powiedział, że Ziemia kręci się wokół Słońca. I tego genialnego odkrycia dokonał nie w jakichś słynnych obserwatoriach na słynnych ówczesnych uniwersytetach, w stolicach ówczesnej wiedzy, ale w maleńkim Fromborku, o którym mówiono, że leży na „końcu świata”.

— Zgadzam się z panem — kiwnął głową Cagliostro. — Zawsze uważałem, że najwięcej potrafią faceci z prowincji. Ja też zawsze działałem po prowincjonalnych dziurach, a nie na przykład w Warszawie.

— Czy mógłby pan jednak nie mówić o nim „facet”?

— Jestem do usług. Wydawało mi się, że jeśli nawet powiemy o nim od czasu do czasu „facet”, to on się nie obrazi ani ujmy mu to nie przyniesie, a nam się stanie przez to bliższy.

— No, jeśli pan tak uważa — zgodziłem się. — Bo widzi pan, ja sądzę, że można sobie wyobrazić świat bez Napoleona. Ale czym byłby świat bez Kopernika? Co by się z nami działo, gdybyśmy w dalszym ciągu myśleli, że Ziemia jest centrum wszechświata, i nie mielibyśmy pojęcia o ruchach ciał niebieskich? Dla przykładu, astronautyka. Każdy astronauta, zanim wsiądzie w swój pojazd kosmiczny, powinien się najpierw pokłonić pamięci Kopernika.

Cagliostro znowu pogładził swoją brodę.

— A propos lotów kosmicznych. Co pan mniema o innych planetach? Czy żyją na nich jacyś ludzie? Uwielbiam książki fantastyczno-naukowe.

Nie odpowiedziałem na jego pytanie. Przed nami pokazała się panorama Fromborka, nad zieloną ścianą drzew wystrzelały w niebo gotyckie wieżyczki fromborskiej katedry.

Dostrzegłem drogę w prawo i skręciłem w nią.

— To nie jedziemy do Fromborka? — zdumiał się Cagliostro.

— Najpierw zajrzę na teren ekspedycji archeologicznej, w której pracuje moja znajoma — wyjaśniłem. — To niedaleko stąd, w pobliżu PGR Bogdany. Naukowcy i odkopują tam jedno z najlepiej zachowanych grodzisk na Warmii. Archeologowie to ludzie gościnni, a chyba nic ma pan zastrzeżeń wobec jakiejś kolacji?

— O tak, bo i pora sposobna — stwierdził spoglądając na zegarek.

Grodzisko w pobliżu PGR Bogdany rozkopywała moja dawna znajoma o przezwisku „Babie Lato”, ponieważ miała tak jasne i puszyste włosy, jak puch babiego lata. Od dyrektora Marczaka otrzymałem polecenie skontaktowania się z wszystkimi ekspedycjami naukowymi, działającymi we Fromborku. Należało natychmiast przystąpić do wykonania poleceń służbowych. Może właśnie od Babiego Lata — sądziłem — uda mi się uzyskać jakieś informacje o pracy Pietruszki. Być może, poszukując skarbów Koeniga, u nich jako u fachowców-rozkopywaczy zasięgnął jakiejś rady.

Przejechaliśmy kilometr i znaleźliśmy się przy moście nad niewielką rzeką zwaną Baudą. Zatrzymałem wehikuł i rozłożyłem na kolanach mapę. Gdzieś w pobliżu tej rzeki znajdować się powinno dość wysokie wzgórze, na którym kryły się pozostałości grodziska.

W miejscu, gdzie przystanęliśmy, rzeka Bauda rozdzielała się na dwie odnogi, tworząc małą deltę, stanowiącą jej ujście do pobliskiego Zalewu Wiślanego. W delcie Baudy rozciągały się mokradła porośnięte krzakami. Okolica była surowa, ponura i co najgorsze — bezлюдna. Nigdzie nie widziało się żywej duszy. Nie było nawet kogo zapytać o obóz archeologów.

Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem dość wysokie wzgórze położone już za drugą odnogą rzeki. U stóp ich widać było wejście do głębokiego wąwozu. Chyba gdzieś w tej stronie należało szukać obozowiska archeologów.

Ruszyłem wehikułem.

— Co to za znak? — zapytał Cagliostro, wskazując przybitą do drzewa czerwono-białą tablicę.

— To znak drogowy: „zakaz wjazdu”.

— Więc czemu pan wjeżdża?

— Sądzę, że postawili go archeologowie, żeby nikt im tu nie jeździł i nie przeszkadzał w pracy. Ale jak pan wie, jestem tu służbowo, z ramienia Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków. Mnie ten znak nie dotyczy — wyprężyłem się dumnie.

O, w jakimż byłem błędzie!

— Jeśli chodzi o inne planety — Cagliostro powrócił do przerwanej rozmowy — to jestem zdania, że przede wszystkim Mars zamieszkały jest przez jakieś istoty myślące. Podobno wkrótce wyślemy aparatury badawcze na Marsa. Kto wie jednak, czy istoty z Marsa już od dawna nie przysyłają do nas swoich aparatów, które nas fotografują, przyglądają się naszemu życiu i wyciągają naukowe wnioski.

— Nie stwierdzono u nas jednak żadnych obcych aparatów — zauważyłem, rozglądając się po okolicy i wypatrując kogoś, kto mógłby udzielić mi informacji o ekspedycji archeologicznej.

— A latające talerze?

— To bzdura. Nie ma żadnych latających talerzy — oświadczyłem zdecydowanie.

— A ja wierzę w istnienie latających talerzy — upierał się Cagliostro.

— Bo pan wierzy w czarną i białą magię.

Cagliostro z ogromną godnością pokiwał głową.

— Są rzeczy na niebie i na ziemi, o których nie śniło się filozofom. Jestem zdania, że prędzej czy później czeka nas inwazja Marsjan.

Była dopiero czwarta po południu, ale w głębokim wąwozie jechaliśmy jak w mrocznym korytarzu. Korony drzew spletały się nad naszymi głowami, z obydwu stron pięły się stromo w górę wysokie ściany.

— Ciekawym, jak oni wyglądają? — powiedział mistrz.

— Kto?

— Marsjanie — odparł, jakby rzeczywiście nie miał innych zmartwień.

I właśnie w tym momencie, jakby w odpowiedzi na pytanie mistrza, w mrocznym tunelu wąwozu oślepiło nas jakieś ostre światło. Na krótką chwilą, aż zaniewidziałem i automatycznie nacisnąłem hamulec. Blask był ostry, niemal bolesny.

Zatrzymałem wehikuł. Blask z koloru białego zmienił się na żółty, a potem czerwony, aż wreszcie stał się niebieskawy, łagodny, przyjemny dla oka, lecz jednocześnie znakomicie rozpraszający mrok wąwozu.

O kilka metrów przed wehikułem zagradzał nam drogę jakiś dziwaczny stwór. Z początku odniosłem wrażenie, że mam przed sobą niezemską istotę, która patrzy na mnie pięciorgiem wielkich okrągłych oczu. Tylko jedno z nich rozbłyskiwało niebieskawym światłem, pozostałe zaś jak gdyby korzystając z jego blasku przyglądały się nam z największą uwagą.



Dziwaczny stwór miał gaśienice. Był kwadratowy, pokrywał go ciężki żelazny pancerz, tak że przypominał trochę malutki czołg, a raczej tankietkę z niewielką obrotową kopułą na górze. Na tej właśnie kopułce umieszczonych zostało pięć oczu podobnych do reflektorów.

Pojazd tkwił przede mną nieruchomo, choć jestem przekonany, że w momencie, gdy natknęliśmy się na niego, on także poruszał się i jechał w naszym kierunku. Ostrzegł mnie ostrym blaskiem, zmusił do zatrzymania, ale sam stanął również, aby uniknąć zderzenia. W wąskiej gardzieli wąwozu nie mogliśmy się wyminąć.

Spostrzegłem, że z pancerza pojazdu wysunęły się cztery długie czułki, a może anteny. Potem zabłyśło drugie oko. Jęzor żółtego światła jak gdyby obmacał dokładnie mój wehikuł i zajrzał nawet do wnętrza, oświetlając nasze twarze.

— Marsjanie... — wyszeptał Cagliostro i wcisnął się mocniej w oparcie fotela.

Przez sekundę strach ucapił mnie za gardło. Marsjanie? Czyżby Cagliostro naprawdę wykrakał inwazję Marsjan?

Myśli gorączkowo tłukły się po mojej głowie. Czytałem wiele książek o przygodach astronautów w dalekich galaktykach. Oglądałem wiele filmów o inwazjach przeróżnych pozaziemskich stworów na nasz piękny, choć tak niedoskonały glob. Ale przecież w żadnej z tych książek ani w żadnym filmie nie powiedziano, jak ma się zachować zwykły człowiek na wypadek spotkania z Marsjanami. I że też akurat mnie to się musiało przytrafić...

Żółtawy jęzor światła drugiego oka wciąż lizał moją twarz. Poirytowało mnie to trochę, bo musiałem zmrużyć oczy. Zapaliłem długie światło i jeszcze przycisnąłem guziczek światła przeciwmgielnego. Te przeciwmgielne latarnie to były lampy diodowe, diabelnie silne. Zaopatrzyłem w nie swój wehikuł podczas pobytu we Francji. Jęzory reflektorów skrzyżowały się w powietrzu i zderzyły.

Wtedy Marsjanin, którego chyba oślepiły moje lampy, błysnął trzecim okiem. Znowu uderzyło mnie bardzo ostre, białe światło, ale jego siłę osłabiała po części zapalone lampy diodowe. Obydwa nasze pojazdy stały teraz w potoku światła. Na dnie wąwozu można by znaleźć nawet igłę. Było tak jasno, jak na biurku, gdy pali się na nim nocna lampa.

Marsjanin pierwszy okazał znużenie tą walką reflektorów. Przygasił swoje latarnie, pozostawiając tylko na kopule słabe, niebieskawe, ostrzegawcze światło.

W odpowiedzi na to ja także wycofałem się z walki gasząc wszystkie reflektory. Pozostawiłem jedynie światła gabarytowe wehikułu.

— I co teraz zrobimy? — zapytałem Cagliostra.

— Nogi za pas. Bierzmy nogi za pas — wybełkotał przerażony iluzjonista.

— Jak pan to rozumie? A wehikuł?

— Do diabła z wehikułem. Uciekajmy na piechotę — zaproponował, ale bał się wyściubić nos z samochodu. Nawet klamki w drzwiach nie dotknął.

— Wehikułu nie pozostawię — oświadczyłem.

— To niech pan się szybko wycofa. Pojedziemy do Fromborka na milicję — proponował gorączkowo mistrz.

— A czy on pozwoli się nam wycofać? — zastanawiałem się. — Może nie zechce dopuścić do tego, żebyśmy kogoś zawiadomili o jego obecności? Dogoni nas i zgniecie jak skorupkę jajka. Trzeba się z nim dogadać. Najlepiej załatwić sprawę polubownie. Pójdę do nich na rozmowę.

Chwyciłem za klamkę w drzwiach, ale Cagliostro ucapił mnie za ramię.

— Nie, nie — jęknął błagalnie. — Niech pan tego nie robi. ONI są, być może, radioaktywni.

Raptem w tajemniczym pojeździe coś zachrypiało, zakaszłało, zakrztusiło się jak w megafonie dworcowym. Wydawało mi się, że ktoś ukryty w tym dziwnym pojeździe chce coś do nas powiedzieć, ale nie bardzo wie, w jakim języku. Może zresztą te kasznięcia i chrypięcia to był język Marsjan?

— Niech pan także spróbuje się z nimi dogadać — zaproponowałem Cagliostrowi.

— A w jaki sposób?

— Przecież pan studiował na Sorbonie. Przy pomocy telepatii albo hipnozy — powiedziałem.

— Coś pan? Tego mnie nie uczyli — wyznał mistrz. Niemal ogłuszył nas potężny głos. Niby ogromny gigantofon ryknął z całej mocy:

— Wycofacie się czy nie?!

— O Jezu! Po polsku. On mówi po polsku — jęknął radośnie iluzjonista.

Głos znowu zakrzyknął potężnie:

— No jazda! Wycofać się. Z drogi!

Chciał zdaje się jeszcze coś powiedzieć, ale rozkaszał się, zachrypiał, zakrztusił. Zapewne jego aparatura do gadania nie nazbyt dobrze działała.

I może dlatego zaraz poczułem się jakoś pewniej. Wstąpiła we mnie odwaga, zagrała krew husarzy i szwoleżerów.

Wylazłem z wehikułu i ujmując się pod boki, w szerokim rozkroku stanąłem przed maską samochodu.

— A z jakiej to racji, szanowny panie, ja mam się wycofać? Byłem pierwszy w wąwozie. Niech pan się cofnie — oświadczyłem gromko.

W dziwnym pojeździe znowu coś zabulgotało, zakaszłało. I tajemnicze COŚ powiedziało nieco spokojniejszym tonem:

— Jazda z drogi, bo was rozjadę.

— Co takiego? Obywatel nam grozi? — zapytałem. — Niech obywatel sam się wycofa.

Mój Boże, jakże swojsko to brzmiało. Jakbym znajdował się na stacji benzynowej i słyszał codzienną rozmowę między dżentelmenami, którzy podjeżdżali samochodami, żeby zatankować paliwo. Marsjanie? Jacy to Marsjanie?

Nawet Cagliostro pojął, że mamy do czynienia z jakimś naszym ziomkiem. Wychylił się z wehikułu i krzyknął w moim kierunku:

— Niech pan nie ustępuje z drogi. My tu byliśmy pierwsi.

— Z drogi, bo was zgniotę — zahuczało w tajemniczym pojeździe.

I dziwnie jakoś zastrzygł czółkami swoich anten. A potem wolno ruszył z miejsca. Pakował się wprost na nas.

Jak Rejtan rozkrzyżowałem ręce, zagrządzając mu dalszą drogę.

— Tylko bez głupich kawałów! — zawołał Cagliostro wychylając głowę przez okno wehikułu.

Tajemniczy pojazd stanął o kilka centymetrów przed moimi stopami.

— Dlaczego nie chcecie się wycofać? — zapytał chrapliwie.

— Bo to nie honor dla nas — odparł Cagliostro.

W tajemniczym pojeździe coś zachichotało. A potem głos zabrzmiał słodko, kokieteryjnie:

— Myślałam, że panowie są dżentelmenami i ustępują z drogi kobiecie.

Cagliostro natychmiast wyskoczył z wehikułu.

— To jakaś pani! — zawołał radośnie. — Ciekawym, czy ładna.

Podbiegł do tajemniczego pojazdu. Obleciał go dokoła, ale nigdzie nie znalazł drzwiczek ani okienka, przez które można by zajrzeć do wnętrza.

— O rany — zdumiał się. — Jak pani tam weszła?

Rzeczywiście, ja także zauważyłem, że tajemniczy pojazd nie miał ani drzwi, ani okien. Pani, która w nim siedziała, chyba patrzyła na nas przez któreś oko w ruchomej kopułce. Ale jak się tam dostała?

— Proszę pani. Halo, proszę pani — Cagliostro zapukał palcem w żelazny pancierz pojazdu.

A wtedy stała się rzecz straszna. Odskoczyły malutkie drzwiczki w boku pojazdu, wysunęła się z nich żelazna ręka. Stalowe palce chwyciły Cagliostro za kark i odciągnęły go na kilka kroków od pojazdu.

— Jezus Maria, mordują! — wrzeszczał Cagliostro trzymany w uścisku stalowych palców.

Ale żelazna ręka puściła go i wycofała się do wnętrza pojazdu. Malutkie drzwiczki zatrzasnęły się bezszelestnie.

— Co za brutalna kobieta — mruknął Cagliostro, macając swój kark.

Nagle pojazd drgnął lekko. A głos dziwnie zapiszczał:

— O Boże. Mysz! Dwie myszy wylazły z jego kieszeni!

Bo rzeczywiście, dwie białe myszki wyszły z kieszeni Cagliostro i po klapach jego surduta maszerowały na ramię.

— Niech pan natychmiast zabierze te swoje ohydne myszy — piszczał kobiecy głos.

Cagliostro, który nabrał już należytego szacunku dla groźnych możliwości owej kobiety, posłusznie chwycił obydwie myszki i ukrył je w kieszeniach.

A tymczasem odniosłem wrażenie, że dobiega mnie nieco ściszona rozmowa, odbywająca się w tajemniczym pojeździe.

Jakiś męski głos zapytał:

— Co się tam dzieje?

— Jakichś dwóch osobników zatarasowało drogę Asowi — odpowiedziała kobieta.

A więc ten pojazd nazywał się „As”. No tak, dopiero teraz zauważyłem nikły napis na jego boku. Dwie litery: „A” i „S”.

— Przecież tam jest znak drogowy: „zakaz wjazdu” — zauważył męski głos.

— No to niech się pan przyjrzy tym dwóm, którzy nie przestrzegają przepisów, panie profesorze — odrzekł kobiecy głos.

I raptem z obydwu boków pojazdu wyskoczyły żelazne ręce. Chwyciły mnie i Cagliostro za rękawy marynarek. Jednocześnie zaświecono reflektor i na nasze osoby skierowano strumienie światła, aby ten jakiś tam profesor z tajemniczego pojazdu mógł się nam dokładnie przyjrzeć.

— A ten ich samochód pan widział?! — zapytała kobieta. — Chyba sami go zbudowali z resztek złomu. Prezentuje się jak pojazd z Marsa.

— Słyszał pan? — krzyknął w moim kierunku Cagliostro. — Pana samochód nazwali pojazdem z Marsa. A sami to skąd są? Z Wenus?

— Cicho tam — upominał nas głos kobiety.

Profesor zapytał:

— I co z nimi zrobimy?

— Zamkniemy ich na parę dni w naszym baraku — zdecydowanie oświadczyła kobieta. — Bo jeśli ich wypuścimy, rozpędzą o tym, co widzieli, i napytamy sobie biedy. Nadciągną tłumy ciekawych i nie będziemy mogli przeprowadzić naszych eksperymentów.

— Co takiego? — krzyknąłem, szarpiąc się i usiłując uwolnić rękaw ze stalowych palców. — To zamach na naszą wolność. Ja się nie zgadzam. Ja protestuję! Jestem pracownikiem Departamentu Muzeum i Ochrony Zabytków. Mam we Fromborku poważne zadania do spełnienia.

— A jakie to zadania? — zapytała ironicznie kobieta.

— Sprawy Kopernika — odrzekłem, starając się zrobić jak najpoważniejszą minę.

— A czemu zjawił się pan właśnie tutaj, a nie we Fromborku? — indagowała kobieta.

— Sądziłem, że tutaj pracuje ekspedycja archeologiczna. Chciałem się zatrzymać w obozie archeologów. Przysięgam, że nic nikomu nie powiem o waszym Asie.

— Ekspedycja już się przeniosła do Fromborka — wyjaśniła mi kobieta.

A profesor oświadczył:

— Można mu zaufać. On nie zdradzi naszego Asa. Ale ten drugi wygląda mi podejrzanie.

— Kto to jest? — zapytała kobieta.

— Iluzjonista. Mistrz czarnej i białej magii. Nazywa się Cagliostro — przedstawiłem brodacza, którego mocno trzymała żelazna ręka.

— A więc tego zatrzymamy — zdecydował profesor.

— Co takiego? Nie! Ja protestuję — Cagliostro usiłował wyrwać rękaw marynarki ze stalowych palców.

Ale na pomoc Cagliostrowi przyszła kobieta z tajemniczego pojazdu.

— Nie zgadzam się — pisnęła. — On ma w kieszeniach myszy, profesorze. Nie zniosę myszy w naszym baraku.

— Przysięgam, że zachowam tajemnicę! — krzyczał rozpaczliwie Cagliostro. — A mam ze sobą nie tylko myszy, ale i ohydnygo zaskrońca.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej Piotrusia. Tym Piotrusiem zaczął wymachiwać jak pałką.

— Naprawdę, to zaskroniec — zdumiał się profesor.

Usłyszałem ciężkie westchnienie kobiety z tajemniczego pojazdu:

— Wydaje mi się, profesorze, że to dwóch nieszkodliwych wariatów. Puścimy ich, ale uprzednio niech złożą przysięgę milczenia.

— Przysięgamy milczenie! — ryknęliśmy chórem.

— No, a teraz jazda stąd — groźnie oświadczyła kobieta.

Żelazne ręce zwolniły swój mocny uścisk. Przygasły światła reflektorów na kopułce tajemniczego pojazdu. A potem niemal bezszelestnie dokonał zwrotu. Na naszych oczach wspiał się po stromej ścianie wąwozu. Gąsienicami i potężnym tułowiem łamał krzewy i cienkie drzewa.

Wspinał się szybko, po chwili już był wysoko i zniknął w lesie porastającym wzgórze.

A my trochę oszołomieni tym, co przeżyliśmy, staliśmy jak ogłupiali w mrocznym wąwozie. Upłynęła jeszcze chwila i to, co nas spotkało, zdało się tylko snem. Ale nie. To nie był sen. Na ścianie wąwozu wyraźnie rysował się ślad gąsienic i widniały połamane krzewy.

— Jedziemy do Fromborka — szepnąłem. Cagliostrovi dwa razy nie trzeba było powtarzać tej propozycji. Może lękał się, że tajemniczy pojazd tu powróci, a groźna niewiasta rozmyśli się i każe go zamknąć? Błyskawicznie znalazł się w wehikule. Ja postąpiłem tak samo. Prędko cofałem się tyłem z wąwozu. W szalonym tempie, jakby uciekając przed straszliwym niebezpieczeństwem, mknęliśmy do Fromborka.

Dopiero gdy byliśmy daleko od nieszczęsnego znaku zakazu wjazdu, zwolniłem, odetchnąłem z ulgą i powiedziałem:

— Diabelny As. O mało mi nie wyrwał rękawa. Piekielny As.

— Psssst! Cicho. Niech pan nie wymawia tego słowa nadaremnie — mruknął Cagliostro.

— Tak jest. Obowiązuje nas przysięga milczenia — przypomniałem. — Tym bardziej, że z tym Asem nic nie wiadomo. Może słyszy i widzi na odległość?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

CO SIĘ STAŁO W POCZDAMIE · NOCNA ROZMOWA O HERDERZE, BISKUPIE WARMIŃSKIM · DZIWNE PYTANIE CAGLIOSTRA · CO WIEM O KOENIGU · TAJEMNICZA KARTECZKA · POJAWIENIE SIĘ BAŚKI · CZY PIETRUSZKA JUŻ

TRAFIŁ DO DRUGIEGO SCHOWKA · KIM JEST CAGLIOSTRO · NOCĄ NA FROMBORSKIEJ PRZYSTANI · ZAGADKOWA PACZKA

— Niech pan powie szczerą prawdę: czy rzeczywiście i całkowicie mamy prawo do tych terenów? — nieoczekiwanie zapytał mnie Cagliostro.

Zrobiłem zdumioną minę.

— Nie przypuszczałem, że podobne problemy zaprzatają mistrza czarnej i białej magii.

Ze smutkiem pokiwał głową.

— Co pan wie o iluzjonistach? To prawda, że tworzymy coś w rodzaju międzynarodowego towarzystwa, a jak mówią złośliwi — międzynarodową zgraję. Występowałem w cyrkach węgierskich, czeskich, greckich, francuskich, niemieckich. Ale sprawy własnej ojczyzny trapią nas chyba nie mniej niż innych ludzi. Ba, może nawet bardziej niż innych, bo w naszej pracy zawodowej stykamy się z ludźmi innych krajów. Kilka bardzo pięknych sztuczek wyuczył mnie w Berlinie Zachodnim pewien stary iluzjonista, Niemiec. Otóż on urodził się gdzieś pod Rastemborgiem, czyli dzisiejszym Kętrzyńcem...

— I oczywiście nosił w sobie żal, że zlikwidowano Prusy Wschodnie — domyśliłem się.

— Poniekąd. Pewnego dnia zaprowadził mnie do wielce uczonego profesora, który długo i dokładnie wyjaśniał mi ich prawa do tych ziem. A to nie był głupi człowiek, proszę pana. Już nie pamiętam jego argumentów, ale one brzmiały przekonująco. I mówił je szczerze. A ja nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć...

Wzruszyłem ramionami.

— Nie musiał pan odpowiadać jak uczonego historyk, archeolog albo etnograf. Decyzje w sprawie likwidacji tak zwanych Prus Wschodnich wydały w Poczdamie trzy wielkie mocarstwa w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, zaraz po klęsce hitlerowskich Niemiec. Prusy Wschodnie, które były zawsze łęgowskim szowinizmu i niemieckiej ekspansji na wschód, bo tutaj właśnie, proszę pana, były majątki junkrów pruskich, owych osławionych „prusaków” zasilających kadry wojsk hitlerowskich, musiały być zlikwidowane na zawsze. Uznano prawo narodu polskiego do zachodniej części Prus Wschodnich, a wschodnie tereny dawnych Prus wraz z Królewcem weszły w skład Związku Radzieckiego. Decyzja trzech wielkich mocarstw poszła jeszcze dalej: zezwolono przesiedlić stąd ludność pochodzenia niemieckiego na zachód, aby już nigdy w przyszłości z pruskiej twierdzy zaborczości i militarizmu nie wyruszyły hordy przeciw światu.

Umilkłem i wypiliśmy potężny łyk mocnej herbaty.

Siedzieliśmy na brzegu Zalewu Wiślanego, w pobliżu plaży miejskiej we Fromborku. Właśnie tam, nieco dalej od miasta, zdecydowałem się rozbić swój pierwszy biwak.

Cagliostro rozstawił mój namiot, nadmuchał pożyczony ode mnie materac i rozłożył dwa koce. Jego zwierzaki, nakarmione i zmęczone podróżą, spały w namiocie w specjalnie przygotowanych pudełkach, które wiozł ze sobą Cagliostro.

Zapadł wieczór. Na maszynie gazowej przyrządziliśmy kolację z moich zapasów i teraz, siedząc na piasku omywanym przez fale zalewu, patrzyliśmy ponad czarną tonią w stronę Mierzei Wiślanej.

Za naszymi plecami, nieco na lewo, leżał Frombork rozjarzony światłami. Gdzieś z dala dochodził śpiew młodych głosów, to zapewne jakąś wieczorną zabawę organizowali harcerze, biorący udział w operacji „Frombork 1001”. Ale tu, nad brzegiem zalewu, było cicho i pusto, tylko fale wypływające na brzeg szeleściły monotonna.

Od wody wiał lekki wiaterek i przynosił zapach morza. Na niebie pojawił się księżyc — podobny do brakteatu, o nieco zatartym, trudnym do odczytania rysunku — zarysach gór i suchych mórz.

— Nie wiem — powiedziałem do Cagliostrowi — jakich argumentów użył ów profesor niemiecki, który z panem dyskutował na temat naszych Ziemi Północnych. Ale argumenty te są zazwyczaj jednakie. Wskazują na wiekowe zasiedlenie tych ziem przez Niemców, na zamki krzyżackie, na liczne budowle, które tu wzniesli Niemcy, wreszcie na wielkich ludzi, którzy stąd się wywodzą. Najciekawsze jest to, że my, Polacy, wcale nie zaprzeczamy tym twierdzeniom. Hitlerowcy niszczyli wszystkie ślady polskości na tych ziemiach, a my? Proszę pojechać do Morağa. Na rynku miejskim w zabytkowym ratuszu mieści się muzeum imienia Herdera, wielkiego niemieckiego poety i filozofa. Nie tylko nie ukrywamy faktu, że Herder urodził się tutaj, ale jesteśmy z tego dumni. I wcale to nie przeczy naszym prawom historycznym do tych ziem. W morąskim i kilku innych powiatach Mazur mieszkało wielu Niemców, w innych zaś powiatach Mazur, nie mówiąc o na wskroś polskiej Warmii, mieszkała większość Polaków. Niemcy nie nazywali ich Polakami, tylko Mazurami, jakby to były dwie różne nacje, co oczywiście zawsze mogło być tylko śmieszne i świadczyło o niemieckim zakłamaniu. Niemcy przeważnie zamieszkiwali miasta, a tylko niewielu zasiedlało zachodnią część Mazur. Poza tym mieszkali tu osadnicy holenderscy. Ci już bliżej Powiśla. Ale podstawowy trzon ludności wiejskiej — to byli Polacy z Mazowsza, tak zwani Mazurzy. Poza nimi żyła tu ogromna masa Litwinów, a także trochę potomków dawnych właścicieli tych ziem, Prusów. Rzecz jasna, że w tak bardzo zróżnicowanym środowisku musiały zachodzić najrozmaitsze procesy. I tak, wielu Mazurów, Polaków z dziada pradziada, nagle stawało się zagorzałymi krzewicielami niemieckości. Gdyby pan zainteresował się dziś wieloma działaczami tak zwanych „ziomkostw” w RFN, przekonałby się pan, ku swemu zdziwieniu, że wielu tych ludzi nosi polskie nazwiska. Ale bywało i odwrotnie. Tu posłużę się przykładem sławnego działacza na mazurach, Wojciecha Kętrzyńskiego. Urodził się on w całkowicie zniemczony rodzinie, jako dziecko nie umiał w ogóle po polsku. Pewnego dnia odnalazł dokumenty, z których wynikało, że jest z pochodzenia Polakiem. Obudziło się w nim ogromne poczucie więzi z Polską. Jego wiersze pisane zresztą po niemiecku, przeniknięte są duchem niezwykle żarliwego patriotyzmu polskiego. Dziś jego nazwisko nosi miasto Kętrzyn, dawny Rastemborg. A więc, jak powiadam, te ziemie tworzyły przedziwny konglomerat narodowościowy. Ale jako państwowość Prusy Wschodnie były tworem stosunkowo nie tak dawnym. W tysiąc siedemset pierwszym roku ówczesny elektor pruski i lennik polski, Fryderyk I, ukoronował się na władcę Prus, na co, niestety, wyraził zgodę król polski August II, choć sejm tej zgody odmówił. Polska była już wówczas krajem słabym i nie miała sił bronić swych praw orężem. Polska jednak była tu znacznie wcześniej. Po pokoju



toruńskim, to jest po klęsce zakonu krzyżackiego w tysiąc czterysta sześćdziesiątym szóstym roku, jako Prusy Królewskie w skład Polski weszły: Pomorze Gdańskie, Ziemia Chełmińska i Michałowska, Elbląg, Dzierzgoń, Malbork oraz Warmia. Pozostała część państwa krzyżackiego stała się lennem Polski, a pół wieku później otrzymała nazwę Prus Książęcych.

Nagle stało się coś dziwnego. Spostrzegłem, że z ogarniętych nocą krzaków nadbrzeżnych za moimi plecami wyfrunął mały kamyczek i uderzył Cagliostro w kolano. Kamyczek potoczył się i zniknął w trawie, ale przecież zauważyłem, że była do niego przywiązana jakaś karteczka.

Nie dałem po sobie znać, że widziałem kamyczek i kartkę. Tylko na krótko zawiesiłem głos, lecz już po chwili mówiłem dalej, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Wydawało mi się jednak, że Cagliostro mnie nie słucha, myślami jest gdzieś bardzo daleko, a raczej bardzo blisko, przy owym kamyczku z karteczką, która leżała w trawie w zasięgu jego ręki. Lecz przecież po nią nie sięgał, zapewne w obawie, że to zauważy.

Obudziła się we mnie podejrzliwość. Mówiłem Cagliostrovi o historii Prus Wschodnich, a jednocześnie myślałem, że jego pytania o sprawy tej ziemi wcale nie wynikały z ciekawości człowieka, który kiedyś tam rozmawiał z jakimś uczonym niemieckim, ale wyraźnie zmierzały ku jakiejś ważniejszej dla niego sprawie. To nurtujące go pytanie miało być ukryte wśród wielu innych, nie wzbudzających podejrzeń.

Przez chwilę miałem ochotę odstawić szklanekę z herbatą, podnieść się z trawy i chwycić kamyczek z karteczką. Pomyślałem jednak, że Cagliostro zauważy ten manewr, może mnie ubiec i pierwszy chwyci kartkę, której oczywiście już mi nie odda. Czy nie lepiej więc było udać, że się nic nie widziało? Udać głupca, a jednocześnie mieć Cagliostro na oku.

Gdy umilkłem Cagliostro zapytał:

— A jednak, mimo że mieszkało tu tylu Polaków, po pierwszej wojnie światowej przegraliśmy plebiscyt. Większość ludzi opowiedziała się za Niemcami.

— To prawda — przytaknąłem, zastanawiając się, czy to już jest to zasadnicze pytanie, którego należało oczekiwać. — Ale proszę pamiętać, że wtedy władzę w Prusach sprawowali Niemcy i plebiscyt odbywał się w atmosferze niemieckiego nacisku i terroru, a Polaków, którzy chcieli się opowiedzieć za Polską, szantażowano i nawet mordowano.

Proszę też pamiętać, że wtedy powstała Polska, gdzie bardzo istotną rolę odgrywała chadecja i kler katolicki, nie zawsze tolerancyjny wobec ludzi innej wiary. W powiecie działdowskim, jeszcze przed plebiscytem administrowanym przez Polskę, mieszkało osiemnaście tysięcy Mazurów ewangelików. Zdarzały się tam wypadki dyskryminowania ich, co pogłębiało nieufność i podejrzliwość. Te wypadki dyskryminowania ewangelików wykorzystywali potem Niemcy w swej antypolskiej propagandzie. Bo Niemcy stosowali tu zupełnie odmienną politykę niż na przykład w Poznańskim. Tam działała Hakata, zabraniająca Polakom nawet mówić po polsku. A tu Niemcy nie przekonywali Mazura, że jest Niemcem lub że Niemcem musi zostać. Tłumaczyli tylko: „Piszesz gotykiem tak jak Niemiec, jesteś ewangelikiem tak jak Niemiec. A język, którym władasz, też nie jest polski, ale mazurski. Tyle lat żyjesz z Niemcami, to żyj i dalej, bo jak się opowiesz za Polską, to Polacy z ciebie zrobią katolika, będziesz pisał łacińskimi literami i wszystko będzie musiało być tak, jak tam”.

Niemcy pozwalali starszemu pokoleniu modlić się „po mazursku”, pozwalali wydawać gazety, mówić „po mazursku”, a germanizacja obejmowała tylko młode pokolenie. Liczono, że jak starsze pokolenie wymrze, to problem mazurski sam z siebie zniknie. Tak było w czasach plebiscytu i nie mogło to nie mieć wpływu na jego przebieg. Potem, gdy już Hitler doszedł do władzy, Niemcy zmienili swoją politykę. Przystąpili również do brutalnej germanizacji Mazurów.

— A ten rabuś Koenig? — zapytał nagle Cagliostro. — Jak pan sądzi, czy on pochodził z tych okolic, czy też przyniosła go do Fromborka zawierucha wojenna?

— Interesują pana skarby pułkownika Koeniga? — zdziwiłem się. I pomyślałem, że być może, to jest właśnie pytanie, które chciał ukryć pośród innych.

— Czytałem o tym w gazecie. Szkoda, że pan nie szuka skarbów. Mógłbym okazać się pomocny. Mam ze sobą swoją cudowną różdżkę...

O mało nie parsknąłem śmiechem na samą myśl, co powiedziałyby dyrektor Marczak, gdyby nagle dowiedział się, że szukam skarbów przy pomocy czarodziejskiej różdżki.

— Koenig — dodał Cagliostro — to po polsku król. Może on kiedyś nazywał się Król, a potem zniemczył nazwisko na Koenig?

— Przepraszam, jakie to ma znaczenie, czy Koenig był kimś tutejszym, czy znalazł się we Fromborku przypadkowo?

— Wydaje mi się, że to niezwykle ważne. Jeśli był na przykład mieszkańcem Fromborka, tu żyła jego rodzina, zwoził tutaj swoje zrabowane w Polsce łupy, to zapewne długo i starannie przygotowywał się do ich ukrycia. Jeśli natomiast wraz ze swymi łupami znalazł się we Fromborku przypadkowo, licząc, że tą drogą uda mu się dostać na Mierzeję Wiślaną i stamtąd statkiem ucieknąć do Niemiec, to chyba ukrył swoje skarby w pośpiechu, byle gdzie, bo nie miał czasu na odpowiednie wybranie kryjóWKi. A to chyba ważne przy poszukiwaniach.

— Dalipan, tak! — zawołałem. I z większym szacunkiem spojrzałem na Cagliostra.

Oczywiście, to miało istotne znaczenie. I że też ja o tym nie pomyślałem. Cagliostro, mistrz czarnej i białej magii, okazał się w tej sprawie sprytniejszy ode mnie.

— Więc pan nic nie wie o tym Koenigu? — zapytał Cagliostro.

— Niestety — westchnąłem. — Muszę pana rozczarować, ale nie posiadam żadnych informacji.

Nagie Cagliostro aż się przygarbił.

— Ktoś tu się skrada — szepnął, patrząc w stronę krzaków za moimi plecami.

Obejrzałem się. Zrobiłem to odruchowo. Dopiero po sekundzie przyszła mi do głowy myśl, że ten moment on może wykorzystać dla chwycenia karteczki. Gdy odwróciłem się znowu twarzą do Cagliostra, siedział on spokojnie, bez ruchu, ale przecież byłem przekonany, że jego zręczne palce już zdążyły ukryć w kieszeni kartkę.

— Nikogo tu nie ma — powiedziałem. — Pan mnie nabrał, mistrzu.

Ale tego rodzaju oszustwo nie leżało chyba w zwyczajach Cagliostro. Usłyszałem szelest za swymi plecami

I gdy znowu obejrzałem się, zobaczyłem przedzierającą się przez krzaki jakąś postać.

Rozpoznałem ją. To nadchodził mój przyjaciel Baśka, szesnastoletni chłopiec w mundurze harcerskim.

— A jednak nie zawiódł mnie mój harcerski nos — roześmiał się, podając mi rękę na przywitanie. — Domyśliłem się, że pan tu przyjdzie, otrzymawszy mój list. A gdy przed trzema godzinami któryś z chłopaków powiedział mi, że widział na ulicy we Fromborku bardzo śmieszny samochód, wiedziałem już, że pan jest w pobliżu. I zacząłem dedukować, w którym miejscu zatrzymał się pan. Oczywiście nad zalewem. Pan lubi świeże powietrze i ładne widoki. A to jest najlepsze miejsce na biwak — stwierdził.

Przedstawiłem chłopcu Cagliostro.

— Uwielbiam sztuki magiczne! — zawołał zachwycony Baśka. — Zaprosimy pana na nasze ognisko, zgoda? A może nauczy pan nas jakichś sztuczek?

— No jasne — roześmiałem się. — Harcerze wielbią czarną i białą magię.

A Cagliostro, zadowolony z zachwytów chłopca, zapytał go z uśmiechem:

— Jesteś harcerzem, prawda?

— Nawet drużynowym — dodałem.

— A więc nie pijesz alkoholu?

— Nie — odrzekł chłopiec.

— Papierosów też nie palisz, prawda?

— Nie palę — odpowiedział.

— A czemu nosisz przy sobie papierosy? — z potępieniem w głosie zapytał mistrz.

— Ja? — zdumiał się Baśka. — Ja nic takiego nie noszę.

W tym momencie Cagliostro wyciągnął rękę do chłopca, odpiął guzik przy kieszeni jego harcerskiej bluzy i na naszych oczach, wyciągnął z niej papierosa.

— O, masz jeszcze drugiego — oświadczył.

Potem sięgnął do drugiej kieszeni w bluzie Baśki i wyjął z niej jeszcze dwa papierosy.

Niesamowity był ten Cagliostro. Jak on to zrobił?

Zdumiony Baśka popatrzył na mnie, jakby u mnie szukając wyjaśnienia zagadki. Ale ja przecież nie miałem pojęcia o białej i czarnej magii.

— Nie martw się — uśmiechnął się mistrz do chłopca. — Ja wiem, że ty nie miałeś przy sobie papierosów. To wyczarowała je siła magii. Popatrz, te papierosy rozpułną się w powietrzu.

Położył papierosa na otwartej dłoni, potem dłoń zwinął w pięść, podniósł ją wysoko do góry i dmuchnął sobie w rękaw. Rękę cofnął, dłoń otworzył. Okazało się, że jest pusta, papieros znikł, przepadł bez śladu.

Zaklaskałem w dłonie wyrażając w ten sposób uznanie dla iluzjonisty i jego sztuki.

Cagliostro skłonił się nam jak po występie.

— Dziękuję państwu — rzekł. — A co do występów przed harcorską widownią, bardzo chętnie to uczynię. Oczywiście, za jakąś skromną opłatą — dodał. — Opłata musi być nieco wyższa, jeśli przy okazji zechcecie się nauczyć tej czy innej sztuki. Bardzo chętnie zdradzam publiczności sekrety czarnej i białej magii.

— A czy są takie sztuki, których można się szybko nauczyć? — zapytał chłopiec.

— Oczywiście. Inne, niestety, trzeba ćwiczyć latami.

Potem ostentacyjnie ziewnął.

— No, ja już pójdę spać. Panowie pozwolą, że ich pożegnam.

Znowu skłonił się nam. Wlazł do namiotu, zasnurowując płócienne drzwi. Podniosłem się z trawy.

— Odprowadzę cię, Baśka — zaproponowałem.

Chłopiec natychmiast zrozumiał, że chcę z nim porozmawiać na osobności. Poszliśmy piaszczystym brzegiem Zalewu Wiślanego w stronę fromborskiej przystani.

— Nasz obóz znajduje się nad brzegiem zalewu, ale po drugiej stronie przystani, za torem kolejowym — wyjaśnił Baśka. — Łatwo pan będzie mógł trafić do nas.

— Co do mnie — powiedziałem — jeszcze nie wiem, gdzie się zatrzymam na stałe. Wolałbym wynająć jakiś pokój. Będą musiał przecież często spotykać się z naukowcami, wędrować po mieście, a trochę boję się zostawić biwak nad zalewem na łasce Cagliostora.

— Może w schronisku PTTK będą wolne pokoje? — zastanawiał się chłopiec.

To był dobry pomysł.

— Nareszcie pozbędę się Cagliostora — rozmyślałem głośno.

Opowiedziałem Baśce, w jaki sposób zetknąłem się z Cagliostrem, o naszej podróży i rozmowach. Pomiąłem tylko przygodę z wąwozu, gdy to spotkaliśmy tajemniczego Asa, byłem bowiem w tej sprawie związany przysięgą milczenia. Natomiast nie ukryłem zdarzenia z karteczką.

— I z takim właśnie człowiekiem pan przebywa? — zdumiał się chłopiec.

— On nie wie, że zauważyłem karteczkę, będzie więc postępował chyba bardzo swobodnie. W ten sposób może poprzez niego wyjaśnię niektóre sprawy.

Z kolei opowiedziałem chłopcu o monetach, o Baturze, o krzyżu bogacza i o rozmowie z dyrektorem Marczakiem.

— Tak więc sam rozumiesz — mówiłem — że misja moja we Fromborku jest nad wyraz delikatna. Zagadka bezcennych monet splata się z zagadką schowków Koeniga, a tę sprawę prowadzi magister Pietruszka, bardzo ambitny i obraźliwy. Jak wyjaśnić sprawę monet, jednocześnie nie wchodząc w paradę magistrowi Pietruszce, skoro te obydwie zagadki są z sobą ściśle związane?

— A jakie pan ma dla mnie zadania? — zapytał chłopiec.

Jakie zadania mogłem powierzyć chłopcu zajętemu we Fromborku harcerskimi sprawami? Podałem mu rysopis Waldemara Batury.

— Zwróć uwagę — powiedziałem — czy ten człowiek nie zjawi się we Fromborku. A jeśli go napotkasz, oczywiście, należy go śledzić.

Baśka westchnął.

— Ja sam nie dam z tym wszystkim rady. Z mojej drużyny także nikogo w tę sprawę nie mogę wciągnąć, bo mam pod opieką bardzo młodych chłopców. Ale wie pan — nagle ściszył głos i rzekł jakby nieco zawstydzony: — Poznałem tu drużynę harcerzek z Katowic. Fajne dziewczyny. A najfajniejsza wśród nich to kronikarka Zosia. Ona jest bardzo inteligentna, panie Tomaszu. Brała udział w matematycznych quizach i dostawała pierwsze miejsca.

— Zgoda — uśmiechnąłem się pod nosem. — Możesz ją wciągnąć w nasze sprawy.

Minęliśmy fromborską przystań, przeszliśmy obok stacji kolejowej i znowu skręciliśmy nad brzeg zalewu.

— A co słyhać u magistra Pietruszki? — zapytałem. — Czy pozostajesz z nim w kontakcie?

— On mieszka w schronisku PTTK. Ale kontakt mamy bardzo luźny. Nie może mi powiedzieć wprost: nie wsadzaj nosa w sprawy skarbów Koeniga, bo to my odnaleźliśmy dokument z planem schowków. Z drugiej jednak strony niechętnie udziela nam jakichkolwiek wyjaśnień. Jednym słowem, opęda się ode mnie jak od natrętnej muchy. I co zauważyłem: ostatnio był bardzo smutny i poirytowany, wprost czuło się, że on nie wie, gdzie szukać pozostałych dwóch kryjówek. A od wczoraj nagle poweselał. Nie chodzi po Fromborku, ale

niemal radośnie fruwa w powietrzu. Widziałem go w towarzystwie pięknej pani, o której wiem, że jest archeologiem i przezywają ją „Babie Lato”...

— Ach tak...

— Wczoraj w towarzystwie tej pani poszedł w stronę rzeki Baudy. Nie było ich widać dość długo.

— No i co? No i co dalej? — pytałem zaciekawiony.

— Wrócili po dwóch godzinach, kłócąc się ze sobą zawzięcie, ale nie mam pojęcia, na jaki temat. A potem ta pani wyjechała do Warszawy. Magister Pietruszka odprowadził ją na dworzec kolejowy, a jak wracał do schroniska, to radośnie pogwizdywał. Spotkał mnie i rzekł: „Jak się masz, chłopcze. Wiem, że cię interesuje sprawa skarbów, to ci tylko powiem: niedługo odnajdę drugi schowek”. Więc to znaczy, panie Tomaszu, że on już jest na tropie.

— To bardzo dobrze — ucieszyłem się. Ale coś mnie zastanowiło. — I powiadasz, że poszli w stronę Baudy? — upewniłem się.

— Tak, proszę pana — skinął głową.

A więc poszli w rejon, gdzie działał As z żelaznymi rękami. Czyżby Pietruszkę łączyło coś z tajemniczymi osobami w Asie? A może Babie Lato zaprowadziła Pietruszkę na grodzisko, które znajdowało się w tamtej stronie? Tylko dlaczego powracali kłócąc się ze sobą? A poza tym, magister Pietruszka nigdy nie interesował się archeologią.

Chłopiec zatrzymał się.

— Oto i nasz obóz — powiedział, wskazując kilkanaście namiotów rozstawionych na rozległej łące w pobliżu brzegu zalewu. — Pożegnaj pana, a jutro spotkamy się znowu, prawda?

— Postaram się zamieszkać w schronisku PTTK i tam się o mnie dowiaduj — odrzekłem ściskając na pożegnanie dłoń Baški.

Rozeszliśmy się w różne strony. Wracałem znowu brzegiem zalewu, a gdy zbliżałem się do zabudowań okalających przystań nadbrzeżną, przeszedłem przez tory kolejowe i znalazłem się na skraju miasteczka.

Była już noc. Na wąskiej i krętej uliczce z rzadka świeciły latarnie, a ogromny masyw wzgórza i katedry fromborskiej zupełnie tonął w ciemnościach. Do uliczki przylegały małe śmieszne domki, podobne do pudełek zapalek, w oknach ich już nie paliły się światła.

Uliczka prowadziła w pola i na łągi nadbrzeżne. Znalazłem ścieżkę, która znowu wiodła nad brzeg morza.

Raptem zatrzymałem się, a potem przykucnąłem za rosnącymi w pobliżu wysokimi krzakami.

Od strony mojego biwaku ktoś nadchodził. Niebo było podświetlone przez księżyc, natychmiast więc rozpoznałem sylwetkę Cagliostro. Mistrz czarnej i białej magii maszerował

w stronę przystani. Niósł w ręku jedną ze swych paczek. Idąc rozglądał się na wszystkie strony, niekiedy przystawał i znowu się rozglądał. Zapewne obawiał się, że może się na mnie natknąć, czego — jak sędzę — wolał uniknąć. Przecież zrobił wszystko, aby mnie przekonać, że ułożył się do snu w namiocie.

Poczekalem, aż przeszedł mimo mnie, i ostrożnie udałem się jego śladem.

Tak, kierował się do przystani. Lecz nie ominął jej, jak to ja z Baską zrobiliśmy, ale przez furtkę w ogrodzeniu wszedł na betonowy falochron.

Fromborska przystań nie jest duża. Składa się z szerokiego obmurowanego basenu, gdzie właśnie kołysało się na falach kilka motorówek, jachtów i łodzi rybackich. Z przystani wbijała się w wody zalewu dość długa ostroga betonowego falochronu, osłaniającego basen. Na końcu falochronu świeciła maleńka latarnia. Tu przybijały jachty i statki żeglugi gdańskiej.

Ukryłem się za niedużą budką, w której mieściła się kasa biletowa, i widziałem, że Cagliostro wszedł na betonową ostrogą falochronu. Zatrzymał się pod latarnią morską, zapalił papierosa i zdawało się, że zaczął na kogoś oczekiwać, bo paczkę postawił na ziemi, tuż przy swoich nogach.

Dookoła nas słyszało się tylko jednostajny szmer fal uderzających w falochron i rozpryskujących się o jego betonowy próg. Dopiero po dziesięciu minutach usłyszałem od strony morza głuchy warkot motoru. Potem zobaczyłem światła rybackiej łodzi motorowej, która kołysząc się na falach, przybliżała się do fromborskiego portu.

Jeszcze chwila i rybacka łódź przybiła do betonowego brzegu, widziałem, że ktoś z niej wyskoczył i zarzucił cumę na drewniany pał. Ktoś drugi również wyskoczył z łodzi, podszedł do Cagliostra, przywitał się z nim, a potem wziął do rąk paczkę...

A więc wyjaśniła się po części tajemnica karteczki. Zapewne kryła się w niej dla Cagliostra wiadomość, gdzie i o której godzinie czekać ma on na przybycie rybackiej łodzi.

Przemknęło mi przez myśl, że Cagliostro jest w zмовie z Baturą. Któż lepiej od Waldka znał słabostki sekretarki dyrektora Marczaka. Przecież Batura pracował czas jakiś na etacie naszego departamentu.

Po rozmowie w „Honoratce” musiał dojść do wniosku, że trafią w końcu na trop wiodący do Fromborka. Zadzwoił do sekretarki dyrektora Marczaka i dowiedziawszy się, że właśnie przygotowują dla mnie delegację służbową do Fromborka — zyskał co do tego pewność. Potem drugi telefon, pudełko czekoladek. Cagliostro oczekujący mnie na korytarzu Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Zrozumiałem, po co mi wlepił Cagliostra. Zadaniem mistrza czarnej i białej magii było wkraść się w moje zaufanie i informować Baturę o wszelkich moich przedsięwzięciach.

Oczywiście, mogłem teraz wyjść zza budki, niespodziewanie zjawić się przed nim i w ten sposób zakończyć podwójną grę Cagliostra. Ale czy nie więcej bym na tym stracił?

Cagliostro był dla mnie nieszkodliwy, skoro wiedziałem o jego podwójnej roli. Mało tego, mógł mi się bardzo przydać, jeśli miał za zadanie przekazywać Baturze zdobyte ode mnie informacje.

„Już ja mu udzielę takich informacji, że Baturze wyjdzie to bokiem” — pomyślałem radośnie.

Ale zaraz pojawiło się zmartwienie. Co było w paczce, którą Cagliostro przyniósł na przystań?

O tych sprawach myślałem, patrząc na dwóch ludzi rozmawiających na końcu falochronu, gdy obok mnie kołysała się rybacka motorowa łódź. Rozmawiali długo. Za długo jak na mój zasób cierpliwości.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

UCZENI I ZAGADKI · CO MA W GŁOWIE MAGISTER PIETRUSZKA · NOWE SZTUCZKI CAGLIOSTRA · FROMBORSKA WAROWNIA · KTO SIĘ ŚMIEJE Z WŁASNYCH DOWCIPÓW · PANNA ALA · GDZIE MIESZKAŁ KOPERNIK · TAJEMNICA PANNY ALI · CZY GAZETA PIJE WODE · KOT, KTÓRY BAŁ SIĘ MYSZY

Nie udało mi się pozbyć towarzystwa Cagliostra. W schronisku PTTK, mieszczącym się na wysokiej skarpie w pobliżu katedry, było bardzo tłoczno, ale moja legitymacja służbowa z Ministerstwa Kultury i Sztuki zrobiła pewne wrażenie na pani z recepcji i otrzymałem pokój, który miał dwa łóżka. W tej sytuacji nie potrafiłem powiedzieć „nie” Cagliostrowi i kazać mu iść spać na ulicy.

Pani z recepcji, która wzięła mnie za jakiegoś uczonego męża z Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków, poinformowała mnie:

— Znajdzie pan w naszym schronisku doborowe towarzystwo. I zapewne wielu znajomych. Mieszkają u nas wybitni astronomowie, historycy, archeologowie. Nadeszła pięćsetna rocznica urodzin Mikołaja Kopernika. Cały świat naukowy patrzy na Frombork.

Miała rację. Frombork to przecież w gruncie rzeczy tylko małe miasteczko, liczące zaledwie dwa tysiące mieszkańców. Zainteresowanie zawdzięcza przede wszystkim osobie Mikołaja Kopernika, który tu dokonał genialnych odkryć i napisał swoje wiekopomne dzieło „O obrotach ciał niebieskich”.

W jadalni schroniska, dokąd poszliśmy z Cagliostrem na śniadanie, zobaczyłem przy stolikach wielu wybitnych naukowców. Ludzi tych sprawy nauki pochłaniały bez reszty, czemu zupełnie się nie dziwiłem. Jakże bowiem mylą się ci, którzy wyobrażają sobie naukę jako coś nudnego, pozbawionego romantyzmu. Nie tylko w dalekich pampasach, w dżunglach Afryki czy w Górach Skalistych, ale również w ogromnej gęstwinie wiedzy ludzkiej znaleźć



można najwspanialszą, najbardziej dramatyczną przygodę. Uczni przypominają mi detektywów, tylko często terenem ich działania są półki bibliotek i archiwów.

Iluż zagadek do rozwiązania dostarczał choćby Frombork i sprawy związane z Mikołajem Kopernikiem.

Wiemy dużo o jego życiu i dziele, ale gdzie kryje się grób Kopernika?

Wiemy dużo o życiu Kopernika i jego dziele, ale w którym miejscu dokonał swego odkrycia, które wstrząsnęło światem? Gdzie znajdowało się jego obserwatorium?

Przybywając do Fromborka wiedziałem, że będę musiał otrzeć się i o te zagadki. Nie byłem uczonym mężem, nie moim zadaniem było je rozwiązać. Ale z szacunkiem i podziwem spoglądałem na uczonych myśląc o wielu przyjemnościach, jakich mi dostarczą rozmowy z nimi.

Jedynym zgrzytem w tej miłej dla mnie atmosferze było zjawienie się w jadalni magistra Pietruszki. Wszedł, zobaczył mnie i na moment aż zdrętwiał.

Uprzejmie przywołałem go do stolika i przedstawiłem Cagliostro, który jadł ze mną śniadanie.

Pietruszka był niskim, chudym młodzieńcem o długich jasnych włosach i orlim nosie. Wyglądał jak Chopin, nosił okulary o grubych szklach, ale nie kryły one jego podejrzliwych, małych, świdrujących oczek.

Z wykształcenia, podobnie jak i ja, był historykiem sztuki i świetnym znawcą flamandzkiego malarstwa. Ale odkąd na strychu pewnego kościoła odkrył obraz z pracowni Rubensa, ubzdurał sobie, że ma zdolności detektywistyczne.

— Nie obawiaj się — powiedziałem do niego na wstępie. — Nie przyjechałem, aby odebrać ci sprawę Koeniga. Mam opracować przewodnik po Fromborku.

— Wiem — burknął niegrzecznie. — Dyrektor Marczak poinformował mnie o tym telefonicznie. Ja zacząłem sprawę skarbów Koeniga i ja ją zakończę.

Pietruszka równie podejrzliwie odniósł się i do Cagliostro.

— Przepraszam, a kim pan jest? Bo podczas prezentacji jakoś nie dosłyszałem...

— Jestem Cagliostro, mistrz czarnej i białej magii — odrzekł dumnie.

Pietruszka myślał, że kpimy z niego.

— Pan... uprawia kuglarstwo? — wyjąkał poirytowany.

— Tak — skinął głową Cagliostro.

— Sztuczki magiczne, hokus-pokus? — upewniał się Pietruszka.

— Tak — znowu przytaknął Cagliostro. I dodał: — Jestem również różdżkarzem. Przy pomocy różdżki można odkrywać ukryte skarby.

Podejrzliwość Pietruszki dosięgła zenitu.

— Różdżka? — upewnił się. — Różdżka do wykrywania skarbów? A więc, Tomaszu, skoro jesteś z tym panem, to znaczy, że przybyłeś tu w złych zamiarach.

Wzruszyłem ramionami.

— Pan Cagliostro raczy żartować — oświadczyłem zakłopotany. — Czy wierzysz, że przy pomocy różdżki można znaleźć skarby?

Magister Pietruszka zastanowił się, co widać było wyraźnie po głębokiej zmarszczce, która przeorała jego łysiejące czoło.

— Różdżka? — zastanawiał się głośno. — Hm, kto wie, czy coś takiego nie mogłoby się okazać przydatne.

— Jestem do usług — ochoczo zgłosił swą gotowość Cagliostro. Ale magister Pietruszka tylko zamachał rękami.

— Nie, nie. Nie potrzebuję pomocników. Zresztą nie wierzę wam. W nic nie wierzę. Nawet w to, że pan jesteś mistrzem czarnej i białej magii.

— Co takiego? — oburzył się Cagliostro i podniósł głos, zwracając tym uwagę uczonych mężów w jadalni. — Czuję się obrażony i żądam satysfakcji. Czy wie pan za kogo go uważam? Za człowieka, któremu pstro w głowie, który myśli tylko o zabawach i dansingach, balach i kotylionach. Oto, jakie, proszę pana, ma pan myśli w głowie.

I na oczach uczonych mężów Cagliostro zerwał się ze swego miejsca, chwycił Pietruszkę lewą ręką za nos, a prawą z tego nosa zaczął wyciągać długą papierową serpentynę. Wyciągał ją i wyciągał, zdawało się, że mijają godziny, a przecież była to tylko chwila. Serpentyna miała chyba parę metrów długości. Wszystkim aż dech zaparło w piersiach ze zdumienia.

Serpentyna upadła wreszcie na podłogę, skręcona jak wąż. Ale magister Pietruszka nie zdążył jeszcze dobrze złapać oddechu, a już Cagliostro chwycił go za ucho. I przysięgam — na moich i innych oczach — z ucha Pietruszki sypnęły się barwne confetti.

— Pan ma myszki w głowie! — krzyknął głośno Cagliostro.

I z drugiego ucha Pietruszki wyciągnął białą mysz. Uczeni mężowie w jadalni ryknęli śmiechem. A ja pomyślałem z przerażeniem: „Jeśli Cagliostro za chwilę wyciągnie zaskrońca z brzucha Pietruszki, a drugą mysz wyjmie mu z ust, to jest więcej niż pewne, że wymówią nam pokój w schronisku...”

Ale Cagliostro chyba zrozumiał niebezpieczeństwo. Chwyciwszy mysz za ogon, na oczach wszystkich wyniósł ją z jadalni do ogrodu i udał, że ją tam wypuszcza.

A Pietruszka siedział na krześle jak sparaliżowany.

— To... to... to jest okropne — wyjąkał.

Ach, ta jego zdumiona, a zarazem przerażona mina. I ten nowy ryk śmiechu, który wydarł się z piersi jedzących śniadanie naukowców.

Raptem paraliż minął Pietruszce. Zerwał się od stolika i wybiegł z jadalni. A w tym samym czasie wrócił z ogrodu mistrz Cagliostro. Wkroczył dumnie na salę i sztywno usiadł przy moim stoliku.

Nie powiem, abym się czuł dobrze. Oczy wszystkich były na nas zwrócone. „Jestem również skompromitowany” — myślałem. Pocieszałem się jedynie, że uczeni patrzyli na nas z sympatią, są to bowiem ludzie nie pozbawieni poczucia humoru.

Szybko uwinąłem się z zapłaceniem rachunku i kelnerce dałem suty napiwek, wskazując rozsypane na podłodze confetti i serpentynę.

Na korytarzu oświadczyłem Cagliostrowi:

— Jeśli jeszcze raz spróbuje pan swoich sztuczek z myszami i zaskrońcem, rozstaniemy się. Mam tego dosyć. To mnie zaczyna nudzić, bo pan się powtarza.

— Ach, tak? — zakłopotał się mistrz. — No zgoda. Postaram się poprawić.

Zostawiłem go w schronisku i poszedłem na spotkanie z katedrą.

Wedle starej tradycji, na wzgórzu, gdzie wznosi się obecnie monumentalna budowla otoczona murami obronnymi, znajdował się kiedyś skromny grodek. Wzgórze i grodek otrzymał w drodze darowizny pierwszy biskup warmiński, Anzelm, i do drewnianego kościółka postawionego na wzgórzu przeniósł on kapitułę warmińską z Braniewa, gdzie z powodu częstych powstań Prusów groziło jej nieustanne niebezpieczeństwo.

W tysiąc trzysta dwudziestym dziewiątym roku przystąpiono do budowy warowni i murowanego kościoła. Miejsce było sposobne, wzgórze miało urwiste, strome brzegi, otaczały je jary. A gdy wzniesiono potężne mury obronne, wykopano głębokie fosy, nad którymi przerzucono mosty zwodzone, kościół katedralny stał się nie lada jaką warownią.

Przed kim musiał się bronić biskup i kapituła warmińska? Wiemy z historii, że diecezja warmińska była jakby państwem w państwie krzyżackim, na jednej trzeciej terytorium tej diecezji biskup miał władzę nie tylko duchowną, ale i świecką, był samodzielnym księciem. Groziły duchownym plemiona pruskie, które choć podbite przez rycerzy zakonnych, przecież wciąż nie chciały podporządkować się ich rządowi i raz po raz wzniewały krwawe powstania. Zagrażali biskupowi również i sami rycerze zakonnicy, dla których istnienie w ich państwie udzielnego księstwa było wciąż solą w oku. Obronność warowni fromborskiej szczególnie ważną okazała się w tym czasie, gdy na mocy pokoju toruńskiego Warmia, jako Prusy Królewskie, stała się częścią Polski, z czym nie mogli pogodzić się Krzyżacy i raz po raz próbowali albo przy pomocy intryg politycznych, albo też orężem odebrać ją Polsce.

Dopiero na tle tych wydarzeń rozumie się, dlaczego Mikołaj Kopernik, wyznaczony przez kapitułę na administratora dóbr kapituły, musiał okazać się nie tylko dobrym kanonikiem, nie

tylko astronomem, ale i wojownikiem. On to bowiem przysposobił zamek w Olsztynie do obrony przed Krzyżakami.

Lecz oto i warownia fromborska. Wysokie, czerwono-brunatne mury z zębami strzelnic, potężne wieżycy obronne, bramy z kratownicami.

Po kamiennych schodkach zszedłem w głąb fosy obronnej, stanowiącej dziś asfaltową stromą ulicę. Minąłem bramę zachodnią i na podwórzec katedralny dostałem się od strony południowej, przez główną bramę flankowaną półokrągłymi pięknymi basztami obronnymi. Dziedziniec wokół kościoła jest duży, rosną na nim dziś stare wiekowe drzewa, przeważnie dęby. Kiedyś wzdłuż murów obronnych zbudowane były kurie, to jest mieszkania dla kanoników, albowiem wedle przepisów kościelnych każdy kanonik we Fromborku, a było ich szesnastu, musiał mieć jedno mieszkanie wewnątrz warowni, a drugie za murami, co brzmiało po łacinie: „curia intra muros” i „curia extra muros”. Rzecz jasna te kurie za murami były znacznie wygodniejsze, otaczały je ogrody i zabudowania gospodarcze, albowiem wedle przepisów każdy kanonik musiał mieć trzy konie pod wierzch dla siebie i swojej osobistej służby.

Dlaczego aż tyle rozwodzę się o kuriach? Ano dlatego, że stanowią one nie lada jaki przedmiot sporów naukowców. Wylano na ten temat dużo atramentu. Idzie bowiem o rzecz niebagatelną. Gdzie mieszkał Kopernik? W wieży czy w kurii wewnętrznej, czyli w domu mieszkalnym, przytykającym do murów? A gdzie znajdowała się kuria kopernikowska zewnętrzna? To sprawa też niebłaha, bo wiąże się z nią zagadka jego astronomicznego obserwatorium.

Ale zostawmy na razie sprawę kurii. Do naszych czasów dotrwały tylko dwie, w jednej z nich odnaleziono piękne późnogotyckie stropy drewniane, pokryte polichromią, oraz zachowany pod tynkiem gotycki portal. Tu, w tych kuriach, mieściło się przez czas jakiś kopernikowskie muzeum, zanim przeniesiono je do pałacu biskupiego, położonego we wschodniej części warowni. Pałac został zniszczony podczas działań wojennych i obecnie go zrekonstruowano. Jest w stylu gotycko-barokowym, budowany na planie podkowy. Przed dawnymi laty wchłonął gotycką wieżę narożną, szkołę kapitulną i dawny pałac biskupi.

Ciekawą też budowlą wewnątrz murów jest stary kapitularz, z którego prowadzi przejście do katedry, zbudowany na łuku, co tworzy niezwykle malowniczy fragment architektoniczny.

Ale każdego, kto zjawi się na fromborskim dziedzińcu katedralnym, zanim przystąpi do oględzin katedry, wabią swym widokiem dwie potężne baszty. Pierwsza — w południowo-zachodnim narożu — to dzwonnica. W swej dolnej kondygnacji jest ona późnogotyckim, ośmiobocznym bastionem o murach siedmiometrowej grubości. Nazywają ją „oktogonal”. Wzniesiono ją niegdyś jako pomieszczenie dla dział fortecznych. Znacznie później, bo w drugiej połowie siedemnastego wieku, biskup Radziejowski postawił na oktogonalie czworokątną wieżę barokową z przeznaczeniem na dzwony.

A w północno-zachodnim narożu stoi inna wieża, o zupełnie odmiennym charakterze. Wysoka, silna, wyniosła, zakończona spiczastym dachem — znana jest chyba każdemu człowiekowi w Polsce z ilustracji lub reprodukcji malarskich. To przecież słynna wieża Kopernika. Jak mówi tradycja ustna, tutaj mieszkał Kopernik, tu miał swoją pracownię, z tej wieży patrzył nocami w gwiazdy i tu dokonał swego wielkiego odkrycia.

Za moimi plecami, zza grubych murów katedry, sączył się głęboki głos organów fromborskich, słynnych na cały świat. Ktoś ćwiczył fugę Bacha. Wydało mi się, że nie znajdę lepszej atmosfery dla odwiedzin wnętrza katedry.

Wzniesiono ją — jak już wspomniałem — w latach tysiąc trzysta dwadzieścia dziewięć — tysiąc trzysta osiemdziesiąt osiem, a więc budowa trwała przeszło pół wieku. Jest ogromna, monumentalna, stanowi tak rozpowszechniony na Pomorzu typ hali trójnawowej ze sklepieniem gwiaździstym. Bryła świątyni, jej ażurowe szczyty oraz narożne wieżyczki — świadczą o wpływie flamandzkiego gotyku.

Do katedry wchodzi się przez dwa bogato rzeźbione portale kamienne. Wnętrze katedry ma dziewięćdziesiąt metrów długości. Pierwsze, co uderza wchodzącego — to ogromna ilość ołtarzy, przeważnie barokowych i rokokowych, wyróżniających się niezwykle robotą snycerską. W lewej nawie zachował się do dziś stary ołtarz główny, poliptyk z tysiąc pięćset czwartego roku, jeden z najcenniejszych przykładów późnogotyckiej rzeźby na Warmii. W czasach późniejszych zbudowano główny ołtarz, już murowany, w stylu późnego baroku, wzorowany na ołtarzu głównym katedry wawelskiej. Wykonali go kamieniarze spod Dębника koło Krakowa, kamienne bloki ołtarza płynęły Wisłą aż do Fromborka — jeszcze jeden przykład więzi Polski z tym zagubionym nad Zalewem Wiślanym miasteczkiem.

Interesująca jest również dobudowana w piętnastym wieku gotycka kaplica, zwana „polską”. Przez wszystkie czasy odbywały się w niej nabożeństwa i kazania w języku polskim, po polsku także słuchano tutaj spowiedzi. W ołtarzu kaplicy znajduje się obraz otaczanego czcią w Polsce patrona rycerzy świętego Jerzego.

W stroju świętego uderzają polskie barwy — biel i czerwień. Ciekawa jest też inna kaplica, znacznie późniejsza, dobudowana niejako do całej katedry i wyraźnie rzucająca się w oczy. To późnobarokowa przepiękna kaplica biskupa Szembeka. Jej ściany wewnętrzne i kopułę zdobią polichromie lidzbarskiego malarza Mayera, a zamyka kaplicę przepiękna krata żelazna, dzieło artysty z Reszla.

A wokół całej katedry, na jej wewnętrznych murach, a także w posadzce liczne epitafia opowiadają o zmarłych biskupach i kanonikach warmińskich. Przeważają w nich herby i nazwiska polskie. Tu także na filarze, nie opodal ambony, widać epitafium Mikołaja Kopernika, umieszczone przez kapitułę w tysiąc siedemset trzydziestym piątym roku.

Czy tu, gdzie jest to epitafium, spoczywają pod posadzką katedry zwłoki Mikołaja Kopernika, o którym przecież wiadomo, że zmarł we Fromborku i tu został pochowany?...

Opuszczałem katedrę pełen różnorodnych myśli. Słyszałem wciąż fragmenty granej na organach fugi Bacha. Głos organów uderzał w stropy katedry i opadał w dół potężnymi akordami. Przytłaczał mnie ten dźwięk i rozpraszał myśli.

A przecież należało się skupić. Przyszła pora na działanie, a zadań stało przede mną niemało. Należało wykonać polecenie dyrektora Marczaka i przeprowadzić konsultacje z naukowcami, aby przygotować materiały do przewodnika po Fromborku. Należało też natychmiast podjąć walkę z Baturą, który już chyba wiedział, gdzie jest drugi schowek Koeniga, skoro Cagliostro przywiózł paczkę, prawdopodobnie z pięcioma kielichami.

Usiadłem na ławeczce pod dębem, naprzeciw Kopernikowej wieży, i zacząłem pisać w notesie plan swoich przyszłych zajęć. Napisałem:

1. Porozumieć się z astronomami i wydusić od nich odpowiedź, gdzie w końcu mieściło się obserwatorium Kopernika.
2. Porozumieć się z historykami i ustalić stan poszukiwań grobu Kopernika.
3. Porozumieć się z archeologami. W przewodniku warto wspomnieć o stanie badań archeologicznych.
4. Wyjaśnić sprawę monet.

A gdy napisałem ostatni punkt, aż roześmiałem się. Jak łatwo było napisać: „Wyjaśnić sprawę monet”. Papier jest ciepły.

Mój śmiech nad kartką papieru przywabił panienkę w spodniach i okularach, z aparatem fotograficznym przerzuconym niedbale przez ramię. W rękę trzymała turystyczną torbę. Była młoda, może miała ze dwadzieścia trzy lata. Okulary w ciemnej oprawie doskonale harmonizowały z jej jasną cerą i ciemnymi kędziorami bujnych włosów.

Wyglądała na turystkę, a wiele ich zawsze na dziedzińcu fromborskiej katedry.

— Czy pan rysuje dowcipy? — zapytała mnie. — I czy to odpowiednie miejsce, aby rysować i śmiać się z własnych dowcipów?

Zamknąłem notes i schowałem go do kieszeni.

— Tak jest. Napisałem dowcip — powiedziałem. — A pani przyszła w to świątobliwe miejsce, aby podrywać?

— Nie, proszę pana — roześmiała się swobodnie. — Chciałam pana prosić, żeby mnie pan cyknął z mojego aparatu. Na tle wieży Kopernika. Jestem tu sama, a chciałabym mieć zdjęcie.

Nosiła czerwony golf, a ja lubię czerwony kolor. I w ogóle była bardzo ładna, miała śmiejącą się buzię, a ja przepadam za takimi panienkami.

Ochoczo więc zerwałem się z ławki i wziąłem z jej rąk aparat fotograficzny. Nastawiła go na odpowiednie światło i na właściwy czas naświetlania. Stała pod wieżą kopernikowską, a ja dokonałem „cyknięcia”.

— Dziękuję panu uprzejmie — skinęła mi głową odbierając aparat. — A więc jestem uwidoczniła na tle wieży, gdzie mieszkał i pracował Mikołaj Kopernik.

— Nie wiadomo — stwierdziłem.

— Nie wiadomo? — zdziwiła się. — Sądzi pan, że zdjęcie się nie udało?

— Ach, nie. Powiedziałem, że nie wiadomo, czy w tej wieży mieszkał i tworzył Mikołaj Kopernik.

— Co pan opowiada? Oglądałam obraz Jana Matejki, na którym widać właśnie Mikołaja Kopernika siedzącego na wieży i patrzącego w gwiazdy.

— Jan Matejko oparł anegdotę swego obrazu na tradycji ustnej. A jakże inaczej lud mógł sobie wyobrazić astronoma, jak nie siedzącego na wieży i spoglądającego w gwiazdy? Niestety lud nie wie, że astronomowi do jego badań potrzebne są instrumenty. Czy pani sobie potrafi wyobrazić, jak wyglądał taki „kwadrant słoneczny”, instrument skonstruowany przez Kopernika? Był bardzo duży, proszę pani. I gdzie on z tym kwadrantem mógłby się pomieścić na swej wieży?

— Może był tu jakiś taras?

— Nie ma po nim żadnych śladów. Taras musiałby wspierać się na czymś, a śladów takiego wspornika nie odkryto. Zresztą czytałem niedawno pracę pewnego historyka z Instytutu Mazurskiego, który udowadnia niezbicie, że przypuszczenie, jakoby wieżę we Fromborku przydzielano kanonikom na mieszkania, należy stanowczo odrzucić. Przydzielano im wieże w zupełnie innym celu. Kapituła kierowała się raczej troską o to, aby poprzez osobistą odpowiedzialność kanonika za „jego” wieżę, siłą rzeczy podnieść jej obronność. Możliwość, aby wieże mogły łączyć w sobie funkcje obronne i mieszkalne, bez uszczerbku dla tych pierwszych, wydaje się wątpliwa. A zresztą, gdy w latach tysiąc pięćset dwadzieścia — dwadzieścia jeden najazd krzyżacki zniszczył kurie, leżące na zewnątrz warowni, kanonicy szukali sobie pomieszczeń zastępczych w poklasztornych zabudowaniach Antonitów w miasteczku, a nie przerabiali wież na mieszkania. Ale trzeba powiedzieć, że ta wieża rzeczywiście należała do Kopernika. Zapłacił za nią trzydzieści grzywien.

Panienska trochę posmutniała, słuchając moich wywodów.

— Szkoda — westchnęła — bo to takie romantyczne: patrzeć na tę wieżę i wyobrażać sobie, że tu właśnie mieszkał Kopernik. A skąd pan ma aż tyle wiadomości o tej sprawie?

— Jestem z Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków z Warszawy — wyjaśniłem. — Przyjechałem tu, aby opracować przewodnik po Fromborku.

Tak rozmawiając odeszliśmy od Kopernikowej wieży i przez główną bramę wydostaliśmy się na zewnątrz warowni.

— Jestem bardzo zobowiązana za te wyjaśnienia — powiedziała. — I zapraszam pana na kawę. Tylko gdzie tu jest kawiarnia?

Panienska była bardzo ładna. I coś mnie w niej uderzało. Coś bardzo znajomego.

— Przyjmuję zaproszenie — skłoniłem się. — Ale czy ja pani już gdzieś nie widziałem?

Zatrzymała się, zmierzyła mnie od stóp do głowy.

— Pan jest taki sam? — zdziwiła się.

— Jaki?

— Ilekroć jakiś mężczyzna chce ze mną zawrzeć znajomość, powiada: „Przepraszam, ja panią skądś znam”.

— Kiedy naprawdę pani wydaje mi się znajoma.

— Wydaje się panu — stwierdziła. — A teraz niech pan powie, gdzie tu jest kawiarnia?

Znałem we Fromborku tylko jedną kawiarnię. Koło portu. Poszliśmy więc wolno ulicami miasteczka.

Był dzień słoneczny i wydawałby się upalny, gdyby nie wiatr od zalewu, który niósł ostry i zimny zapach morza.

Miasteczko Frombork, jak powiedziałem, jest urocze. Ocalałe z pożogi wojennej domki są ładnie malowane, a niektóre z nich, zabytkowe kamieniczki, przypominają domeczki dla lalek. Latem trwa tutaj harcerska „Operacja Frombork 1001”. Co krok spotykaliśmy umundurowanego harcerza czy harcerkę, od czasu do czasu mijaliśmy gromadki harcerzy porządkujących kwietniki i trawniki, które założono na miejscu wyburzonych domów.

W pobliżu zabytkowej gotyckiej wieży wodociągowej z piętnastego wieku natknęliśmy się na Cagliostro. Miał wielce uradowaną minę.

— W komendzie chorągwi — oświadczył mi — zapewniłem sobie dwa występy dla młodzieży. Występy te będą połączone z nauką sztuk magicznych. Dostałem zaliczkę. I zwracam panu koszty mojego dotychczasowego utrzymania.

To mówiąc wręczył mi pieniądze.

— Ten pan jest iluzjonistą — wyjaśniłem panience, która słysząc o sztukach magicznych, zrobiła zdumioną minę.

Cagliostro z uznaniem popatrzył na panienkę.

— Szybko się pan uwinął, nie ma co — stwierdził — ledwie pana spuściłem z oka, a już pan zawarł taką wspaniałą znajomość.

I zamiast pójść swoją drogą, zająć się, na przykład pozostawionym w klatce w naszym pokoju króliczkiem, zaskrońcem i myszami (czy on nie miał jakiejś myszy w kieszeni?), przyczepił się do nas.

— Pani na długo we Fromborku? — zagadnął panienkę.

— Będę tu kilka dni — odrzekła.

— I pani sama tu przyjechała? — okazywał coraz większą ciekawość.

— Nie. Jestem tu z koleżankami i kolegami.

Nie dopuszczał mnie do głosu. Zapewne i jemu spodobała się ta panienka.

Weszliśmy do kawiarni, mieszczącej się w obskurnym podłużnym baraku. Zamówiliśmy dwie duże kawy dla mnie i dla panienki. Cagliostro poprosił tylko o szklankę wody, co jak się później okazało, nie było bez znaczenia.



— Jak pani na imię? — wciąż zagadywał panienkę.

— Ala.

— Ala? Bardzo ładne imię — zachwycił się Cagliostro. — Przypominają mi się natychmiast moje beztrudne szkolne lata i elementarz Falskiego, w którym na pierwszej stronie figurowało imię „Ala”. Pamiętam, jak wkuwałem: „Ala ma kota”.

Dodałem:

— A dalej czytaliśmy w elementarzu: „To As”. I jeszcze dalej: „To As Ali”.

Cagliostro spojrział na mnie uważnie, a zarazem ostrzegawczo, jakby chciał dać mi do zrozumienia: „Nie wymawiaj tego imienia nadaremnie”. Nie chciał się narazić Asowi i jego żelaznym łapom.

A ja powtórzyłem:

— To As Ali...

I coś mnie tknęło. Jakaś myśl, wspomnienie, reminiscencja jakiegoś przeżycia. Dlaczego ta dziewczyna wydawała mi się znajoma? Przecież nigdy w życiu jej nigdzie nie widziałem, nie spotkałem. A jednak jakbym już ją widział, a może... słyszał? No tak. Przecież to chyba jej głos płynął do mnie z tajemniczego Asa. O rany, czyżby to była ona? Tajemnicza dama z groźnego pojazdu?...

Być może Ala zdawała sobie sprawę z narastających we mnie podejrzeń. Uśmiechnęła się zalotnie do Cagliostora i powiedziała szybko:

— A pan jest naprawdę iluzjonistą? Naprawdę zna pan sztuki magiczne? Niech pan zrobi jakąś sztuczkę, bardzo proszę...

— Ach, sztuki magiczne wymagają wielkiej koncentracji umysłu — oświadczył mistrz. — Pani pozwoli, że się trochę skupię nad gazetą.

Wyciągnął z kieszeni tygodnik ilustrowany, zdaje się, że „Zwierciadło”. Przez chwilę go kartkował, przewracając strona po stronie. Ale nigdzie dłużej nie zatrzymywał się wzrokiem.

Podeszła do nas kelnerka, niosąc na tacy dwie filiżanki kawy i szklankę wody.

— Dla kogo kawa, a dla kogo woda? — zapytała.

— Dla mnie i dla pani kawa — powiedziałem.

— A szklanka wody dla mojej gazety — powiedział Cagliostro zwijając gazetę w rulon.

Kelnerka uśmiechnęła się, myśląc, że Cagliostro robi głupie dowcipy.

A on wziął z tacy szklanek wody i wlał ją w... rulon „Zwierciadła”. Lał tę wodę wolno, widzieliśmy wyraźnie, jak zawartość szklanki znika w rulonie i ani kropla nie wycieka na podłogę.

— No, nareszcie gazeta trochę się napiła — powiedział Cagliostro do kelnerki. I rozwinął gazetę, znowu ją kartkując.

Kelnerka stała jak skamieniała biblijna żona Lota.

— Co pan zrobił? — wydusiła z siebie.

— Jak to, co zrobiłem? — udał zdziwienie mistrz czarnej i białej magii. — To raczej ja panią zapytam: dlaczego nie przyniosła mi pani wody, a tylko pustą szklanekę?

— Pan wodę wlał do gazety — odrzekła kelnerka.

— Do gazety? Pani przecież widzi, że w gazecie nic nie ma — upierał się Cagliostro, jeszcze raz kartkując tygodnik, jakby szczerze szukając w nim wody.

— Pan wlał do gazety... — niepewnie stwierdziła kelnerka.

— Do gazety? — Cagliostro znowu zrobił zdumioną minę. — W takim razie poszukamy tego, co mi pani przyniosła.

Znowu zwinął gazetę w rulonik. A potem potrząsnął nią i z gazety do szklanki wysypały się kolorowe krążki confetti.

— Oto, co mi pani podała do picia — oświadczył wręczając kelnerce szklanekę wypełnioną confetti. — Bardzo proszę to odnieść do bufetu i zamiast tego proszę jednak o szklanekę wody.

Kelnerka patrzyła na Cagliostra jak na zjawę. Potem nagle roześmiała się i poszła do bufetu, aby zapewne opowiedzieć bufetowej o dziwnym gościu i jego sztuczce z wodą.

A Cagliostro spokojnie złożył tygodnik i schował do kieszeni. Dumnie patrzył na Alę, szukając w jej twarzy uznania dla swoich magicznych umiejętności.

Lecz Ala — o dziwo — tylko wzruszyła ramionami.

— Takie sztuki mi nie imponują — powiedziała. — Ja umiem robić lepsze.

— Jakie? — zapytał oburzony Cagliostro.

— Z myszą — odrzekła. — Z tresowaną myszą.

— Co? — ryknąłem strasznym głosem. — Cagliostro, zabraniam sztuk z myszami. Umawialiśmy się w tej sprawie.

— Nie wzięłem żadnej myszki — westchnął z ubolewaniem Cagliostro. — Pan mi zabronił.

— Pan ma tresowaną mysz? — zainteresowała się Ala.

— Owszem. Mam dwie białe myszy. Ale myszy nie można wytresować — powiedział Cagliostro.

— Pan się myli — pogardliwie odrzekła Ala. — Może białe myszy są za mało inteligentne do tresury. Ja posiadam szarą myszkę. Robi wszystko, co zechcę.

— Pani raczy żartować — burknął Cagliostro, zły, że Ali nie zaimponowały jego sztuczki.

— No to niech pan popatrzy — oświadczyła Ala. I z kieszeni swoich spodni wyciągnęła za ogon szarą myszkę.

— Jezus Maria! — jęknąłem. — Znowu myszy?! Ala położyła ją na podłodze. I mysz zaczęła jak oszalała biegać pomiędzy nogami krzeseł i stolików.

Niewielu gości było w kawiarni, ale ci, co się tu znajdowali, zaraz zaczęli wołać:

— O mysz, mysz! Patrzcie, mysz!

Bufetowa wdrapała się na bufet, kelnerka wskoczyła na krzesło. A mysz jak oszalała biegła po całej sali. Ala zaś zaczęła mysz wabić:

— No, chodź tu, kochanie. Chodź tu, najmilejsza... Mysz, jakby słysząc głos Ali, przystanęła, a potem wolno skierowała się w naszą stronę. Ala wabiła ją jak pieska, cmokając i pogwizdując cichutko.

Raptem z kąta kawiarni wyskoczył ogromny kot.

— Koniec z panią myszą — stwierdziłem.

— O, kot! Kot zaraz ją złapie! — wołali goście od stolików.

— Nareszcie będzie koniec z myszą — krzyknęła bufetowa z wysokości bufetu.

Kot jak błyskawica rzucił się na mysz. Capnął ją łapą i... cofnął łapę. Chciał chwycić mysz pyskiem i zaraz cofnął pysk.

A mysz wcale nie uciekała. Jakby rozgniewana obecnością kota, odwróciła się mordką i jeszcze bardziej zbliżyła się do niego.

A potem najwyraźniej w świecie zaczęła na kota nacierać. Mysz atakująca kota. No, tego jeszcze chyba nikt nie widział...

Kot zaś znowu chciał mysz capnąć łapą. I jeszcze raz cofnął łapę jak oparzony. Zrobił kilka kroków do tyłu miaucząc z wściekłości czy też ze strachu. A szara mysz jeszcze bardziej zbliżyła się do niego. Dotknęła pyskiem kociej łapki i... kot zaczął uciekać. A mysz za nim. Goniła kota przez całą salę, aż biedne kocisko wskoczyło na stół. Dopiero wtedy mysz dała mu spokój i zawróciła do naszego stolika.

Ala chwyciła ją z podłogi i schowała do kieszeni spodni.

— Czy mógłbym ją obejrzeć? — poprosił grzecznie Cagliostro.

— A czy ja oglądałam pańską gazetę? — odpowiedziała pytaniem. — Pan zrobił sztuczkę i ja panu pokazałam sztuczkę. Oto i wszystko. A czyja sztuczka była lepsza, to niech już kto inny osądzi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

NOWOCZESNE ZABAWKI · ROBIĘ GENIALNE ODKRYCIE · DIABLA GÓRA I CO DALEJ · ŻALE MAGISTRA PIETRUSZKI · JAK ROZKOPAĆ DZIWNE WZGÓRZE · NIE JESTEM JASNOWIDZEM · HISTORIA O WDOwie GERTRUDZIE I BISKUPIE ANZELMIE · WĄŻ AMBICJI · ZAKAZY ARCHEOLOGICZNE · CZY PIETRUSZKA JEST PIĘKNY

W kawiarni portowej przez jakiś czas trwało podejrzliwe zainteresowanie naszym stolikiem. Szczególnie kelnerka starała się nas ostrożnie omijać. Ale mysz panny Ali nie budziła niczyjego przerażenia lub wstrętu. Każdy bowiem dość szybko zdał sobie sprawę, że była to mysz automatyczna, rodzaj mechanizmu. Zauważyłem, że gdy Ala puściła swą mysz na podłogę, wyjęła z torebki mały, czarny aparacik i przy jego pomocy zdalnie kierowała ruchami myszy. Mechaniczne to zwierzątko miało nieruchome nóżki i „biegało” na zębatych kółeczkach, które powodowały szmer, a przecież, jak wiadomo, prawdziwe myszy biegają niemal bezszelestnie.

Każdy inteligentny człowiek oglądał lub przynajmniej słyszał o nowoczesnych zabawkach, wszelkiego rodzaju malutkich pojazdach, żółwiach, żabach i innych zwierzątkach poruszanych przy pomocy fal radiowych z małego nadajnika; żyjemy w epoce tranzystorów, miniaturowych aparatów elektronicznych — nikogo już takie sprawy u nas nie dziwią. Dwa opasłe tomiska książki Janusza Wojciechowskiego zatytułowane „Nowoczesne zabawki” w mig się rozeszły, świadcząc o dużym zainteresowaniu tego rodzaju sprawami.

Ala zaprezentowała nam taką właśnie zdalnie kierowaną zabawkę, goście kawiarni wkrótce przeszli nad tym do porządku dziennego i zajęli się sobą.

My również dopiliśmy kawę, a Cagliostro tym razem już bez żadnych sztuczek wypił szklankę wody, o którą poprosił kelnerkę.

Miałem wciąż ochotę zapytać Alę o jej Asa, ale przeszkadzała mi w tym obecność Cagliostrowa. Nie sądziłem, aby on skojarzył sobie Alę z kobietą, która przemawiała do nas ze straszliwego pojazdu. Naprowadzenie go na tę myśl wydawało mi się niepotrzebne. Zresztą zobowiązywała mnie przecież obietnica milczenia. Być może Ala specjalnie zaczęła ze mną rozmowę na fromborskim dziedzińcu katedralnym, aby wy badać, czy nie rozgaduję się na temat Asa. Jakie tajemnice wiązały się z osobą tej ładnej pani enki? Może usłyszawszy, że rozpuszczam język o Asie, przywoła jakieś groźne mechanizmy, a one porwą mnie i wpakują na kilka dni do jakiegoś baraku?

Tymczasem zaś panna Ala rozwodziła się nad urokami Fromborka, opowiadała o wrażeniach, jakie odniosła zwiedzając okolice.

— Tutaj bardzo przyjemnie spędza się czas. Przed trzema dniami odbyłam wycieczkę statkiem z Fromborka do Tolkmicka. Potem do Krynicy Morskiej. Byłam też na Diabiej Górze, a teraz zapoznają się z zabytkami Fromborka...

Nie słyszałem już, co dalej mówiła. Coś ścisnęło mnie za gardło. Przez chwilę nie byłem w stanie wymówić ani słowa. Wreszcie jakiś skrzek wyrwał mi się z ust:

— Pani kelnerko, chcemy płacić...

Ala i Cagliostro spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, zaskoczył ich ton mego głosu.

— Przepraszam — mruknąłem, kaszlnąwszy — ale gardło mnie boli.

Zdaje mi się, że Ala zwróciła uwagę na mój błędny wzrok i dziwne drżenie rąk, gdy wyjmowałem pieniądze.

Wyszliśmy z kawiarni. Gnałem do przodu, jakbym gdzieś się śpieszył.

Ala szła wolno, spacerowym krokiem, i wciąż musiałem ku niej wracać.

Ach, gdyby wiedzieli, co się we mnie działo? Jaka straszliwa burza myśli mnie ogarnęła. Miałem uczucie, że wyrosły mi skrzydła, że za chwilę radośnie pofrunę w przestworzach. Było to wspaniałe uczucie człowieka, który trafił na od dawna poszukiwany ślad.

Cagliostro zobaczył wystawę sklepu z warzywami.

— Przepraszam państwa — powiedział kłaniając się pannie Ali — muszę kupić jarzynki dla mego króliczka oraz nakarmić inne zwierzaki. Spotkamy się na obiedzie, prawda? — zapytał mnie.

Skinałem głową. Ala odezwała się do mnie:

— A może zajrzemy do portu? Zrobi mi pan zdjęcia na tle zalewu?

— Dobrze, dobrze — odrzekłem z roztargnieniem. Lecz gdy tylko Cagliostro zniknął w sklepie warzywnym, silnie chwyciłem Alę za rękę.

— Jedziemy! Jedziemy tam natychmiast!

— Co takiego? Dokąd? Co się panu stało? — usiłowała wyszarpnąć rękę z mojej dłoni.

— Musi mi pani pokazać Diablą Górę. Natychmiast. Zaraz. Czy pani rozumie, co to dla mnie znaczy? Diabla Góra, cha, cha — śmiałem się do siebie — Diabla Góra to przecież Teufelsberg.

I mówiąc to, ciągnąłem Alę w stronę schroniska PTTK, gdzie parkował mój wehikuł.

Panienka nie stawiała oporu. Nie rozumiała, o co mi chodzi, ale była ciekawa i dała się poprowadzić do wehikułu.

— Diabła Góra jest na lewym brzegu Baudy — wyjaśniła mi po drodze. — Musi pan jechać drogą, która prowadzi do znaku: „zakaz wjazdu”.

A więc wczoraj przejeżdżałem z Cagliostrem obok Diablej Góry. Ale skąd mogłem wiedzieć, że to właśnie jest Diabła Góra?

Otworzyłem drzwiczki wehikułu.

— Pojedziemy tym śmiesznym rupieciami? — zawahała się Ala. — Czy on nie rozpadnie się po drodze? Boże już lepiej chodźmy piechotą. To przecież tylko półtora kilometra od Fromborka.

— Szkoda każdej chwili — warknąłem. I szkoda mi było czasu, aby wyjaśnić panience prawdę o moim wehikule. Niech sobie o nim myśli, co chce. Że jest żałosny, śmieszny, przypomina czółno skrzyżowane z namiotem, pojazd z Wenus lub Marsa, że znalazłem go w składnicy złomu.

Zjechałem wehikułem z fromborskiego wzgórza i wpadłem na drogę prowadzącą w stronę PGR Bogdany.

W pewnej chwili zahamowałem raptownie. Panienka o mało nie stuknęła czołem w szybę. Zatrzymałem wehikuł i otworzyłem tylne drzwi.

— Siadaj — powiedziałem do idącego drogą harcerza.

To był Baśka. Szedł w kierunku Diablej Góry.

— Wyruszyłem tropem magistra Pietruszki — wyjaśnił chłopiec. — On mówił, że wie, gdzie jest drugi schowek pułkownika Koeniga, a teraz znowu poszedł w kierunku Diablej Góry. Więc pomyślałem, że może to tam jest druga skrytka ze skarbami?

— Poszedł na Diabłą Górę? — upewniłem się.

— Tak. W towarzystwie tej pani archeolog i takiej ładnej czarnej pani, z którą kilkakrotnie spacerował po ulicach Fromborka.

— To gorsza sprawa — zmartwiłem się. — Natkniemy się na nich i będę miał przeprawę z Pietruszką za to, że wtrącam się do poszukiwań skarbów. Aha — przypomniałem sobie o obecności panny Ali — to jest mój przyjaciel, przyzwiskiem Baśka — przedstawiłem go panience.

— Wywiadowca? — zainteresowała się Ala.

— Coś w tym rodzaju — skromnie przytaknął chłopiec.

Panna Ala z uśmiechem pokiwała głową.

— A ja już uwierzyłam, że pan przyjechał do Fromborka, aby opracowywać przewodnik. Tymczasem, jak okazuje się, pana interesują skarby pułkownika Koeniga, o których pisały gazety.

— Owszem, ciekawi mnie sprawa tych skarbów — przyznałem. — Ale prawdą jest, że przyjechałem dla opracowania przewodnika po Fromborku. Poszukiwaniem skarbów zajmuje się mój kolega z tego samego Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków, pan magister Pietruszka.

Lecz oto ukazał się przed nami most na Baudzie, rwącej w tym miejscu głębokim korytem. Po lewej ręce panna Ala pokazała nam dość wysoki i płaski jak patelnia pagórek, wznoszący się wśród nadrzecznych łąk, krzaków i mokradeł. Regularny kształt wzgórka oraz jego płaska powierzchnia wyraźnie wskazywały, że wzniesienie to powstało w sposób sztuczny, stworzyła je ręka człowieka.

Na szczycie pagórka siedziały na trawie trzy osoby: magister Pietruszka i dwie panie. Jedną z nich dobrze znałem — była to Babie Lato,

Zjechałem wehikulem na prawą krawędź szosy i zatrzymałem się. Nasza gromadka opuściła samochód i przez łąkę skierowała się na pagórek zwany Diablą Górą.

„A więc to gdzieś tutaj pułkownik Koenig zrobił drugi schowek dla swoich łupów?” — rozmyślałem.

Miejsce było dobrze wybrane. Okolica wydawała się bezludna i dzika. Rzeka Bauda spływała tędy do morza odnogami, wszędzie krzewiły się chaszczce, ziemia była podmokła i zdradliwa. Na prawym brzegu Baudy wznosiła się potężna góra, zarośnięta drzewami — tam właśnie w głębokim wąwozie spotkaliśmy wczoraj Asa.

Magister Pietruszka, jak słusznie przewidywałem, nie był zachwycony moim widokiem.

— Czy sprowadziły cię tutaj sprawy przygotowywanego przewodnika po Fromborku? — zapytał z ironią.

Postanowiłem zagrać z nim w otwarte karty.

— Powiedziałem ci już w jadalni, że nikt nie zamierza ci odebrać zadania odkrycia schowków ze skarbami. Ja mam, jak wiesz, inne zadanie.

— Opracowanie przewodnika — powtórzył z ironią.

— Nie tylko — odparłem z powagą. — Podczas twojej nieobecności w Warszawie wyniknęła nowa, dość podejrzana sprawa. Nie zostałem upoważniony do wtajemniczenia cię w nią. Ale ujawnię ci, że tropy w tej sprawie prowadzą do Fromborka i w jakiś sposób wiążą się z zagadką schowków pułkownika Koeniga. Dlatego nasze poczynania będą się z sobą nieustannie splatać i w jakiś sposób zazębiać. Ale przysięgam ci, że jeśli trafię na najdrobniejszy ślad, prowadzący do schowków, zostaniesz o nim przeze mnie poinformowany.

— Dziękuję ci — skinął głową, lecz w jego głosie zabrzmiała ta sama ironia.

— Zadanie masz trudne — dodałem rozglądając się po wzgórzu. — Zdaje mi się, że czekają cię nie lada kłopoty. „Teufelb” z planu Koeniga to chyba Diabla Góra. Ale co dalej?

— Kłopoty, hę? — nieufnie powtórzył Pietruszka. — A, tak, masz rację. Same kłopoty. Znalazłem Diabla Górę, rozszyfrowałem drugi punkt z planu Koeniga. I co z tego? W którym miejscu na tym pagórku szukać schowka ze skarbami? Tu pełno jakichś dziur, resztek starych cegieł i dachówek. Trzeba by przekopać całe wzgórze.

— Owszem — przytaknąłem — Sytuacja wydaje mi się niemal beznadziejna. Dlatego powtarzam, nie zazdroszczę ci. Już wołę opracowywać przewodnik po Fromborku.

Te słowa mile polechtały pożerającego go węża ambicji. Oświadczył dumnie:

— Sam przyznałeś, że ty zrezygnowałbyś z poszukiwań, bo sytuacja wydaje ci się niemal beznadziejna. Ale ja jestem inny. Wziąłem na swoje barki to zadanie i wykonam je.

Przywitałem się z Babim Latem. Przed dziesięcioma laty, gdy ona była jeszcze młodziutkim archeologiem, zgłębialiśmy razem tajemnice starej dwunastowiecznej kolegiaty i odnaleźliśmy drogocenny relikwiarz. Flirtowaliśmy nawet ze sobą. Ale, jak powiadam, były to już dawne dzieje. Ona miała męża, dwoje uroczych dzieci i sama teraz kierowała ekspedycjami naukowymi. Pozostała jednak wciąż ogromnie dziewczęca, z tak bardzo pięknymi włosami o dziwnie jasnej barwie.

Druga pani (a przedstawił ją nam Pietruszka jako pannę Anielkę W.) miała figurę osy, co jeszcze bardziej uwydatniał krój jej spodni i wdzianka. Czarne włosy nosiła przystrzyżone „na pazia”. Ta bardzo przystojna pani mogła mieć lat dwadzieścia trzy, a może cztery. Trudno mi było zrozumieć, co spodobało jej się w magistrze Pietruszce, który miał wzrok dziki, a długi włos zmierzwiony, nos podobny do drapieżnego dzioba, jednym słowem, nie grzeszył urodą. Zresztą może opowiadał jej o obrazach flamandzkich mistrzów, a umiał opowiadać o nich tak pięknie, że sam stawał się piękny. Jaka szkoda, że uważał się również za detektywa.

— Pan magister Pietruszka — powiedziała do mnie Babie Lato — tak się zapędził w swoich poszukiwaniach skarbów Koeniga, że chciał wynająć robotników i przekopać to wzgórze. Niestety, jako archeolog, musiałam położyć kres tym zamierzeniom. Tutaj prawdopodobnie było jakieś stare grodzisko, prace na takim miejscu muszą się odbywać kompleksowo i prowadzić je mogą wyłącznie fachowcy. Wyjechałam do Warszawy, aby uzyskać środki i zezwolenie na prowadzenie tutaj badań, ale odmówiono mi. Wszystkie środki finansowe pochłaniają badania na wzgórzu katedralnym we Fromborku. Tak więc pan magister Pietruszka może szukać skarbów, ale nie wolno mu kopać na Diabiej Górze. Jeśli zobaczę go tutaj ze szpadlem w ręku, wezwę milicję i zostanie aresztowany pod zarzutem niszczenia dóbr kultury materialnej...

Pietruszka przerwał jej w połowie zdania. Zaczął machać rękami jak skrzydłami wiatraka i wykrzykiwał:

— W takim razie proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mam znaleźć skarby Koeniga? Wiadomo, że on na tym pagórku zrobił drugi schowek. A mnie tu nawet łopaty wbić nie wolno? Więc może mam szukać przy pomocy różdżki? A propos — przypomniał coś sobie i zwrócił się do mnie — co się stało z tym pańskim magikiem?



— Mieszka w schronisku PTTK — odpowiedziałem. I pozostawiwszy wykrzykującego coś Pietruszkę, przeszedłem się po Diabłej Górze, a za mną krok w krok szli Baśka i Ala. Obserwowali mnie z takim napięciem, jakby byli pewni, że za chwilę przystanę i pokażę palcem: tutaj jest schowek Koeniga.

Niestety, nie byłem jasnovidzem. Pagórek porastały krzaki i trawa, wszędzie widziało się jakieś dziury i wykroty. Jeśli przed dwudziestu sześciu laty pułkownik Koenig zakopał tu skrzynię z łupami, to teraz nie można jej było odnaleźć bez pomocy archeologów i grupy robotników. Rozkopanie takiego grodziska musiałyby jednak wypełnić co najmniej dwa sezony archeologiczne. Jednym słowem — jak to już stwierdziłem zaraz po przyjeździe — sprawa była niemal beznadziejna.

Powróciłem do Babiego Lata.

— Czy naprawdę to wzgórze przedstawia dla nauki aż taką wartość? — zapytałem.

— Cała ta okolica, Tomaszu — odrzekła — to jeden wielki rezerwat archeologiczny. W pobliżu Diabłej Góry, w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, odkryto słynny w polskiej archeologii i numizmatyce skarb, składający się z kilkudziesięciu monet srebrnych i złotych oraz biżuterii z brązu, ukryty tutaj przez odlewcę-złotnika w szóstym wieku naszej ery. Legenda mówi, że grodzisko po drugiej stronie Baudy, tam gdzie to wzgórze porośnięte drzewami, było siedzibą naczelników pruskiego plemienia Narcenów. Wdowa po ostatnim z nich, imieniem Gertruda, nawrócona ponoć na chrześcijaństwo przez biskupa Anzelma, darowała swe włości kapitule i biskupom. Na miejscu sąsiedniego starego grodu, pozostającego na terenie jej włości, to jest na dzisiejszym wzgórzu katedralnym, biskup Anzelm zaczął wznosić biskupią warownię, którą na pamiątkę wdowy Gertrudy nazwano Frauenburg, czyli „gród pani”, dzisiejszy Frombork. Wzgórek zaś zwany Diablą Górą zajmuje też swoje miejsce w tej legendzie. Tu prawdopodobnie istniała pogańska świątynia starych Prusów.

— A co w tej sprawie mówi nauka?

— Na wzgórzu Bogdany dokonano kilku wykopów, przede wszystkim na dziedzińcu dawnego grodziska. Warto wspomnieć — Babie Lato spojrzała z uśmiechem na Baškę — że w pracach wykopaliskowych bardzo intensywnie pomagali harcerze, którzy przybyli tutaj w ramach „Operacji Frombork 1001”. Okazało się, że młodzież doskonale się spisała w tak poważnych przecież badaniach naukowych. Archeologowie mieli z niej ogromny pożytek, a myślę, że i młodzież nauczyła się bardzo wiele. Lecz wracając do sprawy. Odkryto wiele ciekawych przedmiotów, między innymi bardzo stary grób. Wszystko to dało podstawy do stwierdzenia, że grodzisko prawdopodobnie istniało w okresie poprzedzającym przybycie Krzyżaków i miało charakter militarny, znaleziono ostrogę. Ale również odbywała się tu produkcja rzemieślnicza, znaleziono bowiem półfabrykaty bursztynu. Oczywiście badania muszą trwać dalej i dopiero za jakiś czas będziemy mieli cały obraz życia w tym grodzisku. Po zakończeniu badań udostępni się grodzisko dla turystów, gdyż jest tam co oglądać. Są wspaniale zachowane wały, fosy, ślady po dawnych bramach. Trzeba też w przyszłości zbadać związki między tym grodziskiem i Diablą Górą. Dlatego też sam rozumiesz, czemu tu nie wolno kopać „na dziko”.

Musiałem jej przyznać rację, choć przecież tutaj gdzieś kryły się skarby pułkownika Koeniga. Jedyna nadzieja, że nie pozostaną długo w ukryciu, w końcu trafi na nie łopata archeologa.

Ale czy mógł się z tym pogodzić magister Pietruszka? Stał na szczycie wzgórza z włosami rozwianymi na wietrze i wykrzykiwał:

— Muszę znaleźć schowek, choćbym miał udać się po pomoc do tego zwariowanego ródźkarza. I wykopię ten skarb, choćby mnie miała aresztować milicja.

Patrzeliśmy na niego ze współczuciem. Jakże ogromny musiał żyć w nim wąż ambicji.

Zaproponowałem wszystkim, aby wpakowali się do mego wehikułu, albowiem już nadszedł czas obiadu. Lecz do wehikułu wsiedli tylko Babie Lato i Baśka. Pietruszka i pani Anielka zdecydowali się jeszcze pozostać na Diablej Górze. Pietruszka wierzył, że za chwilę odkryje miejsce drugiego schowka. A ta pani? Może Pietruszka naprawdę jej się podobał?

Pożegnała nas i Ala. Odeszła przez most na Baudzie, a potem skręciła w las i zniknęła nam z oczu w Krainie Straszliwego Asa.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ZOSIA WALCZYK · NARADA W SPRAWIE SKARBÓW · NOWY TROP · KTO NAS PODSŁUCHIWAŁ · NA ULICY STAREJ · JAK ZDOBYWANO BRANIEWO · TRAGEDIA NA ZALEWIE · ARESZTOWANIE ZBRODNIARZA · DIABELSKIE DRZEWO · NOWA TRUDNOŚĆ · I ZNOWU WALDEMAR BATURA · RÓDŹKA I SKARBY · GNIEW MAGISTRA PIETRUSZKI

Obiad zjadłem samotnie w jadalni schroniska PTTK. Cagliostro — jak poinformowała mnie kelnerka — pośpieszył się z jedzeniem i zaraz gdzieś wyszedł. Nie zastałem go również w naszym pokoju. Króliczek chrupał w swej klatce listki świeżej sałaty, ale w pozostałych klatkach brakowało zaskrońca i dwóch białych myszek, a więc mistrz zapewne udał się z nimi na demonstrowanie swoich sztuczek.

Zaraz po obiedzie przyszedli do mego pokoju Baśka i dziewczyna imieniem Zosia. Rezulutna z niej była panna, choć miała dopiero czternaście lat. Przezywano ją „Zosia Walczyk”, ponieważ chodziła niemal na czubkach palców i wydawało się, że po prostu fruwa w powietrzu. Miała płynne, taneczne ruchy i ani przez chwilę nie potrafiła spokojnie usiedzieć na krześle, wciąż musiała chodzić, kręcić się, a raczej tańczyć. Panna Zosia Walczyk miała strasznie dużo piegów na nosie i policzkach, bardzo jasne włosy oraz niebieskie oczy. Spodobała mi się od pierwszego wejrzenia i ja jej też chyba przypadłem do gustu. Gdy została mi przez chłopca przedstawiona, mrugnęła do mnie filuternie, zrobiła piękne taneczne pas i powiedziała:

— Lubię przygody. A Baśka zapewniał, że za panem przygody chodzą całymi stadami.

— Och, przygód, zdaje się, nie zabraknie nam — odrzekłem szczerze zmartwiony.

Bo o przygodach to się przyjemnie czyta w książkach albo ogląda je na ekranie. Mile się też wspomina przygody, w których się kiedyś brało udział. Ale gdy się je przeżywa, to nie jest to wcale takie przyjemne, człowiek ma uczucie, że znajduje się w jakimś ogromnym labiryncie, z którego nie potrafi znaleźć właściwego wyjścia. Wydaje mu się, że wciąż błąka się po omacku i raz po raz stuka głową w ścianę lub mur. A te stuknięcia są niekiedy bardzo bolesne, zostają po nich nawet guzy.

Baśka oświadczył, że dziś może mi poświęcić dużo czasu, ponieważ jego drużyna została zdekompletowana, kilku chłopców bierze udział w przygotowaniach do występów na harcerskiej estradzie, jako że podczas „Operacji Frombork 1001” są zawsze pokazy harcerskich zespołów artystycznych. Pozostali chłopcy z drużyny, tacy, co to ani recytować ładnie nie umieją, ani głosu nie mają, otrzymali „czas dla siebie”. Co do Zosi Walczyk, kronikarki drużyny dziewcząt, to udało jej się uzyskać zwolnienie z obozu na dzisiejsze popołudnie.

Z tą sympatyczną dwójką zasiadłem w moim pokoju na naradę poświęconą sprawie skarbów pułkownika Koeniga. Oczywiście, to mnie przypadł, z wieku i urzędu, zaszczyt wstępnego przemówienia.

— Sytuacja jest bardzo poważna — zacząłem — i wymaga natychmiastowej decyzji, znaleźliśmy się bowiem w ślepych zaułku. Jak do tej pory, nikt z was nie zauważył we Fromborku osobnika odpowiadającego rysopisowi Waldemara Batury. A przecież Batura musi tu gdzieś być, on kręci się po Fromborku. Przecież to niemożliwe, aby zrezygnował z poszukiwań schowka Koeniga. Nie przyjechałem tu oczywiście, aby szukać tych schowków, bo to jest zadanie pana Pietruszki. Moją sprawą jest wyjaśnienie zagadki bezcennych monet. A skoro podejrzewam, że monety te Batura wykradł z pierwszego schowka i że zamierza ograbić drugi i trzeci schowek, siłą rzeczy muszę i ja zająć się skarbami Koeniga, aby nie dopuścić do rabunku.

Przerwał mi Baśka:

— Byliśmy na Diabłej Górze. Trzeba by przekopać całe wzgórze, aby znaleźć schowek. Jeśli nie wolno tam kopać panu magistrowi Pietruszce, to jakże robi to Batura? Sam pan powiedział, że sytuacja jest beznadziejna, drugiego schowka Koeniga nie będzie można teraz odnaleźć.

— I to jest właśnie ów ślepy zaułek, o którym wspominałem — wyjaśniłem. — Wciąż brzmi mi w uszach pytanie Cagliostro, a sądzę, że było to pytanie Waldemara Batury: czy pułkownik Koenig znalazł się we Fromborku przypadkowo, czy też był mieszkańcem tego miasteczka, to znaczy, czy chował skarby na łapu-capu, czy też miał czas na staranne przygotowanie kryjówek. Tym pytaniem Waldemar Batura chciał się poprzez Cagliostro upewnić, co ja wiem o Koenigu i czy dam się wprowadzić w ślepy zaułek, jakim jest Diabła Góra. Ale ja jestem człowiekiem podejrzliwym. Coś za łatwo odnaleźliśmy Diablą Górę.

— Sądzi pan, że to nie tam jest drugi schowek? — zapytał chłopiec.

Zrobiłem ruch ręką, jakbym coś od siebie odsuwał, dając tym do zrozumienia, że tę sprawę umieszczam na planie dalszym.

— Zastanówmy się najpierw — powiedziałem — w jakim celu Koenig zrobił swój plan. To znaczy, czy plan nakreślił z myślą o kimś, kto będzie w jego imieniu szukał tych skarbów, czy też z myślą o sobie. Innymi słowy, czy Koenig sporządził plan ukrytych skarbów, czy po prostu coś w rodzaju notatki dla samego siebie.

— Myślą, że sporządził notatkę dla siebie samego — odpowiedziała Zosia Walczyk. — Ten plan jest za mało szczegółowy, aby ktoś obcy mógł przy jego pomocy, nie łamiąc sobie głowy, trafić do schowków.

— Zgadza się — kiwnąłem głową. — To była notatka, Koenig nie liczył się z możliwością swojej śmierci. Zapewne też sądził, że ofensywa wojsk hitlerowskich wkrótce odeprze atak radziecki, hitlerowcy znowu odbiją Frombork, a on tu wróci i zabierze skarby. Kluczem jednak do całej sprawy jest rozwiązanie zagadki: Koenig znalazł się we Fromborku przypadkowo czy też był jego mieszkańcem. Potrzebny byłby nam jakiś stary mieszkaniec Fromborka, człowiek, który tu przebywał jeszcze przed wojną i był w czasie wojny. Koenig miał rangę pułkownika, a Frombork to nieduże miasteczko. Jeśli pochodził stąd, to jego rodzina znana była innym mieszkańcom.

— Znam takiego człowieka! — radośnie zawołał Baśka, a Walczyk przytaknęła gorliwie. — Przed tygodniem na naszym ognisku gościł staruszek nazwiskiem Stefan Dąbrowski. Jest jednym z dawnych mieszkańców Fromborka, Polakiem, bo Polaków mieszkało tu bardzo wielu. Opowiadał o dawnym Fromborku, o latach wojny, o straszliwej tragedii na Zalewie Wiślanym po klęsce hitlerowców.

— Gdzie mieszka ten człowiek?

— Na ulicy Starej — pośpieszył z odpowiedzią Baśka. — Numeru domu nie pamiętam, ale potrafię zaprowadzić pana do jego mieszkania, ponieważ odprowadziliśmy go aż pod dom.

Wyjąłem notes i zapisując, powtarzałem głośno:

— Stefan Dąbrowski, ulica Stara...

I nagle zupełnie przypadkiem zerknąłem w stronę drzwi. Zauważyłem ledwo dostrzegalne drgnienie klamki. Ktoś przyłożył ucho do dziurki od klucza i potracił głową klamkę.

Błyskawicznie zerwałem się z krzesła i otworzyłem szeroko drzwi.

Na korytarzu zobaczyliśmy wyprostowującego się Cagliostro.

— Pan podsłuchiwał — stwierdziłem z oburzeniem. Zakłopotał się, a może zawstydydził.

— Ale tylko na bardzo krótko.

Zaraz, pewnym siebie głosem, oświadczył:

— Słyszałem jakieś głosy z naszego pokoju i zastanawiałem się, czy wejść. Bałem się, że mogę panu przeszkodzić, bo sądziłem, że pan rozmawia z jakimś uczonym. Ale, jak widzę, pan tu jest w towarzystwie młodzieży.

Bezczelnie kłamał. Ale co mogłem zrobić? Udałem, że mu wierzę. On zaś, jak gdyby nigdy nic, wszedł do pokoju, ukłonił się chłopcu i Zosi Walczyk, coś tam poszperał w swoich rzeczach i wyniósł się powiadziawszy nam:

— To ja nie będę przeszkadzał.

— Ciekaw jestem — mruknąłem — ile on usłyszał? Myślę, że nazwisko Dąbrowski dotarło do jego uszu, a tym samym zaraz dotrze do Batury. Trzeba więc działać błyskawicznie.

Tymi słowami zakończyłem naradę. Opuściliśmy pokój i schronisko. Baśka poprowadził nas na ulicę Starą, znajdującą się w pobliżu dawnego klasztoru Antonitów.

Przed malutkim domkiem, na ławeczce, obok klombu z maciejką siedział pan Dąbrowski.

Staruszek był przygarbiony, z pooraną bruzdami twarzą i sumiastym wąsem.

Rozumiałem, że nie wolno mi tak od razu wyłuszczyć naszej sprawy, bo być może nie zechce w ogóle udzielić mi żadnych informacji. Dlatego rozmowę z nim zacząłem od spraw obojętnych, potem podsunąłem mu temat minionej wojny, która tak bardzo boleśnie dotknęła mieszkańców miasta i okolic. Miałem nadzieję, że wśród wielu pytań o dni wojenne uda mi się przemycić to jedno: o pułkownika Koeniga.

Mało kto, a przede wszystkim młodzież, uświadamia sobie, że gdy w centralnej Polsce dawno umilkły odgłosy dział, a w wyzwolonym Lublinie, w Łodzi, Kielcach dzieci zaczęły normalnie chodzić do szkoły, tutaj jeszcze toczyły się zażarte walki. Znany kurort na Mierzei Wiślanej — Krynica Morska — żołnierze Armii Czerwonej zdobyli dopiero trzeciego maja, a w okolicach Sztutowa, odgrozonego od świata ogromną połacią zalanych wodą Żuław, faszyci poddali się dopiero po wiadomości o kapitulacji Berlina. Dawne Prusy Wschodnie były jedną wielką fortecą, którą trzeba było zdobywać kosztem ogromnych ofiar.

Frombork udało się zdobyć jedenastego lutego, po czternastu dniach walki. Ale pobliskie Braniewo wydawało się wprost nieosiągalne, znajdowało się bowiem pod osłoną hitlerowskiej ciężkiej artylerii okrętowej. Pociski z dwustumilimetrowych dział powodowały straszliwe zniszczenie w radzieckich jednostkach piechoty i w atakujących Braniewo czołgach, bez których przecież nie można było zdobyć miasta.

Przez siedem tygodni dzień i noc toczyły się walki o Braniewo. Dość powiedzieć, że każdą zagrodę, każdy metr ziemi zdobywano nieraz przez kilka dni. Ostatni, pięciokilometrowy odcinek, dzielący żołnierzy radzieckich od miasta, trzeba było przebywać przez cały tydzień. A gdy wreszcie miasto poddało się — wyglądało jak trup. Dzielnice po obydwu stronach rzeki były zupełnie starte z ziemi, a ten, kto tu był w owych dniach, chyba nie wierzył, że miasto to kiedyś zostanie na nowo odbudowane, że będzie się tu toczyć życie, jak wszędzie indziej.

Ale dramat świętego miasta Warmii — jak nazywano Braniewo — to jeszcze nie wszystko. Bezsensowny rozkaz gauleitera Prus, Ericha Kocha, zmusił do ewakuacji ludność Warmii i

Mazur. Była mroźna zima, zadymki śnieżne. Po oblodzonych drogach jak widma wlokły się kolumny chłopskich wozów, na których wieziono resztki dobytku, małe dzieci, otulone chustkami kobiety. Tysiące, dziesiątki tysięcy takich wozów ciągnęło nad Zalew Wiślany, nad Bałtyk, gdzie — jak mówili hitlerowcy — czekać miały okręty, aby ich wywieźć poza zasięg działań wojennych. Iluż tych wypędzonych ze swych domostw ludzi zmarło po drodze z głodu i chłodu? A ci, co dotarli nad skuty lodem Zalew Wiślany — nie zastali tam żadnych okrętów. Powiedziano im wówczas, że okręty czekają za mierzeją i trzeba się tam dostać po lodzie. I znowu tysiące wozów ciągnęło przez zalew, grzęznąc w błotnistym śniegu, wpadając w szczeliny lodowe. Siekł ich lodowaty deszcz ze śniegiem, na ogromnej przestrzeni pokrytego topniejącym lodem zalewu nie było gdzie się ogrzać. Ludzie marzli na wozach lub tonęli w przerębłach. Pod kołami wozów zapadał się kruchy lód. Powiadają, że prawie pół miliona ludzi zginęło podczas tej tragicznej wędrówki donikąd, bo żadne okręty i barki nie czekały na nich na morzu.

I o tym wszystkim warto dziś pamiętać, gdy patrzy się na mętne wody Zalewu Wiślanego, gdy wjeżdża się w uliczki odbudowanego Braniewa, gdy widzi się kolorowy Frombork.

— Czy wie pan, jakie były losy hitlerowca Ericha Kocha? — zapytałem staruszka. - W okresie walk o Braniewo siedział bezpiecznie w swej willi na mierzei, willi okolonej minami, zasiekami z drutu kolczastego, pilnowanej przez specjalną grupę esesmanów. Potem, gdy widmo klęski było już widoczne, uciekł specjalnym statkiem do Rzeszy. Latem w czterdziestym piątym roku w małej miejscowości Hasenmoor koło Hamburga pojawił się starszy pan w okularach. Niski, krępy, elegancki. Wynajął mały domek, podając się za Rolwa Bergera, byłego majora wermachtu. Wkrótce do pana Bergera przyjechała jego żona, a pan Berger, który do tej pory był trochę odludkiem, zaczął odzyskiwać humor i nawet coraz częściej bywał w miejscowej knajpcie, popijając piwo. Minęło pięć lat. Pan Berger tak się już zżył z miejscowymi ludźmi, że nawet pojawił się na zebraniu Niemców, którzy uciekli z byłych Prus Wschodnich, gdyż — jak opowiadał o sobie także stamtąd pochodził i stracił tam niewielki majątek. „To przecież jest Erich Koch. Przeklęty Erich Koch!” — krzyknął ktoś widząc pana Bergera.

Nie zdążył uciec. Aresztowano go, a dziewiątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku stanął przed polskim sądem w Warszawie i skazany został na karę śmierci.

— Dosięgła go ręka sprawiedliwości — przytaknął staruszek.

A ja zapytałem:

— A pułkownik Koenig? Słyszał pan o takim hitlerowcu?

Staruszek chytrze łypnął ku mnie oczami. I, o dziwo, cichutko się zaśmiał.

— Ach, o to panu chodzi? Do tego pan zmierzał? Wiem nawet, o co jeszcze pan mnie zapyta. O Teufelsbaum, co?

Aż drgnąłem. Wymieniliśmy błyskawiczne spojrzenia z Baską i Zosią Walczyk. Teufelsbaum? Teufelsbaum, czyli Diabelskie Drzewo? A więc nie Teufelsberg, tylko Teufelsbaum...

— Tak, interesuje mnie ta sprawa — stwierdziłem szczerze.

Staruszek znowu zachichotał.

— Wiem, gdzie rośnie Diabelskie Drzewo. W pobliżu domu Koenigów, a właściwie na ich podwórzu. Nikt inny o tym nie wie oprócz mnie. I nikt inny tego miejsca panu nie wskaże, bo po Diabelskim Drzewie i po domu Koenigów nie ma już dziś śladu, zniosły je pociski artyleryjskie.

— Gdzie jest ten dom i to drzewo? — zapytałem.

Staruszek przecząco kręcił głową.

— Nie powiem panu. To znaczy, dziś panu tego nie powiem. Ani dziś, ani jutro. Może za tydzień...

— Dlaczego?

— Bo miejsce to mam prawo zdradzić tylko temu, kto szuka skarbów Koeniga. Z ramienia państwa — dodał robiąc ważną minę.

Chciałem powiedzieć: to ja szukam skarbów Koeniga, ale ugryzłem się w język. Nie miałem prawa mówić w ten sposób. Oficjalnie tych skarbów szuka pan magister Pietruszka.

— A skąd pan wie, że zgłosi się do pana człowiek, który z ramienia państwa szuka skarbów Koeniga? — zapytałem.

— Rozmawiałem z pewnym obywatelem, który też pytał o Teufelsbaum i dom Koenigów. To on właśnie uświadomił mi, że do Fromborka wkrótce przybędzie ktoś, kto się zajmie schowkami Koeniga i on tego człowieka do mnie przyprowadzi. Nie wolno dopuścić do tego, aby skarby wpadły w niepowołane ręce.

— Zgadzam się — kiwnąłem głową. — Ale temu, który obiecał przyprowadzić tu tego człowieka, pan zdradził miejsce, gdzie stało Diabelskie Drzewo?

— Och, wspomniałem tylko coś niecoś na ten temat... — bąknął staruszek.

Jak to się mówi, nie miałem więcej pytań. Sprawa była oczywista. U staruszka był już Waldemar Batura, dowiedział się o miejscu, gdzie znajdowało się Diabelskie Drzewo. Gdy Baturze uda się odkryć drugi schowek i podmienić kielichy złote na srebrne, przyprowadzi do staruszka magistra Pietruszkę, który „dokona odkrycia” drugiego schowka Koeniga. Do tego czasu Batura zabronił staruszkowi udzielać komukolwiek informacji o Diabelskim Drzewie.

— Człowiek, który był u pana, jest zwykłym oszustem — powiedziałem, wyciągając swoją legitymację służbową. — Ja jestem z Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków.

Staruszek starannie obejrzał moją legitymację.

— Oszust? — zdziwił się. — Nie wyglądał na oszusta. Sądzi pan, że on nie przyprowadzi do mnie tego człowieka, który szukać będzie skarbów Koeniga?

— Nie. On przyprowadzi go — sprostowałem.

— Więc dlaczego pan go nazywa oszustem? — oburzył się.

Usiłowałem staruszkowi przedstawić tę zawiłą sprawą, ale on nawet nie chciał słuchać. Tylko machnął raka.

— Ten pan jeszcze tu do mnie przyjdzie i ja go wtedy zapytam o wszystko — obiecał. A na razie to ja panu tajemnicy Diabelskiego Drzewa nie zdradzę.

I czułem, że staruszek uparł się. Przed skontaktowaniem się z Batura nie zdradzi.

Nie pozostało mi nic innego, jak go pożegnać.

— Przyjdę tu do pana jeszcze dziś wieczorem — zastrzegłem. — I przyprowadzę tego człowieka, który w imieniu państwa szuka skarbów. Jego nazwisko brzmi Pietruszka.

Należało przecież działać jak najszybciej. Może Batura nie zdążył jeszcze pozamieniać kielichów.

Wydawało mi się, że dla dobra sprawy należy Pietruszce powiedzieć o Diabelskim Drzewie i przeciąć matactwa Batury. Pietruszka zrozumie, jaką rolę w tej sprawie odgrywa Batura, i pośpieszy do staruszka po informacje o Diabelskim Drzewie. Schowek Koeniga zostanie odnaleziony, a Batura nie zdąży dobrać się do złotych kielichów.

Opuściliśmy ogródek staruszka. Za rogiem ulicy Starej zatrzymałem się.

— Słuchajcie, przyjaciele — powiedziałem do Baśki i Zosi Walczyk — trudności znowu się spiętrzyły. Pobiegnę teraz do magistra Pietruszki, a wy zostańcie tutaj i pilnujcie staruszka. Wydaje mi się, że zasiałem w nim nieufność do Batury. Być może zaniepokojony staruszek zechce skontaktować się z Batura i pójdzie do niego. W ten sposób dowiemy się, gdzie Batura mieszka, i będziemy mogli go obserwować. A więc pilnujcie staruszka, a ja pędzę po Pietruszkę.

Lecz tego dnia chyba wszystkie złe moce sprzysięgły się przeciwko mnie. Panienska z recepcji schroniska PTTK wskazała mi wiszący na haczyku klucz do pokoju magistra Pietruszki.

— Niestety, nie ma go — stwierdziła. A widząc moją zrozpaczoną minę, dodała: — Może jest na plaży?

Nie sądziłem, aby magister Pietruszka, zamiast poszukiwać schowków Koeniga, wylegiwał się na plaży nad zalewem. Chyba że piękna dama imieniem Anielka tak mu zawróciła w głowie, że zapomniał o skarbach.

Lecz poszukiwanie Pietruszki na plaży miejskiej, między setkami podobnych do siebie nagusów, było przedsięwzięciem bezsensownym. Już raczej skłonny byłem mniemać, że Pietruszka wraz z czarną damą tkwi wciąż na Diablej Górze, myszując tam w poszukiwaniu skarbów.

Wskoczyłem do swego wehikułu i popędziłem szosą w stronę Diablej Góry.



I przewidywania moje okazały się słuszne, choć nie całkowicie. Czarnej damy nie było na Diablej Górze. Magister Pietruszka w towarzystwie mistrza Cagliostro wolnym krokiem przechadzał się po wzgórzu.

Parsknąłem śmiechem, tak zabawny przedstawiali widok. Cagliostro miał zamknięte oczy i natchnioną minę. W wyprostowanej ręce trzymał cienką gałązkę. Kroczył ostrożnie jak ślepiec, podtrzymywany przez Pietruszkę, który baczył, aby Cagliostro nie wpadł do jakiegoś dołu. Obydwaj ci mężowie godnie i powoli kroczyli po płaskim wzniesieniu, jak ksiądz z monstrancją podczas procesji. Cagliostro co chwila przystawał i mówił:

— Gałązka drgnęła, tu coś jest.

— Ale co? Co? — dopytywał się niecierpliwie magister Pietruszka.

— Chyba zwykły kawałek żelaza — odpowiadał Cagliostro. — Gdyby to było złoto, gałązka zupełnie inaczej drgnęłaby w moim ręku.

I kroczyli dalej. Jeden z miną natchnioną, drugi — z twarzą wyrażającą najwyższe napięcie.

— Pietruszkaaaa! — krzyknąłem, stojąc u stóp wzgórza. — Pozwól do mnie na chwileczkę.

Magister Pietruszka, acz niechętnie, porzucił ramię Cagliostro i zszedł do mnie ze wzgórza.

— O co ci znowu chodzi, Tomaszu? — burknął. — Dlaczego przeszkadzasz mi w pracy?

— Czy naprawdę wierzysz w czarodziejską różdżkę mistrza Cagliostro? — zapytałem.

— Być może — odparł zaczepnie. — Muszę chwycić się innych środków, skoro nie wolno mi użyć zwykłej łopaty. Zresztą, mój drogi, czytałem w pewnym fachowym piśmie o różdżkarzu, który potrafił wykryć żyły wodne. Do niedawna ludzie drwili z radiestezji, a dziś skłonni są w niej widzieć nowe, nie znane dotąd siły natury.

— Drogi kolego — zacząłem łagodnie — czy nie zdajesz sobie sprawy, że znajdujesz się w rękach szarlatanów i oszustów? Czy nie rozumiesz, że jesteś w szponach Waldemara Batury?

— Batura jest tutaj? Widziałeś go we Fromborku?

— Nie widziałem go tutaj. Ale czuję jego obecność — odrzekłem szczerze. — Tymczasem działa przy pomocy swych ludzi. Cagliostro jest prawdopodobnie w zmowie z Baturą. Być może ta czarna dama...

— Co? Panna Anielka? Chcesz mi wmówić, że ta urocza dama jest członkiem gangu Waldemara Batury? A co do Cagliostro, mój drogi, to przecież twój kompan. Nawet razem mieszkacie. Więc może ty także jesteś współnikiem Batury?

— Sprawa jest poważna...

— Tak. Sprawa jest poważna — potwierdził. — Powinieneś udać się po poradę do lekarza. Wydaje mi się, że chorujesz na nadmierną podejrzliwość, męczy cię mania prześladowcza.

— Posłuchaj mnie uważnie — powiedziałem, hamując gniew. Batura zamierza działać w następujący sposób. Będzie odnajdywał schowki, obłupiał je z najważniejszych przedmiotów, zamieniając rzeczy najcenniejsze na mniej wartościowe. Będziesz odkrywcą obrabowanych schowków.

— Chcesz powiedzieć, że właśnie tak się stało z pierwszym schowkiem? — zapytał cicho Pietruszka.

— Tak — odparłem.

Okazało się, że wybrałem najgorszą drogę. Uraziłem ambicję Pietruszki, wbiłem szpilkę w tkwiącego w nim węża. Pietruszka zbladł.

— Chcesz przez to powiedzieć, Tomaszu, że pierwszy schowek został odkryty nie przeze mnie, tylko przez Baturę, który mi „odstąpił” rozwiązanie zagadki? Wiem do czego zmierzasz. Pragniesz pomniejszyć moje zasługi! — krzyknął i zrobił ręką dramatyczny gest, wskazując stojący na szosie wehikuł. Innymi słowy, kazał mi odejść.

— Pietruszka! — zawołałem. — Zrozum, co się tu dzieje. Tu nie ma skarbów. „Teufelb” z planu Koeniga to nie Teufelsberg, ale Teufelsbaum. Znam pewnego, staruszka, który może ci udzielić informacji.

Ale magister Pietruszka zatkał sobie uszy rękami i nie słuchając mnie wspiał się na wzgórze.

Co mogłem zrobić w tej sytuacji? Smutnie zwiesiłem głowę i pomaszerowałem do wehikułu. Odjeżdżając obejrzałem się za siebie i zobaczyłem Pietruszkę trzymającego pod rękę Cagliostro. Obydwaj znowu kroczyli po wzgórzu, wolno jak na procesji. W wyciągniętej ręce mistrz trzymał cienką gałązkę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

JESTEM PIRATEM · BŁĘKITNY OPEL · MAGISTER INŻYNIER KRZYSZTOF ZEGADŁO · O MIŁOŚCI DO SAMOCHODÓW · CZERWONY MUSTANG · KPINY Z WEHIKUŁU · RUPIEĆ · PORWANIE STARUSZKA · ZDARZENIE NA STACJI BENZYNOWEJ · POŚCIG · ZDUMIENIE ALI · NA GRANICY · HOKUS-POKUS WALDEMARA BATURY · PRZEGRYWAM DRUGĄ RUNDĘ

Byłem tak wstrząśnięty zachowaniem magistra Pietruszki, że przed gospodą ludową we Fromborku nieomal zderzyłem się z błękitnym opel wyjeżdżającym z bocznej uliczki. Znajdowaliśmy się na skrzyżowaniu równorzędnym, gdzie obowiązuje tak zwana „reguła prawej ręki”, czyli pierwszeństwo mają pojazdy nadjeżdżające z prawej strony. Błękitny opel był po mojej prawej ręce i należało dać mu swobodę przejazdu. A ja? Myślałem o Pietruszce, o matactwach Batury, o trudnej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Pograżony w tych niewesołych rozważaniach, sunąłem ulicą i dopiero w ostatniej chwili spostrzegłem błękitnego opla.

Zapiszczały głośno hamulce mojego wozu. Zapiszczały hamulce w opła. Zatrzymaliśmy się raptownie — tylko kilka centymetrów dzieliło przedni zderzak wehikułu od drzwiczek opła. Co się dzieje zazwyczaj w takich razach? Rozgniewany kierowca opła wyskoczył z samochodu i zaczął mi wymyślać:

— Panie, czy zna pan przepisy drogowe?! Panie, na kurs niech pan idzie, bo pan nie umie jeździć! Pan jest piratem drogowym. Chciał pan wymusić pierwszeństwo przejazdu!

Był to młody, przystojny mężczyzna lat około trzydziestu. Wysoki, wysportowany, w koszuli w kratkę, opalony na brąz. W jego wozie zobaczyłem Alę. Tę Alę od straszliwego Asa.

— Ma pan całkowitą rację — stwierdziłem ze skruchą. — Byłem zamyślony i o mało nie spowodowałem wypadku.

— Jeśli ktoś jest zakochany — krzychał do mnie pan z opła — to powinien spacerować po parku, a nie jeździć samochodem!

Panna Ala wysiadła z samochodu i położyła dłoń na ramieniu rozżłoszczonego mężczyzny.

— Daj spokój, Krzysiek — powiedziała. — Przestań się denerwować. Ten pan jest moim znajomym.

I uśmiechnęła się do mnie.

Mężczyzna z opła jeszcze przez chwilę sierzcił się i nawet burknął do Ali:

— Ładnych masz znajomych. Cudem uniknęliśmy wypadku. Już myślałem, że będę miał rozbity bok mojego wozu. Pomyśl, Ala, co mogłoby się stać...

I aż złapał się za głowę. Jasne było, że jego wóz miałby wgnieciony bok, a mój wygiętą maskę.

— Krzysio ma fioła na punkcie swego samochodu — wyjaśniła Ala. — Ciągłe go myje, czyści. Kiedy mu się przyśni, że mógłby mu ktoś porysować karoserię jego wozu, budzi się w nocy zlany potem.

— Och, nie przesadzaj — odrzekł pan z opła. — To, że dbam o swój wóz, nie jest żadnym przestępstwem. Tak długo na niego pracowałem, tyle pieniędzy za niego zapłaciłem, że nie chcę, aby ktoś mi go rozbił. Nawet jeśli to jest twój znajomy.

— Tak. To mój znajomy — przytaknęła Ala. — Pan muzealnik.

Mężczyzna z opła zmierzył mnie od stóp do głów ironicznym spojrzeniem.

— Ach, to pan... — powiedział. I wyciągnął do mnie rękę. — Jestem inżynier Krzysztof Zegadło — przedstawił mi się.

— Tomasz — odpowiedziałem.

Co robią dwaj kierowcy, kiedy po takim zderzeniu pogodzą się? Jeśli im się spieszy, rozjeżdżają się. A jeśli mają czas — a i ja, i oni dysponowaliśmy czasem — zjeżdżają pod krawężnik ulicy i rozpoczynają towarzyską pogawędkę.

Nie powiem, aby ta pogawędka była dla mnie miła. Magister inżynier Zegadło reprezentował typ człowieka bezgranicznie wielbiącego technikę. Jego uwielbienie dla techniki przypominało rodzaj kultu. Wszystko, co nie stanowiło techniki, wydawało się inżynierowi Zegadło mało interesujące, ba, godne pogardy. Gdybym reprezentował Muzeum Techniki, być może pan Zegadło widziałby we mnie jakąś wartość. Ponieważ jednak nie miałem dyplomu inżyniera, tylko historyka sztuki, pan Zegadło traktował mnie niemal jak nieszkodliwego wariata, który poświęca swój czas na nikomu niepotrzebne i mało ważne sprawy.

Przedmiotem kultu inżyniera Zegadły były również samochody. Najmniejsza plamka na karoserii była niemal plamą na jego honorze, każde zadrapanie na lakierze wozu odczuwał boleśnie, jakby to zadrapano jego własne ciało. I takiemu to człowiekowi o mało nie rozbiłem jego pięknego błękitnego opla. Teraz chyba rozumiecie istotę tej sprawy?

Inżynier Zegadło najchętniej rozmawiał o samochodach. Własnych i cudzych, o ich bolączkach i zaletach, o ich właściwościach i specyficznych potrzebach. Wydaje mi się, że gdyby mu ktoś pokazał obraz van Gogha i pięknego taunusa, tylko taunus zdołałby go zainteresować, aczkolwiek obraz van Gogha wart jest na rynku światowym sto, a może więcej taunusów.

Inżynier Zegadło był jednak przystojnym trzydziestoletnim mężczyzną i obecność panny Ali w jego opolu wydawała się uzasadniona. Panna Ala też chyba miała coś wspólnego z techniką, skoro siedziała w straszliwym Asie. Widziałem jednak, jak z ogromną ciekawością oglądała zabytki Fromborka. Osobiście nie cierpię ciasnoty umysłowej w żadnej dziedzinie. Nie lubię humanistów, którzy nie uważają za godne uwagi wiedzieć, czym różni się silnik czterosuwowy od dwusuwowego, i inżynierów samochodowych, z którymi nie można porozmawiać o systemach filozoficznych. Mimo ogromnej specjalizacji, której wymaga współczesny świat, nie wierzę, aby jakiś człowiek specjalizujący się w jednej określonej dziedzinie mógł w niej mieć ogromne sukcesy, jeśli nie będzie mieć otwartych oczu na pozostałe sprawy otaczającego go świata. Byłem w willi wielkiego radzieckiego fizyka w Dubnej pod Moskwą i widziałem u niego wspaniałą kolekcję obrazów współczesnych. O tych obrazach rozmawiał ze mną ów fizyk z miłością i znanstwem. Znam pisarza, który potrafi robić piękne meble — strugiem tak samo dobrze włada, jak i piórem.

Pan Zegadło reprezentował więc typ ciasnego technokraty. Panna Ala była inna. Może dlatego, kiedy on zaczynał mówić o samochodach, na jej twarzy pojawiał się wyraz lekkiego znudzenia, a nawet zażenowania.

A traf zdarzył, że tam, gdzie zaparkowaliśmy nasze wozy, to jest w sąsiedztwie gospody ludowej we Fromborku, stał akurat przy krawężniku wspaniała czerwony ford mustang.

Był to wóz typu coupe. Karoserię zaprojektował chyba bardzo utalentowany plastyk, bo choć samochód stał nieruchomo, zdawało się, że już zrywał się do biegu. A przy tym wydawał się niezwykle lekki i zwinny, na szosie rozwijał chyba zawrotną szybkość i doskonale brał zakręty. Gdzie go porównać do ciężkiej sylwetki opla, nie mówiąc już o moim wehikule, podobnym do rozkraczonej żaby.

— Oto jest samochód — oświadczył inżynier Zegadło, z najwyższym zachwytem patrząc na czerwonego mustanga.

A słowa te były wypowiedziane takim tonem, jakim — wyobrażam sobie — Poncjusz Piłat wypowiedział na widok Chrystusa słynne „Ecce homo”, czyli „Oto człowiek”. Wydaje mi się, że pan Zegadło z większym zachwytem podziwiał czerwonego mustanga niż urodę panny Ali. Odniosłem wrażenie, że ona to również zauważyła, bo stwierdziła z odrobiną drwiny w głosie:

— Samochód zrobili ludzie i dlatego nie ma potrzeby padać przed nim na kolana. Sądzę, że ludzie są bardziej interesujący od samochodów.

Inżynier Zegadło zamachał przecząco rękami.

— Ach, Alu, ty sobie nawet nie wyobrażasz, jak wspaniałe uczucie musi mieć człowiek prowadzący tak piękny wóz.

— Tak — zgodziłem się z ironią — zapewne jest to wspanialsze uczucie niż prowadzić pod rękę ładną pannę.

Inżynier Zegadło łypnął na mnie podejrzliwym okiem. Być może moja ironia dotarła do jego świadomości. Odpowiedział zaczepnie:

— Panu trudno zrozumieć moje słowa, ponieważ zadawała się pan prowadzeniem tego wstrętnego gruchota — wskazał mój pokraczny wehikuł.

— To zupełnie dobry samochód — stwierdziłem.

— I pan to coś nazywa samochodem? No wie pan, to są chyba wolne żarty.

— Jedzie po szosie tak samo jak inne samochody — powiedziałem. — A że nie jest piękny, to już inna sprawa. Karoserię wykonał wujek, domorosły wynalazca. Samochód mój jest jednak bardzo użyteczny.

— Użyteczny? — podchwycił inżynier Zegadło. — Do czego użyteczny? Chyba jako wóz cyrkowy do wożenia kuglarzy po jarmarkach.

— Byłem nim nawet za granicą — odrzekłem.

— Co? — oburzył się Zegadło. — I może miał pan na tej pokrace przyczepione literki PL, aby każdy wiedział, że pan jest z Polski? Panie, pan kompromituje nasz kraj, naszą technikę. Co sobie o nas obcy pomyślą?

— Nie wszystko jest złotem, co się świeci — stwierdziłem filozoficznie. — We Francji znalazł się nawet ktoś, kto chciał kupić ode mnie mój wehikuł i gotów był zapłacić niezłą sumkę.

— Domyślam się, o co chodziło. Zapewne chciał pański wehikuł przekazać do muzeum dziwactw. Słyszałem, że i takie muzea są za granicą.

— Mój wehikuł ma dużo zalet, choć nie neguję, że posiada też pewne braki... — zacząłem wyjaśnienia.

— Panie, on składa się z samych braków. To jest jeden wielki brak. Brak taktu, brak smaku, brak prędkości, brak... — tu inżynier urwał, bo przede wszystkim to jemu czegoś brakowało. Brakowało fantazji, aby dalej snuć te wymysły na mój wehikuł.

Panna Ala, której chyba zrobiło się nieprzyjemnie, bo sądziła, że mnie jest przykro, powiedziała:

— Nasz As też nie jest piękny...

— As? — oburzył się inżynier. — As jest szczytem współczesnej techniki. Piękno Asa byłoby bezużyteczne. Ten zaś wehikuł to jest... to jest... — szukał w głowie jakiegoś wyzwiska i wreszcie wykrzyknął radośnie: — Toż to jest rupieć!

W tym momencie z gospody ludowej wyszła czarna dama, czyli panna Anielka, znajoma magistra Pietruszki. Podeszła do czerwonego mustanga, otworzyła drzwiczki, zasiadła za kierownicą. Inżynier Zegadło z niemym zachwytem śledził każdy jej ruch. A gdy piękna dama włożyła kluczyk do stacyjki i silnik samochodu zaczął prawie bezszelestnie pracować, zdawało się, że również serce inżyniera Zegadły zaczęło bić w nowym, radosnym rytmie.

— To jest wóz — szepnął inżynier jak w upojeniu.

Czerwony mustang poderwał się z miejsca wspaniałym zrywem. Zawrócił na ryneczku Fromborka, a potem pomknął w stronę Braniewa. Po kilku sekundach zniknął nam z oczu.

A gdy przepadł, zdawało się, że i dla inżyniera Zegadły przestało błyszczeć słońko. Twarz mu posmutniała, zwiesił głowę i powiedział melancholijnie:

— Chciałbym mieć taki samochód...

I zamilkł. Panna Ala wykorzystała tę chwilę, aby skierować rozmowę na inny temat.

— Czy magister Pietruszka trafił już na Diablej Górze na schowek Koeniga? — zagadnęła mnie.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. W tym momencie podbiegł jakiś chłopiec w mundurku harcerskim i salutując zapytał:

— Czy pan jest panem Tomaszem?

— Tak.

— Baśka kazał nam wszędzie pana szukać i zameldować, że czerwony mustang porwał staruszka.

— Co takiego? — zawołałem.

— Nic nie wiem o tej sprawie — odrzekł chłopiec. — Po prostu Baśka kazał nam pana odnaleźć i przekazać meldunek.

Słowa chłopca słyszał i inżynier Zegadło. Nie wiedział, o co chodzi, ale zrozumiał, że ktoś kogoś porwał, a to znaczy, że należy pośpieszyć z odsieczą. A może również pragnął popisać się przed Alą swoją przedsiębiorczością i właściwościami swego opla.

Krzyknął gromko:

— Ktoś kogoś porwał? Na koń, proszę państwa. Dościgniemy czerwonego mustanga. Siadajcie do mego wozu, a ja już dopadnę bandytów.

Pokręciłem przecząco głową.

— Pojadę wehikułem. Zresztą, nie wiem nawet, w jakim kierunku pojechał czerwony mustang. Musimy najpierw porozmawiać z moimi przyjaciółmi, którzy strzegli staruszka.

Zagrały silniki naszych samochodów. Ruszyłem pierwszy, a inżynier Zegadło wraz z Alą pojechali za mną, bo ja znałem drogę do domu staruszka.

Gdy tylko wjechałem w ulicę Starą, na jezdnię wyskoczyli Zosia Walczyk i Baśka. Zahamowałem. Relacja ich była krótka, bo zdawali sobie sprawę, że każda sekunda jest niezwykle cenna.

— Do staruszka przyszło dwóch mężczyzn, a potem przyjechał czerwony mustang, prowadzony przez pannę Anielkę, znajomą magistra Pietruszki. Później jeden z mężczyzn wyprowadził z domu staruszka i wpakował go do czerwonego mustanga. Panna Anielka zasiadła za kierownicą i odjechali.

— Dlaczego sądzicie, że staruszek został porwany? — zapytałem.

— Miał związane ręce i opierał się. Ten mężczyzna niemal siłą wepchnął go do wozu. Sprawa jest jasna: Batura nie chce, żebyśmy uzyskali informacje w sprawie Diabelskiego Drzewa.

— W którą stronę odjechali?

— Na Braniewo. Panna Anielka powiedziała: „Musimy jeszcze zatankować paliwo”. Myślę więc, że najpierw pojechali do stacji benzynowej na szosie braniewskiej.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie planuje się porwania mając pusty bak.

Zegadło był innego zdania.

— Panie, co pan mówi? Nawet przestępca może zapomnieć o napełnieniu baku samochodowego. Na koń, proszę państwa! Jestem pewien, że dopędzimy czerwonego mustanga. Porzuć pan to swoje stare pudło, bo ono nam tylko będzie zawadzać, i jedziemy co koń wyskoczy.

Pokręciłem przecząco głową.

— Pana opel nie zdoła dogonić mustanga. Niech pani siada do mego wozu — zwróciłem się do Ali.

Mój głos brzmiał tak zdecydowanie, że panna Ala wsiadła do wehikułu, gdzie natychmiast wskoczyli także Zosia Walczyk i Baśka.

Nacisnąłem mocno pedał gazu. Wehikuł rzucił się do przodu jak rumak dźgnięty ostrogą. Pomknęliśmy w stronę stacji benzynowej, a błękitny opel inżyniera Zegadły dopiero po chwili ruszył za nami.

Od momentu porwania minęło już chyba kilkanaście minut, a przecież przy stacji benzynowej zobaczyliśmy czerwonego mustanga. Panna Anielka zatankowała już benzynę, a teraz dolewała oliwy do silnika. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że czerwony mustang specjalnie tu na nas czeka. Lecz wrażenie to zaraz minęło.

Zauważyłem, że w mustangu nie było żadnego mężczyzny. Na tylnym siedzeniu leżał tylko jakiś tłumok nakryty kocem.

Wysiadłem z wehikułu i skierowałem się do panny Anielki. Jednocześnie zajrzałem przez szyby do wnętrza jej wozu. A wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Ktoś ukryty pod kocem jakby usiłował się uwolnić. Na moment ujrzałem czyjąś twarz. Twarz ta miała sumiaste wąsy staruszka. A więc sprawa była jasna: mężczyzna, który wepchnął staruszka do wozu, wysiadł gdzieś po drodze, a związanego staruszka umieszczono na tylnym siedzeniu i jak tłumok nakryto kocem. I oto teraz usiłował się uwolnić.

— Chwileczkę, proszę pani — zwróciłem się do Anielki. — Czy mogą z panią zamienić kilka słów?

Lecz panna Anielka chyba zorientowała się, że spostrzegłem staruszka. Błyskawicznie zakręciła korek oliwy i wskoczyła za kierownicę mustanga.

Chwyciłem za drzwiczki jej wozu, z drugiej strony złapał za klamkę drzwi pan inżynier Zegadło, który w tym czasie nadjechał do stacji benzynowej. Ale czerwony mustang już zerwał się do biegu i musieliśmy puścić klamki, bo przewróciłby nas na ziemię.

Zapiszczały opony, gdy mustang zawrócił spod stacji i popędził drogą do Fromborka, a potem znowu piszcząc oponami skręcił na szosę w kierunku elbląskiej autostrady. A ja mknąłem za nim. Za mną zaś pędził magister Zegadło w swoim błękitnym opelu.

We Fromborku na zakręcie zwolniłem, bo przecież znajdowałem się w strefie zabudowanej. Tę chwilę wykorzystał inżynier Zegadło, wysforowując się do przodu.

— Ach, ten pański rupieć! — jąknęła Ala. — Trzeba było jechać oplem. Przecież tym gruchotem nie dopędzi pan mustanga.

Mruknąłem:

— Zobaczmy, proszę pani. Mój wehikuł bywa czasem bardzo dobrym samochodem.



Udała, że się śmieje, ale chyba mój dowcip wydał jej się bardzo głupi.

Szosa na Wierzno jest wąska, wysadzana drzewami. Ani mustang, ani opel Zegadły, ani też mój wehikuł nie mogły rozwinąć dużej szybkości. W tych warunkach szaleństwem byłoby wyprzedzać. Jechały więc te trzy wozy jeden za drugim, czekając tylko na okazję: mustang, aby się od nas oderwać, opel, aby wyprzedzić mustanga i zagrozić mu drogę. Ja zaś, aby wyprzedzić opła i mustanga.

— Mówiliście — odezwałem się do Zosi Walczyk i chłopca — że dwóch mężczyzn weszło do domu staruszka. Potem wspomnieliście, że tylko jeden mężczyzna wyprowadził staruszka z domu. Co się stało z drugim mężczyzną?

— Zapewne pozostał w domu staruszka — stwierdziła Zosia Walczyk.

— Dziwne. Bardzo dziwne — mruknąłem. — A ten pierwszy mężczyzna także zniknął z mustanga. Historia z porwaniem wygląda mi podejrzanie.

— Każde porwanie jest podejrzane — rzekła Ala. — Może uznali, że Anielka zdoła sama wywieźć związanego staruszka. Dwaj mężczyźni mają pewnie jakieś inne zajęcie na miejscu.

— A właśnie. Jakie? — zapytałem.

— Przecież pan sam mówił, że oni szukają skarbów Koeniga. Staruszka wywieźli, żeby pan nie mógł się z nim skontaktować i wyciągnąć od niego informacji. Do tego celu wystarczyła panna Anielka, a oni zostali we Fromborku.

— Może — zgodziłem się z odrobiną powątpiewania. Lecz nie było już czasu na rozmowy. Oto zbliżyliśmy się do elbląskiej autostrady, na którą dużą okolnicą wjechał czerwony mustang i ku naszemu zdziwieniu pomknął w stronę radzieckiej granicy.

I tu o autostradzie słów kilka, niezbędnych dla wyjaśnienia całej akcji.

Niemcy zaprojektowali budowę ogromnej, dwustrumiennej autostrady, łączącej Elbląg z Królewcem. Zrealizowano jednak tylko jeden odcinek tego projektu, i to częściowo. Autostrada posiada jeden betonowy strumień, budowę drugiego zarzucono.

Jak każda autostrada, tak i ta nie ma żadnego skrzyżowania, wszystkie przecinające ją drogi prowadzą albo pod nią, albo nad nią przez specjalnie zbudowane wiadukty i mosty. Z bocznych dróg wyjeżdża się okolicami, co zwiększa widoczność i pozwala bezpiecznie włączyć się do ruchu na autostradzie, na której można rozwijać dużą szybkość.

Ale autostrada Elbląg-Królewiec jest dzisiaj zupełnie martwa, albowiem wraz z podziałem Prus między Polskę i Związek Radziecki straciła swoje znaczenie komunikacyjne i militarne. Jest ona niepotrzebna w naszej sieci dróg, gdyż przecina ją granica państwowa. Przejścia graniczne są w zupełnie innych miejscach, ludność korzysta z dróg bocznych, bardziej przydatnych, bo łączących wsie i osiedla.

I oto w tym miejscu znalazł się czerwony mustang. Do granicy pozostawało jeszcze kilkanaście kilometrów pustej autostrady. Rozpoczął się prawdziwy pościg.

Nie wiem, jaką maksymalną szybkość potrafi rozwinąć mustang. Ale już po kilku minutach jazdy autostradą spostrzegłem, że strzałka szybkościomierza wehikułu dotknęła liczby sto sześćdziesiąt. Nie był to jednak jeszcze koniec. Mustang mknął coraz szybciej i szybciej. Błękitny opel zaczął pozostawać w tyle...

A wtedy wydarzyło się coś takiego, co spowodowało, że z piersi panny Ali wydobyło się radosne westchnienie. Zaś magister inżynier Zegadło wpadł w takie zdziwienie, że o mało nie zjechał z autostrady i swoim błękitnym opem nie wpadł do rowu.

Już owe sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę budziło zdumienie panny Ali. Mrugając oczami z niedowierzaniem patrzyła na licznik wehikułu, bo w głowie jej się nie mogło pomieścić, aby „rupieć” osiągał tak wielką prędkość. Ale ja jeszcze mocniej przycisnąłem pedał gazu.

Trzysta pięćdziesiąt koni mechanicznych samochodu Ferrari 410 przyśpieszyło swój bieg. Trzysta pięćdziesiąt koni mechanicznych ruszyło z kopyta, jakby ktoś strzelił z bata. W dwunastu cylindrach żywiej zagrała krew samochodu — żółta, wyskokoktanowa benzyna. Dwa gaźniki tłoczyły benzyną do cylindrów.

Sto siedemdziesiąt. Dwieście... Dwieście dziesięć... Dwieście dwadzieścia...

Wyprzedziłem opla z taką łatwością, z jaką jadący z górki rowerzysta wyprzedza idącego pieszo człowieka. Wyprzedziłem czerwonego mustanga z taką łatwością, z jaką rowerzysta wyprzedza chłopską furmankę.

— Ten pana wehikuł — wyjąkała panna Ala — on jest chyba... zaklęty...

Wyprzedzając mustanga zerknąłem na pannę Anielkę. O dziwo! Nie była zdumiona ani przerażona. Mógłbym niemal przysiąc, że coś w rodzaju tryumfującego uśmiechu ukazało się na jej twarzy. „Czyżby to ona zwyciężyła?” — przemknęło mi przez myśl.

Lecz zaledwie mój wehikuł znalazł się przed mustangiem, ujrzałem czerwoną ostrzegawczą tablicę z napisem: „Strefa graniczna”, a po chwili, bo przecież jechaliśmy w zawrotnym tempie — zobaczyłem biało-czerwoną tablicę z białym orłem. Napis na tablicy głosił: „Granica państwa”. Szosę przegradzał biało-czerwony szlaban, przy którym stał na warcie żołnierz WOP-u, z zielonym otokiem na czapce.

Na widok dwóch aut mknących z szaloną szybkością w kierunku granicy wartownik przesunął swój automatyczny pistolet z ramienia na piersi i bardzo wyraźnym gestem położył dłoń na jego kolbie. Te dwa pędzące samochody sprawiały na nim wrażenie, jakby ich właściciele nie chcieli uwzględnić faktu istnienia granicy.

Przycisnąłem hamulce, to samo zrobiła czarna dama w mustangu. Zapiszczały opony kół, wozem moim trochę zarzuciło, lecz przecież zdążyłem zatrzymać się przynajmniej o czterdzieści metrów przed szlabanem. Gdy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem maskę mustanga zaledwie o dwa metry za wehikułem. Wskoczyłem z wozu i podbiegłem do czarnej damy. Nie zależało mi na widoku jej pięknej twarzy. Chciałem uwolnić staruszka, porwanego i ukrytego pod kocem na tylnym siedzeniu.

Ale to, co ujrzałem, przeszło wszelkie moje wyobrażenia. Poczułem się, jakby ktoś oblał mnie nagle kubłem zimnej wody. Lub jakbym raptem w biały dzień, w pełnym słońcu ujrzał upiora, który wyszczerzył na mnie swoje zęby.

Oto za kierownicą czerwonego mustanga siedziała z uśmiechem panna Anielka. A na tylnym siedzeniu, wygodnie rozparty, z nogą założoną na nogę, tkwił Waldemar Batura i z obojętną miną palił papierosa. Koc, pod którym znajdował się staruszek, leżał obok niego, starannie złożony w kostkę.

Na stacji benzynowej widzieliśmy wszyscy związanego staruszkę, zobaczyliśmy jego wąsy, zauważyliśmy, jak usiłował wydostać się spod koca. Potem ani przez sekundę czerwony mustang nie zniknął nam z oczu, deptaliśmy mu po piętach. A przecież na trasie od Fromborka do granicy odbył się jakiś zadziwiający hokus-pokus i staruszek zmienił się w Waldemara Baturę. Czyż ten fakt nie mógł odebrać nam mowy?

I gdy tak staliśmy obok czerwonego mustanga, w niemym milczeniu patrząc na Waldemara Baturę, nadjechał błękitny opel, z którego wyskoczył magister inżynier Zegadło. Nie obchodził go już czerwony mustang, a tym bardziej jego pasażerowie. Interesował go jedynie mój wehikuł.

— Panie! — zawołał błagalnie. — Panie drogi. Pokaż pan, co ten rupieć ma pod maską... Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Co za szybkość! Co za tempo! Jakaż to wspaniała maszyna — niemal jęczał z zachwytu, bowiem niezwykle kochał samochody.

Zawróciłem do wehikułu i podniosłem jego maskę. A inżynier Zegadło przyklęknął i z najwyższym nabożeństwem liczył cylindry silnika, z największą delikatnością dotykał gaźników, kabli doprowadzających prąd elektryczny do świec, głaskał prądnicę, paski klinowe na prądnicy i chłodnicy.

A w tym czasie Waldemar Batura porzucił maskę obojętności. Z zapalonym papierosem w ustach, wysiadł z czerwonego mustanga, zrobił kilka kroków w moim kierunku i powiedział:

— Wiedziałem, Tomaszu, że masz znakomity samochód. Ale nie przypuszczałem, że jest on aż tak szybki. To rzeczywiście cudowna maszyna. Przenigdy nie zaryzykuję ścigać się z tobą ani nie będę próbował przed tobą uciekać.

— Gdzie jest staruszek? — warknąłem. — Dokonałeś porwania pana Dąbrowskiego. Co z nim zrobiłeś?

Waldemar Batura skrzywił usta, wyrażając tym niesmak.

— Staruszek? Porwanie? Znajdujesz się, Tomaszu, w stanie upojenia alkoholowego? Czy widziałeś tu gdzieś jakiegoś staruszkę?

„Świat jest iluzją” — pomyślałem, przypominając sobie słowa Cagliostro. A Batura mówił dalej:

— Porwanie? A fe, Tomaszu. Zapomniałeś, że ja, podobnie jak i ty, brzydzę się brutalną siłą, cenię spryt i inteligencję. Nie leży w moich obyczajach nikogo porywać ani zmuszać siłą do robienia czegoś, czego robić nie chce.

— Gdzie jest staruszek? — krzyknąłem groźnie. Waldemar Batura uśmiechnął się wyrozumiale.

— Wiem, jak cenisz szczerość, drogi Tomaszu. Dlatego powiem ci prawdę. Nie porwałem staruszka. Po prostu w nagrodę za to, że poinformował mnie o miejscu, gdzie rośło Diabelskie Drzewo, zaproponowałem mu dwutygodniowe wczasy w jednym z polskich kurortów. Dałem mu na ten cel pieniądze oraz zaopatrzyłem go w bilet.

Batura zerknął na zegarek i rzekł:

— W tej chwili z portu we Fromborku odpływa statek do Krynicy Morskiej. Ale przecież nie twierdzę, że tym statkiem odpłynął staruszek. Przed dziesięcioma minutami z dworca kolejowego we Fromborku odjechał pociąg do Gdańska, skąd są połączenia kolejowe do Zakopanego, na Dolny Śląsk, do Międzyzdrojów i Kołobrzegu. Ale przecież nie twierdzę, że w tamtą stronę odjechał staruszek. Za pięć minut z Fromborka odejdzie pociąg do Olsztyna, skąd łatwo o połączenie z Białymstokiem, a dalej autobusem dostać się można do wielu uroczych miejscowości nad jeziorami Suwalszczyzny. A Bieszczady? Czyżbym zapomniał o modnych Bieszczadach? Przysięgam ci, Tomaszu, że znajdziesz staruszka w którejś miejscowości wczasowej. Lecz jeśli tego rodzaju poszukiwania wydają ci się bezsensowne, okaż cierpliwość i poczekaj. Przysięgam, że za dwa tygodnie staruszek zdrowy i wypoczęty zjawi się we Fromborku i zapewne chętnie poinformuje cię, gdzie rośło drzewo zwane Teufelsbaum. Niestety, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Przegrałem. Po raz drugi już przegrałem w walce z Waldemarem Baturą. Okazał się sprytniejszy ode mnie, przechytrył mnie, a teraz stał przede mną na szosie i naigrawał się z mojej klęski.

— Przepraszam, drogi Tomaszu — mówił Batura — że naraziłem cię na podróż do tego miejsca. Ale chyba przyznasz, że cię niczym nie zachęcałem. Zrozum jednak moją sytuację: rozstawiłeś warty wokół domu staruszka. W jaki sposób niepostrzeżenie mógł on wejść na statek albo udać się na dworzec kolejowy? W charakterze porwanego staruszka położyłem się pod kocem na tylnym siedzeniu samochodu. Mógłbym cię pociągnąć za sobą w stronę Elbląga, Malborka. Mogłem kluczyć i zmieniać trasy. Ale wiem przecież, że żyjesz ze skromnej pensji urzędniczej, a dyrektor Marczak nie zwróci ci pieniędzy za wypaloną benzynę. Uwzględniając stan twych finansów, pojechaliśmy tylko do granicy. I teraz w największej zgodzie powrócimy do Fromborka. Czy tak, Tomaszu?

To mówiąc Waldemar Batura skłonił się pannie Ali, Zosi Walczyk, mnie i chłopcom. Wsiadł do czerwonego mustanga, który zawrócił i pomknął w stronę Fromborka.

— Pan miał rację — szepnął Baśka — Batura jest genialnym złoczyńcą.

Jakże gorzki ma smak uczucie klęski. Zwiesiłem głowę i nie cieszyły mnie nawet zachwyty Zegadły nad silnikiem wehikułu. Tryumf nad Zegadłą był niczym wobec tryumfu, jaki odniósł Batura.

Baśka i Zosia próbowali obudzić we mnie nadzieję:

— Niech się pan nie martwi, panie Tomaszu. Przecież pan Dąbrowski nie jest chyba jedynym starym mieszkańcem Fromborka? Może żyje tu jeszcze ktoś inny, kto zna miejsce, gdzie znajdował się dom Koenigów.

Panna Ala dotknęła mojego ramienia i rzekła ciepłym głosem:

— Jeśli kiedykolwiek będzie pan potrzebował mojej pomocy, proszę udać się do wąwozu koło Diabłej Góry, a potem pójść ścieżką skrajem lasu. Ta ścieżka zaprowadzi pana do długiego baraku ogrodzonego siatką. Tam może mnie pan znaleźć. A teraz bardzo proszę o wyjaśnienie spraw, których stałam się świadkiem. Kim jest ten Batura? Dlaczego udawał, że porwał staruszka? Jak to jest, że nie szuka pan skarbów pułkownika Koeniga, a jednocześnie ich pan szuka?

Należały się dziewczynie wyjaśnienia. Inżynier Zegadło zajęty był wciąż oglądaniem mego wehikułu, więc miałem czas, aby opowiedzieć Ali o sprawie beczennych monet i moich podejrzeniach wobec Batury,

Nie sądziłem, aby ofiarowana przez nią pomoc mogła mi się na coś przydać. Ale i tym razem omyliłem się.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

PO KLĘSCE · WOJNA TRZYNASTOLETNIA · KRNABRNY SIOSTRZENIEC · JAK LUD MAZURSKI STAŁ SIĘ EWANGELICKI · KŁĄTWA · CZY UMIEM LICZYĆ DO DWUDZIESTU · ŚWIAT JEST ILUZJĄ · DRZEWO ZŁYCH INFORMACJI · KTO SIĘ TOPIŁ POD KRANEM

Panna Ala i Krzysztof Zegadło odjechali w Krainę Straszliwego Asa. Baśka i Zosia Walczyk wrócili do swoich harcerskich obozowisk, a ja samotnie zjadłem kolację w schronisku PTTK. Nie zajrzałem nawet do swego pokoju, bo lękałem się, że zobaczywszy Cagliostro, rzucę mu w twarz słowo: „Judasz”. To przecież on podsłuchawszy naszą rozmowę, przekazał jej treść Waldemarowi Baturze, który natychmiast zorganizował wyjazd staruszka.

Męczyło mnie uczucie doznanej porażki, pragnąłem w samotności przemyśleć przyczyny mojej klęski i dlatego zamiast do swego pokoju, udałem się na spacer po Fromborku.

Był wieczór. Nad brzegiem Zalewu Wiślanego głośno i jak gdyby rozpaczliwie krzyczały mewy. Od strony Tolkmicka przyplłynął biały statek pasażerski i przez chwilę zaroilo się od ludzi w małym porcie. Potem już tylko dopływały do brzegu żaglówki i jachty z miejscowego koła Polskiego Związku Żeglarskiego i po wodzie rozchodziły się głośne rozmowy żeglarzy.

Mrok wsącał się w uliczki miasteczka, rozlewał się po skwerach, gdzie ongiś stały domy, a teraz, na uporządkowanych przez harcerzy trawnikach rosły piękne kwiaty.

Powracając z fromborskiego portu w stronę katedralnego wzgórza, powoli ulegałem urokowi wieczoru. I choć starałem się nie zapominać o drugim schowku Koeniga, to przecież myśl moja poszybowała ku zupełnie innym, odległym sprawom.

Być może sprawiła to potęga pióra Henryka Sienkiewicza i sugestywność jego „Krzyżaków”, że w umyśle większości ludzi rok tysiąc czterysta dziesiąty kojarzy się z upadkiem zakonu krzyżackiego i tryumfem polskośći w Prusach. Nie, nie chcę pomniejszać znaczenia grunwaldzkiej bitwy, bo prawdą jest, że wówczas to przetrącony został kręgosłup Zakonu. Ale przecież jest także prawdą historyczną, że zwycięstwo pod Grunwaldem nie zostało wykorzystane przez Jagiełłę — Zakon wciąż był jeszcze potężny.

Trzyznaście lat musiał król Kazimierz Jagiellończyk walczyć z Krzyżakami, aby wreszcie zdruzgotać ostatecznie ich potęgę i doprowadzić do pokoju toruńskiego w tysiąc czterysta sześćdziesiątym szóstym roku, gdy to Krzyżacy zwrócić musieli Polsce Pomorze Gdańskie, oddać Powiśle z Malborkiem i Elblągiem oraz Warmię. Lecz pozostała im przecież reszta Prus, a w tym Mazury.

Gdy doszło do zwycięstwa, włączenie do Polski zdobytych na Krzyżakach terytoriów przyjęto w naszym kraju z poważnymi oporami.

Dlaczego? Czyżbyśmy się bali, że powitają nas tam wrogowie?

Ależ nie. Czekano na polskich rycerzy z największym utęsknieniem, modlono się o ich przyjście, słano posłów z prośbą o włączenie do Polski. Jeszcze przed bitwą pod Grunwaldem działał w Prusach słynny Związek Jaszczurczy, rycerzy opowiadających się za przyłączeniem ziem zakonnych do Polski. A potem powstał tam Związek Pruski szlachty i mieszczan, którzy dążyli do wyzwolenia się spod władzy Krzyżaków i przyłączenia do Polski.

W lutym tysiąc czterysta pięćdziesiątego czwartego roku wybuchło w Prusach powstanie przeciw Krzyżakom, do Kazimierza Jagiellończyka przybyło poselstwo szlachty i mieszczan pruskich z prośbą o przyłączenie ich ziem do Polski. Król Kazimierz Jagiellończyk zdecydował się wówczas na wszczęcie wojny z Krzyżakami, owej wojny trzynastoletniej, lecz zrobił to wbrew potężnej opozycji w swej radzie koronnej, opozycji, którą reprezentował kardynał Zbigniew Oleśnicki. A gdy zwyciężył i po trzynastu latach doprowadził do pokoju w Toruniu, papież ogłosił klątwę. Formalnie spadła ona na Związek Pruski, ówczesni jednak pojmowali ją jako obejmującą Królestwo Polskie, a nawet osobę polskiego króla. Po jakimś czasie papież musiał ją cofnąć, gdyż król zagroził cofnięciem intratnych dochodów, jakie papież ciągnął z Polski.

Zakon krzyżacki dogorywał. Kilkudziesięciu Krzyżaków, którzy rządili w państwie zakonnym, posługiwało się tylko zaciężnym wojskiem, najmitami, ale na utrzymanie ich brakowało im pieniędzy. Nie przybywali nowi rycerze zakonni, bo idea walki z pogaństwem zginęła śmiercią naturalną, jako że brakowało pogan, których trzeba było mieczem nawracać. Rosło też niezadowolenie ludności podległej Krzyżakom. I w tej sytuacji rycerze zakonni zdecydowali się wybrać swym Wielkim Mistrzem — księcia Albrechta Hohenzollerna. Był on synem Zofii Jagiellonki, siostry panującego w Polsce króla Zygmunta Starego, męża królowej Bony. Ów książę Albrecht należał do ulubieńców króla, bo też i cechowała go nie lada jaka inteligencja, wiedza, kultura i wytworne obyczaje. A tyleż w nim było krwi polskiej, co i niemieckiej.

Książę Albrecht został więc Wielkim Mistrzem, a że państwo krzyżackie po pokoju toruńskim stało się lennem polski, obowiązany był Albrecht składać hołd królowi polskiemu. Ulubiony siostrzeniec wykrywał się, jak tylko mógł od owych hołdów, bo w grę wchodziły także i pieniądze, jakie lennik winien był składać seniorowi. Lecz gdy wuj, dość pobłażliwie zresztą traktujący swego siostrzeńca, pewnego roku rozgniewał się i stanowczo zażądał hołdu, książę Albrecht wyruszył ze swoim wojskiem przeciw Polsce i wkroczył na Warmię. Tak się złożyło, że administratorem kapituły warmińskiej był wówczas Mikołaj Kopernik, który naonczas rezydował w Olsztynie. Kopernik ogłosił obronę zamku olsztyńskiego i, jak się okazało, ten wielki astronom dobrym był również strategiem, bo Krzyżacy po bezowocnej próbie szturmowania musieli odstąpić od oblegania olsztyńskiego zamku.

Wkrótce zresztą wojska polskie pod dowództwem hetmana Mikołaja Firleja zadały Albrechtowi decydującą klęskę, po której nastąpił czteroletni rozejm między Krzyżakami i Polską. Książę Albrecht za radą Marcina Lutra zdecydował się zrzucić habit zakonny i przyjął luteranizm, państwo zaś zakonne uczynił księstwem świeckim. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że przechodząc na luteranizm popadnie w niełaskę papieża i cesarza niemieckiego, u którego zawsze szukał pomocy przeciw Polsce. Zaapelował więc znowu do swego wuja, Zygmunta Starego, który i tym razem okazał mu łaskawość. Podjął się obrony swego krnąbrnego siostrzeńca przed niełaską papieża i cesarza. Wtedy książę Albrecht wraz ze swą żoną pośpieszył do Krakowa i złożył królowi hołd, ów słynny hołd pruski uwidoczony na obrazie Matejki. Przygarnięty przez wuja do piersi, hojnie obdarowany i obsypany łaskami, powrócił do Prus już nie jako Wielki Mistrz krzyżacki, lecz jako świecki książę. Krzyżacy zrzucili habitę i pożenili się, to samo zrobili dwaj biskupi, sambijski i pomezanski, a za ich przykładem proboszczowie i księża.

I tak oto pewnego pięknego dnia lud mazurski — z katolickiego stał się ewangelickim.

Tak rozmyślając skierowałem się w stronę schroniska. Czułem już zmęczenie.

W moim pokoju paliło się światło. Przy stole siedział Cagliostro i z niewinną miną rozkładał pasjansa. Zaskroniec zwinięty w krąg spał na poduszce na moim łóżku, a na łóżku Cagliostra baraszkowały białe myszy. Króliczek w klatce głośno chrupał marchewkę.

Niewinna mina Cagliostra, którego uważałem za zdrajcę i Judasza, obudziła we mnie straszliwą złość. Pomyślałem, że on robi mi bezkarnie różnego rodzaju psikusy, a ponieważ ja udaję, że o nich nie wiem, chyba uważa mnie za bałwana.

Postanowiłem zamącić nieco ten wizerunek mojej osoby.

— Mistrzu — rzekłem rozglądając się — czy nie odniósł pan wrażenia, że pod naszą nieobecność ktoś zakradł się do pokoju?

— Nie mam takiego wrażenia.

— O ile pamiętam, miał pan dziesięć pudełek. A teraz widzę tylko dziewięć. Co się stało z jednym pańskim pudełkiem?

To stwierdzenie na moment zaskoczyło mistrza. Miałem przecież na myśli pudełko, które nocą na przystani wręczył Waldemarowi Baturze.

— Świat jest iluzją — ziewnął, udając, że lekceważy sobie moje słowa. — Czy jest pan pewien, że umie pan liczyć do dziesięciu?

— Ukończyłem wyższe studia — odparłem. — Wprawdzie nie była to Sorbona ani Oxford, lecz jednak wydaje mi się, że nabyłem umiejętność liczenia do dziesięciu.

— Ach — westchnął — o ile się nie mylę, posiadał pan wiedzę humanistyczną. Matematyka nie jest zapewne pana najmocniejszą stroną.

— Wydaje mi się, że umiem liczyć do dziesięciu.

— A do dwudziestu?

— Wydaje mi się, że potrafię liczyć także i do dwudziestu.

— Do dwudziestu? — udał zdumienie. — Nigdy pana o to nie posądzałem. Liczenie do dwudziestu jest niezwykle trudną sztuką i nawet ja, który przecież ukończyłem Sorbonę, a także odbyłem studia u tybetańskich mnichów, niekiedy mylę się, gdy wypada mi liczyć aż do dwudziestu.

— Chce mnie pan poddać egzaminowi? — zapytałem, czując, że z wściekłości włos mi się jeży na głowie.

— Chętnie sprawdzę pana umiejętności — stwierdził. Wstał od stołu, sięgnął do jednej ze swych dziewięciu paczek i wyjął z niej mały woreczek oraz niewielką tacę.

Najpierw wręczył mi woreczek i poprosił, abym go rozwiązał z rzemyczków i zajrzał do środka.

— W woreczku są monety — powiedziałem. — Dwudziestogroszówki.

— Umie pan liczyć, prawda? — upewniał się Cagliostro. — Proszę więc przeliczyć monety, wyjmując je z woreczka. Proszę najpierw wyjąć pięć monet.

Sięgnąłem do woreczka i wyjąłem pięć monet, kładąc je na tacy.

— Proszę teraz wyjąć jeszcze pięć monet.

Znowu pięć monet położyłem na tacy. Woreczek był już pusty.

— Ile monet było w woreczku? He? — zagadnął Cagliostro.

— Najpierw wyjąłem pięć monet, a potem również pięć, czyli w woreczku było dziesięć monet.

— Proszę sprawdzić dokładnie woreczek. Może pozostawił pan tam jednak jakąś monetę? — nakazał mistrz.

Zajrzałem do woreczka, potrząsnąłem nim, obmacałem go. Nie ulegało wątpliwości, że woreczek jest próżny.



— A więc twierdzi pan, że w woreczku było dziesięć monet? — rzekł Cagliostro, odbierając mi woreczek.

— No tak. Pięć plus pięć to jest dziesięć.

— I tego uczyli pana na wyższych studiach? — zachichotał Cagliostro.

Jednym szybkim ruchem wsypał monety z tacy do woreczka. A po sekundzie, z tego samego woreczka wysypał znowu monety na tacę. Tylko że tym razem na oko widziało się, że monet jest znacznie więcej.

— Proszę przeliczyć — zaproponował mistrz.

Liczyłem. Na tacy leżało osiemnaście monet.

— A więc pięć plus pięć wcale nie jest dziesięć, lecz osiemnaście — rzekł Cagliostro.

Wsypał monety do woreczka, woreczek zawiązał na rzemyki, po czym schował wszystko na powrót do jednej ze swych paczek.

— Czy jest pan w dalszym ciągu pewien, że ja miałem dziesięć pudełek? — zapytał kpiąco.

Kiwnąłem głową.

— Wiem, mistrzu, świat jest iluzją, prawda?

A po chwili patrząc mu zimno w oczy powiedziałem:

— Pewnego dnia zrobię panu taki hokus-pokus, że jeszcze raz pójdzie pan na naukę do tybetańskich mnichów. A teraz, mistrzu, proponuję położyć się do snu.

To mówiąc, delikatnie zdjąłem ze swej poduszki śpiącego zaskrońca i przeniosłem go na poduszkę Cagliostra.

Rozebrałem się i włożyłem pod kołdrę. Zasnąłem prawie natychmiast, mocno i bez żadnych majaków.

Jakie to szczęście, że człowiek nie ma daru przewidywania przyszłości i nie wie, jakie los gotuje mu pułapki. Gdybym o nich wiedział, zapewne nie zmrużyłbym oka.

Obudziłem się dość wcześnie, ogoliłem i umyłem. Mistrz spał, a gdy go trąciłem w ramię, mruknął, że zamierza spać do południa i gotów jest zrezygnować ze śniadania.

Do jadalni poszedłem więc samotnie, a że jestem z natury rzeczy człowiekiem bardzo towarzyskim i szybko zapominam urazy, zobaczywszy samotnego Pietruszkę, dosiadłem się do jego stolika, zapytawszy oczywiście, czy mnie przyjmie.

— Czy badania różdżkarskie mistrza Cagliostra przyniosły dobry rezultat? — zagadnąłem grzecznie.

Przełknął kęs chleba z masłem, popił go łykiem herbaty i odrzekł, nie wyczuwając ironii w moim głosie:

— Różdżka wskazała wiele miejsc, gdzie na Diabłej Górze leżą w ziemi jakieś metalowe przedmioty. Ale, jak sam wiesz, archeologowie nie pozwalają tam wbić szpadla. Zresztą, ta sprawa w tej chwili już nie ma znaczenia. Drugi schowek Koeniga znajduje się zupełnie gdzie indziej.

— Ach, więc jednak Diabelskie Drzewo! — zawołałem z tryumfem. — Dafeś się przekonać, że trzeba szukać Diabelskiego Drzewa.

Aż brwi unióśł, tak był zdumiony.

— Co ty gadasz, Tomaszu? Diabelskie Drzewo? A cóż to znowu za pomysł szatański?

— Mam na myśli Diabelskie Drzewo, które rośło na podwórzu domu Koeniga.

Stuknął się palcem w czoło.

— Słyszałem tylko o jednym drzewie: wiadomości dobrego i złego. Albo raczej: dobrych i złych informacji. Ty, Tomaszu, masz złe informacje. To wszystko, co ci mogę powiedzieć na ten temat. A w związku z tym jakimś Diabelskim Drzewem, to radzę ci szczerze: nie próbuj kierować mnie na fałszywy trop. Ostrzegam cię: dzisiejszej nocy przyjeżdża tu z Warszawy dyrektor Marczak, dzwonił do mnie w tej sprawie. Radzę ci, zajmij się przygotowaniem przewodnika po Fromborku, bo dyrektor Marczak zapewne zechce sprawdzić twoje postępy w tej dziedzinie.

Zaskoczył mnie tą wiadomością. A więc dzisiejszej nocy przyjedzie do Fromborka dyrektor Marczak. Po co? Miniony dzień zmarnowałem na bezowocne poszukiwania drugiego schowka Koeniga. Co powiem dyrektorowi Marczakowi, jeśli zapyta mnie o przewodnik?

Czułem, że grunt usuwa mi się pod nogami. Ale mimo to uważałem za właściwe ostrzec swego konkurenta.

— Wczoraj — powiedziałem do Pietruszki — podsunąłem ci podejrzenie, że panna Anielka, ku której, jeśli się nie mylę, Ignie twoje serce, współpracuje z Waldemarem Baturą. Oburzyłeś się na mnie, a przecież dziś już mam pewność. Panna Anielka prowadziła czerwonego mustanga, w którym siedział Waldemar Batura. Czy to ci wystarczy?

Miałem na końcu języka opowieść o porwaniu staruszka, ale skoro nie było żadnego porwania i zostałem po prostu wykiwany przez Baturę, wybrałem milczenie.

A Pietruszka z ubolewaniem pokiwał głową.

— Oj, Tomaszu, Tomaszu, ty niewierny i nieufny Tomaszu. Moje serce, jak mówisz, Ignie ku pannie Anielce, a twoje, jeśli się nie mylę, Ignie ku pannie Ali. Dziś przed śniadaniem wyszedłem do kiosku po papierosy. Czy wiesz, co zobaczyłem? Ulicą jechał czerwony mustang prowadzony przez Waldemara Baturę. Obok kierowcy w czerwonym mustangu siedziała panna Ala. Ostrzegam cię, Tomaszu. Ta panienska współpracuje z Baturą.

Aż mnie zatknęło. Słowa nie mogłem z siebie wydusić. Ala w czerwonym mustangu Waldemara Batury?

I raptem uświadomiłem sobie, że przecież nic a nic nie wiem o panie Ali.

Nie wiadomo dlaczego obdarzyłem tę ładną osóbkę ogromnym zaufaniem. Z Baturą współpracuje Cagliostro i panna Anielka. Czy jest wykluczone, że nie robi tego samego panna Ala? Byłem otoczony przez „baturowców” i w tym leżała przyczyna wszystkich moich klęsk.

Wstałem od stołu i jak pijany pomaszerowałem do swojego pokoju. Puściłem wodę z kranu i włożyłem głowę do umywalki. Przez kilka minut zimna woda lała się strumieniem na moją rozpaloną głowę. Aż wreszcie z łóżka Cagliostra usłyszałem głos:

— Przepraszam pana, czy pan ma zamiar się utopić w naszej umywalce?

Nie odezwałem się ani słowem. Starannie wytarłem głowę ręcznikiem, przeczesalem mokre włosy i zapukałem do pokoju astronoma, pana P., prosząc go o rozmowę w związku z przygotowywanym przeze mnie przewodnikiem. Potem aż do południa chodziłem z panem P. po wzgórzu fromborskim, zawzięcie dyskutując o obserwatoriach Mikołaja Kopernika.

A po obiedzie, przez dwie godziny, tak samo krążyłem po wzgórzu katedralnym w towarzystwie historyka, pana S., zawzięcie dyskutując o obserwatoriach Mikołaja Kopernika.

Po tych dysputach — a zbliżało się już ku wieczorowi — miałem taki chaos w głowie, że odczuwałem znowu ogromną potrzebę udania się do swego pokoju i włożenia głowy pod kran. Na szczęście, w pokoju nie było Cagliostra, który zapewne spróbowałby zastosować wobec mnie sztuczne oddychanie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

POSZUKIWANIE DIABELSKIEGO DRZEWA · CO WIDZIAŁA ZOSIA WALCZYK · NA TROPIE ZŁOCZYŃCY · NOC W KATEDRZE · WEJŚCIE DO PODZIEMI · TEUFELSBILD, CZYLI DIABELSKI OBRAZ · WŚRÓD TRUMIEN I SZKIELETÓW · PUŁAPKA · DRUGI SCHOWEK KOENIGA

Całodzienne poszukiwania przyniosły dobre rezultaty, Baśka i Zosia Walczyk odnaleźli kilku ludzi, którzy mieszkali we Fromborku jeszcze przed wojną i podczas wojny. Wszyscy ci ludzie znali rodzinę Koenigów i wskazali miejsce, gdzie kiedyś znajdował się ich dom, zniszczony potem podczas działań wojennych. Ojciec pułkownika Koeniga — jak wynikało z ich relacji — był znanym w okolicy majstrem murarskim, syn zaś jego zrobił karierę w osławionym hitlerowskim SS.

Zosia Walczyk zaprowadziła mnie na ogromny skwer, rozciągający się w pobliżu zabytkowej wieży wodociągowej. Czekał tam już na nas Baśka.

— Gdzie rośnie Diabelskie Drzewo? — zapytałem, rozglądając się po skwerze.

Chłopiec westchnął:

— Tego, niestety, nikt nie potrafił powiedzieć. Podobno rosły tu jakieś stare drzewa, strzaskane potem przez pociski artyleryjskie.

Drużyna Baški zebrała starannie cegły i wywiozła je wywrotką. Potem cały teren zrównano, obsiano trawą i na dwóch długich rabatach posadzono setki pięknie kwitnących bratków. Skwer ten — dowód pracowitości drużyny harcerskiej — stanowił zwycięski odcinek działań w „Operacji Frombork 1001”.

A teraz Baška to spoglądał na piękny skwer, to znów rzucał niepewne spojrzenia w moją stronę.

— Jeśli pan uzna to za stosowne — wybąkał wreszcie — można by tu i ówdzie w tym skwerze wykopać dziury i poszukać schowka Koeniga.

„I zniszczyć waszą pracę?” — pomyślałem. Przecząco pokręciłem głową.

— Nie wiem, gdzie rośnie Diabelskie Drzewo. Poszukiwania „na ślepo” nie dadzą dobrego rezultatu. Pozostawmy tę sprawę magistrowi Pietruszce. On tu jest po to, aby odnaleźć schowki Koeniga.

Chłopca ucieszyła ta decyzja. Skwer wyglądał bardzo pięknie i okropną wydawała się myśl o kopaniu w nim dziur.

— To ja już pójdę — rzekł spiesźnie. — Mam dziś uroczysty apel w naszym obozie. Przybywają do nas z wizytą harcerze z sąsiedniego zgrupowania.

Pozostałem obok skweru tylko z Zosią Walczyk, która jako kronikarz swej drużyny dysponowała dużą ilością wolnego czasu.

Jak zwykle nie potrafiła ustać na miejscu, zakręciła się na jednej nodze, jakby dając mi do zrozumienia, że zaprasza mnie do tańca. Myśl, aby na skwerze, gdzie rośnie Diabelskie Drzewo, odtańczyć walca z Zosią, wydała mi się tak komiczna, że aż roześmiałem się.

Mój dobry humor zmartwił dziewczynkę.

— To dobrze, że nie przejął się pan sprawą drugiego schowka, ale przecież nie ma pan chyba zamiaru siedzieć we Fromborku z założonymi rękami?

— Ach, koniecznie chcesz przeżyć jaką wspaniałą przygodę? — domyśliłem się.

— No pewnie — przytaknęła. — Muszę mieć dużo do opowiadania po powrocie z wakacji.

— Nie obawiaj się. Przygoda sama do nas przyjdzie. Sprawą poszukiwań schowków niech się kłopotczy kolega Pietruszka, a my zajmijmy się osobą Waldemara Batury. Ten człowiek spędza mi sen z oczu — stwierdziłem z dużą dozą przesady, bo jak do tej pory, spałem bardzo dobrze. — Jestem pewien, że to on kryje się za zagadką beczennych monet, muszę go

zdemaskować. Sprawdziły się moje przewidywania: Batura jest we Fromborku. Tylko gdzie, u licha? Gdzie jest jego kryjówka? Jeśli masz trochę czasu, Zosiu, rozejrzyj się po Fromborku i gdybyś spostrzegła Baturę, zawiadom mnie. Będę u siebie w schronisku.

— Rozkaz — zasalutowała.

Odańczyła walca i uściskawszy moją prawicę, skierowała się do swego obozu nad zalewem, a ja wstąpiłem do pawilonu księgarskiego obok wieży wodociągowej. Chciałem kupić słownik niemiecko-polski, przyszła mi bowiem do głowy myśl, aby jeszcze raz spróbować rozszyfrować owo „Teufelb”.

Słownika nie było, ale zainteresowały mnie albumy z reprodukcjami malarstwa. Były drogie, nie na moją kieszeń, więc tylko przejrzałem je i zaraz ruszyłem w kierunku schroniska.

Pamiętając o rychłym przyjeździe dyrektora Marczaka, zasiadłem do porządkowania notatek, które poczyniłem rozmawiając z astronomem i historykiem. Nowy przewodnik po Fromborku powinien być przecież uwzględnić stan najnowszych badań dotyczących Fromborka.

Pracowałem już dość długo, gdy usłyszałem pukanie. Po chwili uchyliły się drzwi i do pokoju wsadziła głowę Zosia Walczyk.

— Przed chwilą widziałam Waldemara Baturę — oświadczyła.

— Gdzie?! — zerwałem się gwałtownie od stołu.

— W uliczce koło katedry. Stał tam i jak gdyby na kogoś czekał.

Pozostawiłem na stole otwarty zeszyt z notatkami i wraz z Zosią Walczyk wybiegliśmy ze schroniska, znaleźliśmy się w ogrodzie, a stamtąd zeszliśmy na kamienne schodki prowadzące w dół, na ulicę u podnóża wzgórza katedralnego.

Był już późny wieczór. Zatrzymaliśmy się na schodach i popatrzyliśmy w dół, na skąpo oświetloną uliczkę. W blasku latarni ujrzałem sylwetkę szczupłego mężczyzny. Tak, to był Waldemar Batura. Stał w skórzanej marynarce i palił papierosa. Jakby na kogoś czekał. Może na Cagliostro?

Raptem spojrział w górę i zobaczył nas na początku schodów. Szybko rzucił na ziemię papierosa, przydeptał go nogą i pomaszerował uliczką, która w tym miejscu, jak wiemy, pięła się na wzgórze katedralne. Zaraz też zniknął nam z oczu, ale w nocnej ciszy słyszeliśmy odgłos jego szybkich kroków.

Wyśledzić kryjówkę Batury, mieć możliwość obserwowania jego poczynąń — to było to, o czym od dawna marzyłem. Rzuciliśmy się więc w pogoń, aby go nie zgubić z oczu.

Ale gdy my znaleźliśmy się na dole, on już był na górze i przepadł za rogiem ośmiobocznej wieży w murach otaczających warownię. To było oczywiście, że Batura miał coś na sumieniu, skoro na nasz widok dał drapaka.

Wybiegliśmy z naroża wieży i zobaczyliśmy, że wpadł w bramę główną warowni. A więc uciekał na podwórzec fromborskiej katedry. Dlaczego właściwie tam, a nie w kierunku miasta?

Nie zastanawiałem się nad tym, tylko przyspieszyłem kroku. Dopadliśmy z Zosią do bramy i znaleźliśmy się na podwórku katedralnym.

Było tu bardzo mroczno. Księżyc wisiał nad Zalewem Wiślany, ale potężny maszyn gotyckiej katedry rzucał cień na południową część podwórza.

Na chwilę zatrzymaliśmy się bezradni, na próżno usiłując wzrokiem przebić gęstą ciemność. Potem doszedł naszych uszu jakiś szmer od strony zbudowanego na łuku przejścia z kapitulacza do katedry. Wydawało się nam, że ktoś szedł pod łukiem, kierując się do północnej części podwórca, położonej między katedrą i północną stroną obwarowań.

Nie miałem przy sobie latarki elektrycznej, a ciemno było, że jak to się mówi, choć oko wykol. Katedra spoczywała w mroku, rozświetlone były tylko okna w muzeum mieszczącym się w pałacu biskupim. Paliło się też w jakiejś małej przybudówce muru warowni, chyba u kościelnego. A blask od okien padał na ziemię tylko w promieniu kilku metrów, dalej już zalegała nieprzenikniona ciemność. Brnęliśmy przez nią nieomal po omacku, aż zgęstniała jeszcze bardziej. Znaleźliśmy się pod przejściem na łuku.

W północnej części podwórca było nieco jaśniej, bo — jak mówiłem — księżyc świecił nad zalewem i choć wysokie mury obronne zasłaniały jego blask, to przecież księżycowa poświata, odbita od murów katedry, spływała w dół i oświetlała nieco murawę podwórca.

Ta część warowni jest rzadko odwiedzana przez turystów, bo też stanowi jakby wąską uliczkę między murami i kościołem. Rośnie tu wysoka trawa, przez którą prowadzi ścieżka. Widzieliśmy uliczkę niemal do końca, aż do wspartych o mur budynków zabytkowych kurii. Jeśli nie omylił nas słuch i Batura wszedł właśnie tutaj, to musielibyśmy go zobaczyć. Nawet gdyby biegł z szybkością pośpiesznego pociągu, nie zdołałby w tym czasie obieć dookoła potężnej budowli. Ale Batury nigdzie nie było. Ruszyliśmy naprzód, pilnie rozglądając się na wszystkie strony, a przede wszystkim zwracając uwagę, czy ktoś nie chowa się w załomie murów warowni. Tych załomów było tu zresztą sporo, a w każdym z nich zalegał mrok, który mógł ukryć człowieka.

W jednym z takich załomów znaleźliśmy żelazne boczne drzwi do katedry. Wydawało się, że są zamknięte na głucho. Sprawiały wrażenie nie używanych od wielu lat. Ale Batura jakby zapadł się pod ziemię. Należało go więc szukać nawet tam, gdzie na pozór szukać go nie należy.

Zosia Walczyk chwyciła za klamkę drzwi. I drzwi uchyliły się zupełnie lekko, nawet bez szmeru, jakby ich zawiasy zostały świeżo naoliwione.

Zapaliłem zapałkę i zobaczyliśmy wąski korytarzyk, prowadzący wprost do bocznej nawy w katedrze. Weszliśmy tam, zapałka zaraz zgasła mi w palcach. I oto znowu otoczyła nas przegromna ciemność.

Bo wyobraźcie sobie wypełnioną nocą potężną halę świątyni. Przez wąskie, wysoko umieszczone, okna spływa bardzo niewiele księżycowego światła, wszystko więc pogrążone

jest niemal w zupełnym mroku. Jeśli wszedł tu Batura — a nie ulegało wątpliwości, że to zrobił — szukanie go tutaj było bezużyteczną stratą czasu. Były tu setki miejsc jakby wymyślonych tylko po to, aby ukryć tego, kto chciał się ukryć. Filary, ołtarze, załomy murów, kaplice, drewniane stalle, ławki, prezbiterium, ambony, boczne nawy, chór z organami. A ja nie dysponowałem nawet latarką elektryczną. Zapałki rozpraszały mrok co najwyżej w promieniu kilku metrów. Gdy zaś gaśły, ciemność stawała się jeszcze głębsza.

Staliśmy w bocznej nawie, nad słuchując. Może Batura zdradzi się czymś i usłyszymy odgłos jego dalszych kroków?

Ale we fromborskiej świątyni była taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Nasze oddechy wydawały się strasznie głośne.

A w tej ciemności płonęła tylko czerwona lampka przed głównym ołtarzem...

Byłem już zdecydowany opuścić katedrę, zamknąć żelazne drzwi, stanąć przy nich na warcie, a Zosię Walczyk wysłać na poszukiwanie kościelnego lub proboszcza, aby powiadomić ich, że złodziej zakradł się do katedry. Lecz zanim dojrzała we mnie ta decyzja, prawie równocześnie — ja i Zosia — zauważyliśmy nikły blask sączący się skądś, po prawej stronie, w pobliżu głównego ołtarza.

I natychmiast, nie umawiając się i nie dając sobie żadnych porozumiewawczych znaków, poszliśmy ostrożnie w tamtą stronę. Minęliśmy nawę główną i stwierdziliśmy, że światło wypływa zza uchylonych żelaznych drzwi w ścianie. Czyżby Batura ukrył się w jakimś bocznym pomieszczeniu? Ale dlaczego niedokładnie zamknął za sobą drzwi?

Zosia Walczyk odchyliła je nieco szerzej, skrzypnęły złowrogo, z jakimś ponurym, nieprzyjemnym piskiem. Zobaczyliśmy niewielki podest i wąskie, prowadzące w dół kręcone schody. Wiodły one chyba do podziemnych krypt kościelnych. W małej niszy na podeście palił się ogarek świecy. To jego blask oświetlał schody i wypływał aż do nawy.

Serce zaczęło mi bić bardzo głośno. Znajdowaliśmy się na tropie jakiejś niezwyklej zagadki. Schody do podziemia — czy wyobrażacie sobie, że może być lepsza gratka dla poszukiwacza przygód?

Nie wahałem się ani przez chwilę. Wszedłem na podest i wziąłem z niszy palącą się świecę. Ja pierwszy, a za mną Zosia Walczyk — krok za krokiem po kamiennych stopniach zaczęliśmy schodzić do podziemia.

Korytarz ze schodami załamał się i oto blask świecy pozwolił nam ujrzeć dość dużą kryptę o półokrągłym sklepieniu. Wypełniały ją trumny. Stały obok siebie ciasno stłoczone, tu i ówdzie jedna leżała na drugiej. Większość miała wyraźnie barokowy kształt. Jedna z trumien, zgnieciona przez inne, które na niej stały, załamała się i ukazała swoje wnętrze — szkielet ludzki szczerzący żółte zęby.

W kącie krypty zobaczyłem półotwartą trumnę, gdzie zebrano szczątki ludzkie z tych trumien, które się rozsypały. W nieładzie leżały tam piszczele, żebra, czaszki i wysuszone zwłoki jakiegoś kanonika, z resztkami zetłalej czarnej sukni.

Pod murem stała kamienna tablica, która odpadła od jakiejś ściany i tu została przeniesiona. Z tablicy patrzył wyrzeźbiony szkielet i wskazując na nas palcem, mówił napisem: „Tym jesteś, czym ja byłem. Tym będziesz, czym ja jestem”.

Nasze oddechy poruszały płomień świecy, cienie rzucone przez nas tańczyły na ścianach i sklepieniu krypty, wydawało się, że to jakieś czarne postacie wychylają się zza trumien i wabią nas ku sobie.

— O Boże! Niech pan spojrzy — jęknęła Zosia Walczyk i chwyciła mnie za rękę.

Spojrzałem w ślad za jej wzrokiem. Patrzyła na wmurowaną w ścianę krypty straszliwą podobiznę diabła. Była to płaskorzeźba — monstrualnie brzydka twarz przypominająca ni to człowieka, ni to jakieś zwierzę z rogami. Ten człowieko-zwierz miał otwarte usta i uśmiechał się ukazując rzadkie, ostre zęby.

Wokół płaskorzeźby widziałem czerwoną krechę, ślad po świeżo odłupanym tynku. Nie tak dawno ktoś próbował wyjąć płaskorzeźbę ze ściany. Na ziemi leżał jeszcze młotek i dłuto.

— Co to jest? — zapytała przerażona Zosia.

— To jest Teufelsbild — powiedziałem — Diabelski Obraz. Za tą płytą z podobizną diabła znajduje się drugi schowek pułkownika Koeniga.

— Więc pan znalazł drugi schowek Koeniga? — szepnęła radośnie Zosia.

— Ja? — wzruszyłem ramionami. I dodałem z goryczą: — Batura, Zosiu, zajrzał już do niego. A ja zostałem tutaj specjalnie przyprowadzony.

— Co pan mówi? Zaraz pobiegnę po chłopców, po pana Pietruszkę. Odkryjemy skarby — mówiła rozgorączkowana dziewczynka.

Smutnie pokiwałem głową.

— Rozejrzyj się lepiej za jakimś wygodnym miejscem do spędzenia nocy. Zaraz wypali się ogarek świecy i wówczas pozostaniemy w ciemnościach.

— Przecież możemy stąd wyjść?

— Nie, Zosiu. O ile dobrze rozumiem sytuację, drzwi z krypty są już zamknięte. Jesteśmy w pułapce.

Nie wierzyła mi. Wyjęła z mych rąk ogarek świecy i pobiegła schodami na górę. Po chwili wolno wróciła do krypty.

— Ma pan rację — szepnęła. — Ktoś zamknął za nami drzwi. I co?... Co teraz będzie?

— Wydaje mi się, że najwygodniej będzie nam w tamtym kącie — powiedziałem.

— I nikt nas stąd nie uwolni? — jej przestraszony głos stawał się coraz większy.



— O nie. Uwolnią nas. Jutro rano. Domyślam się dalszego ciągu tej historii — stwierdziłem obojętnym głosem.

— Kto nas tutaj zamknął? Dlaczego?

— Waldemar Batura.

— W jakim celu?

— Wkrótce się o tym dowiesz. Jedno ci powiem: powtórzyła się historia podobna do tej ze staruszką. Wyprowadził nas w pole, a raczej wprowadził w podziemia, prosto do drugiego schowka.

— A właśnie. Przecież możemy teraz zajrzeć do tego schowka. Tu leży młotek i dłuto.

— Ale zaraz zgaśnie świeca. A poza tym, Zosiu, przecież o to chodziło, żebym zajrzał do schowka. Ty jesteś świadkiem, że ja w ogóle nie wziąłem do ręki ani dłuta, ani młotka, ani nawet nie usiłowałem wyjąć ze ściany Diabelskiego Obrazu.

— Nic z tego nie rozumiem — westchnęła dziewczynka.

— Widzisz tę czerwoną rysę wokół kamiennej tablicy? Batura tu już był przed nami i wyjął Diabelski Obraz ze ściany. Jestem pewien, że schowek został obrabowany i nie chcę mieć nic wspólnego z tą historią.

Zdjąłem z siebie płaszcz i skierowałem się w kąt ponurej krypty.

— Nie, nie tam. Tam jest trumna i szkielety — jęknęła Zosia.

— Tu wszędzie są trumny i szkielety — stwierdziłem uspokajająco. — Nie obawiaj się zmarłych. Oni nie są groźni i nic przeciw nam nie knują. Leżą tu od wieków i śpią snem wiecznym.

Zwinałem płaszcz i położyłem go w kącie krypty. Usiadłem na nim, a obok mnie przykucnęła Zosia. Dziewczynka wciąż trzymała mnie za rękę.

— Pan się nie boi? — zapytała wreszcie, żeby przemoc własny strach.

— Nie, Zosiu. Powiedziałem ci już, że nie boję się zmarłych.

Świeca zaczynała powoli dogorywać. Zosia rozejrzała się po krypcie.

— Tutaj leży Mikołaj Kopernik? — zapytała.

— Nie. Te trumny mają przeważnie kształt barokowy, a Kopernik żył w czasach renesansu. Styl epoki odbijał się również w kształtach trumien. Inne są trumny gotyckie, inne renesansowe, jeszcze inne barokowe. Na przykład trumny gotyckie przypominają trapezowate pudła. A te, jak widzisz, mają półokrągłe, łagodne wybrzuszenia.

— Więc pan naprawdę się nie boi?

— Nie. A ty?

— Ja? — zastanowiła się. — Ja się chyba też nie boję. Przecież chciałam przeżyć przygodę.

— A to jest najprawdziwsza przygoda.

— Gdy opowiem koleżankom o nocy spędzonej w krypcie, wśród trumien i szkieletów, nikt nie będzie mi chciał wierzyć — rozmyślała głośno.

I świadomość, że będzie opowiadać o swej przygodzie koleżankom, chyba dodała jej odwagi. Ale ręki swojej nie puściła.

I znowu przez dłuższy czas wpatrywaliśmy się, jak niknie paląca się świeca, jak maleje płomyk knota, a kryptę powoli zaczyna zasnuwać mrok.

— Nie powinnam bać się ciemności — odezwała się Zosia. — Mój ojciec jest górnikiem. Kopalnie węgla to prawdziwy labirynt ciemnych korytarzy. Górnicy noszą przy sobie specjalne lampy, ale przecież pół życia spędzają w podziemnych sztolniach.

— Są odważni, prawda?

— O tak. Przecież wciąż grozi im niebezpieczeństwo. A ja jestem córką górnika i powinnam być odważna. — Tymi słowami jakby dodawała sobie odwagi.

Nagle świeca zaskwierczała i zgasła. Może to i nawet lepiej, że przestaliśmy widzieć otaczające nas zewsząd trumny.

Dookoła trwała zupełna cisza, słyszałem uderzenia własnego serca. Potem, gdy przeniknął nas chłód grobowej krypty, zdjąłem marynarkę i okryłem nią dziewczynkę.

Zosia przytuliła głowę do mojego ramienia i wciąż trzymała mnie za rękę. Uścisk jej był silny, ale później zelżał. Domyśliłem się, że dziewczynka zasnęła.

A ja długo nie mogłem spać. Może dlatego, że było zimno?

A może nagle uświadomiłem sobie wszystkie popełnione przeze mnie błędy...

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

UWOLNIENIE Z PUŁAPKI · PIETRUSZKA MNIE OSKARŻA · CO KRYŁ DRUGI SCHOWEK · PIĘĆ ŻŁOTYCH KIELICHÓW · WSZYSTKO OBRACA SIĘ PRZECIWI MNIE · CAGLIOSTRO UDAJE NAIWNEGO · BUT DYREKTORSKI I ZASKRONIEC PIOTRUŚ · ŚNIADANIE Z DYREKTOREM · SKĄD OBSERWOWAŁ KOPERNIK · OLSNIENIE · ZDRADLIWA PANIENKA

Nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie odgłos kroków nad moją głową. Ktoś, nawet chyba kilka osób szło po posadzce kamiennej nad podziemną kryptą. Spojrzałem na fosforyzujące wskazówki zegarka: zbliżała się szósta rano. Tutaj oczywiście było nadal ciemno jak w grobie, bo też istotnie znajdowaliśmy się w grobowcu.

Ocknęła się również Zosia.

— Brrr, jak mi zimno — pisnęła i zadrżała, wstrząśnięta chłodem kamiennej krypty.

Usłyszeliśmy skrzyp drzwi, potem kroki na schodach. Błysnęło światło i po chwili do krypty weszły trzy osoby: Pietruszka, dyrektor Marczak i starszy, przygarbiony mężczyzna, który trzymał w ręku grubą, palącą się świecę.

Zobaczyli nas siedzących pod ścianą krypty. Magister Pietruszka powiedział:

— A mówiłem, panie dyrektorze? Jak tylko dowiedziałem się od pana kościelnego, że zginął mu klucz od podziemi, zaraz nabrałem podejrzeń.

Wstałem z ziemi, wyprostowałem zgarbione plecy. Po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji czułem całe kościane rusztowanie, na którym trzymało się moje ciało.

Podszedł do mnie mężczyzna ze świecą.

— Dlaczego pan ukraść klucz od podziemi?

Magistra Pietruszkę ogarnęła irytacja.

— Słyszysz pan, dyrektorze? Tomasz miał się tu zajmować przewodnikiem i jakimś swoim zadaniem, a szuka skarbów. I to jakimi metodami? Przy pomocy kradzieży.

Dyrektor Marczak patrzył na mnie, groźnie zmarszczywszy czoło.

— Niech się pan wytłumaczy, panie Tomaszu.

Ziewnąłem, obmacując obolałe kości.

— Nie ukradłem klucza — oświadczyłem. — We Fromborku, panie dyrektorze, działa Waldemar Batura i jego szajka. Wczoraj wieczorem natknąłem się na Baturę. Poszedłem za nim, aby wysledzić jego kryjówkę. On zaś podstępnie wprowadził mnie tutaj, w podziemia, a potem zamknął za mną drzwi. I oto jestem.

— Co on gada? — oburzył się Pietruszka. — Przecież sam pan widział, dyrektorze, że drzwi były otwarte i tkwił w nich klucz.

— Były otwarte? — zdziwiłem się. — Rozumiem. To znaczy, że tuż przed waszym przyjściem Batura otworzył drzwi.

Pietruszka wskazał Teufelsbild na ścianie, a na ziemi — dłuto i młotek.

— Tomasz już zdążył dobrać się do skrytki.

— Nie — odrzekłem. — Nawet jej nie dotknąłem. Gdy weszliśmy, dłuto i młotek leżały na ziemi, a wokół kamiennego obrazu widać było tę czerwoną rysę. Ta dziewczynka jest świadkiem — wskazałem Zosię.

Dyrektor Marczak rozczulił się na widok drżącej z zimna dziewczynki. Poglaskał ją po głowie i powiedział:

— Jak się pan nie wstydzi zabierać ze sobą dziecka na nocne eskapady. Boże, jaka ona jest zmarznięta.

— Proszę pana — rzekła szybko Zosia — to stało się wbrew naszej woli. Pan Tomasz tego wcale nie chciał. Ktoś nas tu zamknął w podziemiu. Pan Tomasz mówi szczerą prawdę.

Pietruszka znowu zaczął gniewnie wymachiwać rękami.

— Nie wierzę! — krzyczał. — Ani słowu nie wierzę. Takie młode panienki umieją świetnie kłamać. Sam, gdy chodziłem do szkoły, kłamałem jak najęty.

Dyrektor Marczak nie wypowiedział swej opinii, albowiem, jak każdy zwierzchnik, był człowiekiem ostrożnym i nie podejmował pochopnej decyzji.

— Zajmijmy się lepiej schowkiem Koeniga — zaproponował. — Po to tutaj przyjechałem. Więc to jest Teufelsbild — dodał, patrząc na kamienną twarz diabła.

Magister Pietruszka chwycił dłuto i młotek. Z ogromną ochotą zabrał się do wyjmowania kamiennego obrazu ze ściany. Nie przyszło mu to z trudem, gdyż ktoś — oczywiście Batura — zrobił to już przed nim. Płytę z płaskorzeźbą diabelską udało się wyjąć ze ściany bez wielkiego wysiłku.

I oto w kamiennej niszy zobaczyliśmy cztery piękne, stare miniatury. Jedna, już na pierwszy rzut oka, wydawała się miniaturą pochodzącą ze słynnej pracowni Holbeina. W dużej skrzyneczce, owinięty w stare niemieckie gazety, znajdował się serwis stołowy z sewskiej porcelany. Skrytkę wypełniało dwanaście kunsztownie wykonanych srebrnych lichtarzy barokowych. Obok nich stało pięć srebrnych kielichów mszalnych, dość prymitywnej roboty. Wszystkie te przedmioty, z wyjątkiem kielichów, miały wielką wartość muzealną.

— No, na szczęście nic nie zginęło. Zgadza się co do joty ze spisem Koeniga — stwierdził uradowany Pietruszka. — Mam nadzieję, panie dyrektorze, że w protokole z otwarcia schowka nadmieni pan, że to ja jestem odkrywcą. To przecież ja jeszcze wczoraj zawiadomiłem pana telefonicznie o tej sprawie i poprosiłem pana o przyjazd. Tymczasem znalazł się tutaj Tomasz. Ale to nie on pierwszy, a właśnie ja, odnalazłem drugi schowek Koeniga.

— Tak też i napiszę — odrzekł dyrektor Marczak, sporządzając w notesie protokół.

Bąknąłem nieśmiało:

— Kielichy powinny być złote i wysadzone drogimi kamieniami. A są srebrne, o niewielkiej wartości. Takie kielichy można bez trudu nabyć w sklepach Desy.

— Co takiego? — zdumiał się Pietruszka. — Skąd wiesz, że powinny być złote? Czy chowałeś je razem z Koenigiem?

— Nie. Ale nie sądzę, aby ktokolwiek chciał kryć rzeczy o małej wartości. Jak wiemy, kielichy mszalne bywają złote, a niekiedy wysadzane drogimi kamieniami. Myślę, że rabuś tego typu, co Koenig, właśnie za takimi przedmiotami gonił i takie schował.

— Ale nie masz żadnej pewności — oświadczył Pietruszka. — Chcesz tylko pomniejszyć mój sukces. Pragniesz zasiać nieufność w sercu dyrektora. Masz pewność co do tych kielichów czy nie?

— Nie — odparłem szczerze. — Nie mam żadnej pewności. Natomiast wiem, że ktoś tu był przed nami i otwierał schowek. Przecież nie czynił tego bezinteresownie.

— Ale nie masz tej pewności — powtórzył gniewnie Pietruszka. — To są tylko twoje przypuszczenia.

— Spokojnie, panowie — zmitygował nas Marczak. — Jeśli panowie mają jakieś pretensje czy podejrzenia, proszę je załatwić ze mną w terminie późniejszym. Na razie podpiszcie ten protokół.

I dał protokół do podpisania kościelnemu, mnie, Pietruszce, a także Zosi Walczyk. I sam również go podpisał.

— Bardzo proszę, panie dyrektorze — wtrącił się Pietruszka — o zaznaczenie w postscriptum protokołu, że na miejscu odkrycia skarbów znaleźliśmy Tomasza i tę dziewczynkę.

Dyrektor Marczak wprowadził tę poprawkę. Zdałem sobie sprawę, że w ten sposób chytry zamiar Batury został całkowicie zrealizowany. Znalazłem się w potrzasku. Każde wysunięte przeze mnie podejrzenie automatycznie obróci się przeciw mnie. Nie udowodnię, że nie do mnie należało dęto i młotek i że w ogóle nie dotykałem Diabelskiego Obrazu.

Wzięłem za rękę Zosię Walczyk i wyszliśmy z podziemia. Och, z jaką radością powitaliśmy potoki słońca, które rozlewały się po katedralnym podwórku.

Dzień zapowiadał się pogodny, niebo było błękitne, bez jednej chmurki. W taki ranek ogarnia każdego radość, ale ja nie miałem się z czego cieszyć.

Rozumiała to chyba Zosia Walczyk, bo powiedziała do mnie ze współczuciem:

— Wpakował się pan w nie byle jaką kabałę.

— Owszem. Zostałem znokautowany w trzeciej rundzie. Według wszelkich reguł sportowych powinienem zejść z ringu.

— Zejdzie pan?

— Nie. Bo nie jesteśmy na ringu. Muszę odzyskać to, co przywłaszczył sobie Batura.

Otrzepliśmy z kurzu krypty nasze ubrania. Podziękowałem Zosi za pomoc w tropieniu Batury. Uścisnąłem jej rączkę, poprosiłem, aby o naszej nocnej przygodzie opowiedziała Baśce.

— Czy ma pan dla nas jakieś nowe zadania? — zapytała na odchodnym.

— Trzeba odnaleźć obozowisko lub dom, w którym mieszka Waldemar Batura. Muszę przekonać się, czy naprawdę zamienił kielichy złote na srebrne — powiedziałem.

— Jak to pan zrobi?

— Nie wiem. To znaczy jeszcze nie wiem — dodałem.

Rozstaliśmy się. Ona poszła do obozu harcerskiego, a ja do swego pokoju w schronisku.

Cagliostro leżał jeszcze w łóżku, chociaż już nie spał.

— O Boże, jak ja się o pana martwiłem — powiedział. — Całą noc pana nie było.

— Jakiś drań zamknął mnie w podziemnej krypcie w katedrze — wyjaśniłem.

I opowiedziałem Cagliostrowi o nocnej przygodzie, choć zdawałem sobie sprawę, że on o niej wie równie dobrze jak i ja, bo być może sam uczestniczył we wciąganiu mnie w pułapkę. Chciałem jednak go upewnić, że w dalszym ciągu nic nie wiem o roli, jaką przy mnie spełnia.

— Przegrałem — stwierdziłem. — Poniosłem szwank na honorze, ale w gruncie rzeczy cieszę się: skarby powędrują do muzeum.

— Nic ze schowka nie zginęło? — zapytał Cagliostro.

— Wszystko jest w porządku. Ilość rzeczy znalezionych w schowku zgadza się ze spisem, jaki pozostawił Koenig.

— W takim razie, jaki cel miała ta inscenizowana pułapka na pana? — udał naiwnego.

— Myślę, że chodziło o to, aby mnie jeszcze bardziej poróżnić z magistrem Pietruszką — skłamałem.

Nie chciałem bowiem, aby Batura wiedział, że wpadłem na trop zamiany kielichów złotych na srebrne.

— Bardzo prawdopodobne — rzekł Cagliostro.

Gdy skończyłem golenie się, zapukał do moich drzwi dyrektor Marczak.

— Zapraszam pana na śniadanie — powiedział ponuro. — A potem chcę z panem porozmawiać.

To zabrzmiało jeszcze groźniej.

Przedstawiłem dyrektorowi Cagliostro, który wciąż jeszcze leżał w łóżku.

— Mistrz czarnej i białej magii? — pokiwał głową dyrektor Marczak, jakby tym gestem dając mi do zrozumienia, że w sytuacji, w jakiej się znalazłem, może mnie uratować tylko wiedza tajemna. — Właśnie mówił mi magister Pietruszka, że pan staje się czarnoksiężnikiem.

— Znajomość z panem Cagliostrem zawdzięczam pana sekretarce — odparłem.

— Co takiego? — zdumiał się dyrektor Marczak. — Pana Cagliostra poznał pan dzięki pani Zosi? Nigdy nie sadziłem, że moje biuro jest azylem dla magików. I o ile mnie pamięć nie myli, referat cyrków jest o piętro wyżej.

W tym momencie gdzieś spod łóżka Cagliostra, pomiędzy pudełek, które tam stały, wypełził zaskroniec Piotruś. Dyrektor Marczak spojrział na niego uważnie, i nie dał po sobie poznać, że węża dostrzega. Nie mieściło mu się w głowie, że węże chodzą po mieszkaniach kulturalnych ludzi, i wolał raczej mniemać, że uległ złudzeniu.

— Świat jest iluzją — Cagliostro jak zwykle wygłosił swoją formułę.

— Ach tak? — uprzejmie pokiwał głową dyrektor Marczak. — Jeśli o mnie chodzi, coraz mniej mam w życiu iluzji.

Wąż pełził coraz dalej, to jest coraz bliżej nogi dyrektora Marcza. Jakby go zainteresował but dyrektorski.

— Hm. Yhm — dwukrotnie chrząknął dyrektor. Ale te słynne groźne „hmknięcia” dyrektora, które powodowały popłoch wśród pracowników jego departamentu, nie uczyniły żadnego wrażenia na zaskrońcu. Dalej maszerował w stronę dyrektorskiego buta. Dyrektor Marczak nie wytrzymał.

— Co to za zwierzę? — zapytał, z trudem hamując niepokój.

Nie odezwałem się, udając, że jestem zajęty nakładaniem świeżej koszuli. Byłem zresztą odwrócony tyłem do dyrektora.

Cagliostro też nie raczył zainteresować się tym, na co wskazywał dyrektor. Wyciągnął się wygodnie na łóżku i powiedział obserwując sufit:

— Niekiedy człowiekowi się zdaje, że widzi coś, a jednak nic nie widzi, rozumie coś, a jednak nic nie rozumie. Co do mnie, widzę na suficie żółty zaciek, który przypomina bazyliżka. A przecież jestem rozsądnym człowiekiem i zdaję sobie sprawę, że to nie bazyliżek, ale zwykły żółty zaciek.

— Yhm — znowu groźnie chrząknął dyrektor Marczak. — Zdaje mi się, że coś po mnie chodzi. Po moich plecach — dodał.

Odwróciłem się i popatrzyłem na plecy dyrektora.

— To tylko mysz — stwierdziłem.

— Chyba nie będzie mi pan wmawiał, że chodzą po mnie myszy? — gniewnie rzekł dyrektor.

— Świat jest iluzją — ziewnął Cagliostro. Tymczasem mysz przeszła z pleców dyrektorskich na dyrektorskie ramię.

— A jednak coś po mnie chodzi — ponownie oświadczył dyrektor.

— Mówiłem panu, że to mysz — powiedziałem, zapinając guziki koszuli.

— Widzę węża koło swojej nogi — rzekł dyrektor.

— Być może — zgodziłem się obojętnym głosem i zacząłem zawiązywać krawat.

Tymczasem mysz przeszła, z ramienia na rękaw marynarki dyrektora Marcza.

— Miał pan rację. To rzeczywiście mysz — dyrektor przyglądał się białej myszce, która maszerowała mu po rękawie. — A pańskie słowa wydawały mi się niewiarygodne.

— A właśnie — podchwyciłem zdanie dyrektorskie. — Niekiedy moje słowa wydają się panu niewiarygodnie, a potem okazuje się, że jednak ja miałem rację.

Dyrektor Marcza próbował złapać mysz za ogonek, ale myszka uciekła na stół.

Dyrektor wstał ostrożnie z krzesła, uważając, aby nie przydeptać zaskronca.

— Chodźmy lepiej na śniadanie, panie Tomaszu. Nawet jako dziecko nie lubiłem przebywać w zoo.

Śniadanie — używając języka dyplomatów — upłynęło w miłej i serdecznej atmosferze. Gawędziliśmy o tym i o owym, unikając starannie, śliskiego jak skóra węża, tematu schowków Koeniga.

Wreszcie jednak dyrektor Marcza nie zdzierzył i zapytał:

— Czy w dalszym ciągu sądzi pan, że jestem jak ów bogaty wdowiec, który postawił na grobie swej żony krzyż z jedenastoma diamentami?

— Tak, panie dyrektorze. Przy okazji odkrycia każdej ze skrytek Koeniga odbył się mały hokus-pokus. Zginęły trzy niezwykle cenne monety, ale jednocześnie nic nie zginęło. Znikło pięć kielichów, a jednocześnie wiemy, że nic nie zginęło. Wszystko się zgadza ze spisem w planie Koeniga.

— Jakże ma pan na to dowody?

— Widział pan przecież młotek i dłuto oraz czerwoną rysę wokół Diabelskiego Obrazu.

— Lecz jednocześnie w podziemnej krypcie nie napotkaliśmy Waldemara Batury, tylko pana, drogi Tomaszu.

— Mówiłem, że zostałem tam wprowadzony i zamknięty.



— Drzwi do podziemi były otwarte, klucz tkwił w zamku.

— Czy nie wystarczy panu informacja, że Waldemar Batura przebywa we Fromborku?

— To wolny człowiek, tak jak pan i ja. Może przebywać, gdzie chce. Nie twierdzę zresztą, że nie szuka na własną rękę schowków Koeniga. Wolno mu to zresztą. Każdemu wolno szukać skarbów. Rzecz jednak w tym, jak postąpi, gdy schowek odnajdzie. Póki tylko szuka, nie możemy wnieść przeciw niemu żadnego oskarżenia. Żądam dowodów.

— I będzie je pan miał — powiedziałem z mocą.

— A teraz ad rem, panie Tomaszu. Pójdziemy na mały spacer po Fromborku i opowie mi pan, co pan zdołał w godzinach opłacanych przez nasz departament.

Skoczyłem do swego pokoju po brulion z notatkami, a potem poszliśmy na wzgórze katedralne. Siedząc pod rozłożystym dębem wygłosiłem dyrektorowi Marczakowi swoją ideę nowego przewodnika.

— Zebrałem informacje co do dalekiej i bliskiej przeszłości Fromborka i całej Warmii. Uważam jednak, że najpoważniejsza część przewodnika poświęcona powinna być Kopernikowi. Wydaje mi się, że nie zmniejszając w niczym kultu, w jakim turyści i społeczeństwo polskie odnosi się do kopernikowskiej wieży, należy jednak w przewodniku przedstawić stan nowoczesnych badań w tym względzie. Tradycja ustna głosi, że Kopernik ze swej wieży śledził ruchy gwiazd i księżyca. Współczesne badania naukowe przekonują, że Kopernik musiał mieć jednak inne obserwatorium.

— Proszę mówić dalej. To jest bardzo ciekawe — rzekł dyrektor.

— Zacznijmy od faktów, które stwierdzili współcześni uczeni — powiedziałem, nieświadomy, że oto za chwilę i ja sam dokonam niezwykłego odkrycia.

Tymczasem jednak mówiłem ze swadą, wyłuszczałem wiadomości uzyskane od astronomów i historyków.

— Idąc śladem ustnej tradycji polscy astronomowie próbowali z kopernikowskiej wieży przeprowadzić obserwacje nieba. Zbudowano nawet specjalny ganek, aby móc ich dokonać. I co się okazało? Astronom P. stwierdza niezbicie, że — zajrzałem do notatek — obserwacja z takiego balkonu jest z astronomicznego punktu widzenia zupełnym absurdem. Każdy krok obserwującego lub pomocnika musiałby wpłynąć na zmiany nachylenia przyrządu, którego utrzymanie w pionie jest jednym z kardynalnych warunków udania się obserwacji.

— Skąd więc w takim razie obserwował niebo Kopernik?

— Ten sam astronom sugeruje, że do obserwacji nadawała się druga wieża w tej części murów, a więc ten ogromny oktagon, na którym ustawiano działa. Tu właśnie, na oktagonie, wokół pierwotnej dzwonnicy było dość miejsca, aby ustawić instrumenty astronomiczne. Między ścianą wieży a murem zewnętrznym rozciągało się sześć metrów płaskiego i nadzwyczaj solidnie zbudowanego tarasu. Zresztą, z wieży kopernikowskiej było znakomite przejście murami do oktagonu i Kopernik mógł bez trudu odbywać spacer dla obserwacji.

Z ławki, gdzie siedzieliśmy, widzieliśmy wyraźnie zwalistą sylwetkę ośmiobocznej wieżycy. I wtedy to doznałem olśnienia. Aż mrówki przeszły mi po grzbiecie. Czułem, że jestem na tropie rozwiązania niezwyklej zagadki. Jeszcze chwila — i będę wiedział to, co przez tak długi czas nie dawało mi spokoju.

Ale dyrektor Marczak przerwał tok mojego myślenia:

— Proszę mówić dalej. To bardzo ciekawe.

Skupiłem się więc i mówiłem, zaglądając co chwila do swego notesu:

— W odnalezieniu prawdziwego obserwatorium Kopernika pomocne są świadectwa ludzi mu niemal współczesnych. Dzieło Kopernika „O obrotach ciał niebieskich” zbulwersowało umysły wielu ówczesnych uczonych. W tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym roku, a więc stosunkowo niedługim czasie po śmierci Kopernika, słynny astronom duński Tycho de Brahe wysłał do Fromborka swego współpracownika, niejakiego Eliasza Cimbera, aby ten, przy pomocy już nieco doskonalszych niż kopernikowskie instrumentów, dokonał tych samych obserwacji i stwierdził, czy rzeczywiście Kopernik miał rację. Ów Eliasz Cimber pozostawił po sobie szczegółowy dziennik swoich czynności we Fromborku. Jest rzeczą naturalną, że ktoś, kto chce sprawdzić cudze obserwacje, dokonuje ich chyba w tym samym miejscu, szczególnie jeśli ma ku temu warunki. Ale ów Cimber, panie dyrektorze, wcale nie wlaźł na wieżę Kopernika, a swe badania astronomiczne przeprowadził w ogrodzie kanonika Ekharda z Kępna, jak pisze: „położonego najbliżej od zachodu tej wieżyczki, z której rzekomo Kopernik dokonał swych obserwacji”.

— Ciekawe — mruknął dyrektor.

— A tak, panie dyrektorze. Dlaczego Eliasz Cimber nie wlaźł ze swymi instrumentami na wieżę, tylko obserwował z ogrodu kurii kanonika Ekharda z Kępna? Ano dlatego, że z wieży nie można było dokonać obserwacji. Bo chyba i sam Kopernik tego nie czynił. A jeśli do tego dodamy wyjaśnienie, że kuria pana Ekharda należała dawniej do Kopernika, to niemal pewnikiem się staje, że Cimber swe obserwacje wykonał z tego samego miejsca, co i Kopernik, a więc z jego ogrodu. Mało tego. Sam Kopernik w swym dziele „De revolutionibus” nie każe nikomu wlaźć na wieżę, ale doradza, aby zbudowano dla obserwacji „pavimentum”. A cóż jest owo kopernikowskie „pavimentum”? To nic innego, tylko posadzka albo płyta ubita z wapna, kamieni i piasku, oparta na fundamencie z cegły i zaprawy wapiennej. Jak obliczyli nasi uczeni, takie kopernikowskie „pavimentum” musiało mieć około dwudziestu metrów kwadratowych. Trudno przypuszczać, aby Kopernik radził astronomom zrobić coś, z czego sam nie korzystał. Należy sądzić, że Kopernik w swym ogrodzie, w kurii zewnętrznej, zbudował sobie „pavimentum” i być może ów Eliasz Cimber, który w ogrodzie kurii Ekharda z Kępna wykonał swe obserwacje, korzystał również z płyty kopernikowskiej. Jest także sprawą charakterystyczną, że podczas najazdu wojsk krzyżackich, gdy to Kopernik bronił się w zaniu olsztyńskim, wojska krzyżackie, które przybyły również pod Frombork, zniszczyły kopernikowski instrument. Wiemy, że wówczas Krzyżacy nie zdołali zdobyć warowni fromborskiej, zniszczyli tylko zewnętrzną kurie. A więc instrument Kopernika znajdował się nie w warowni, nie na wieży, ale w kurii zewnętrznej. Bo też i tam dokonywał Kopernik swoich badań.

— A gdzie się znajduje ta kuria?

— W tym sęk, panie dyrektorze. W grę wchodzi trzy kurie: świętego Stanisława, świętego Michała i świętego Piotra. Jeśli założyć, że Kopernik badał niebo z oktagonu, to najbliższej na zachód byłaby położona kuria świętego Piotra. Tam przeprowadzono badania, lecz śladów owego „pavimentum” nie znaleziono. Ale jeśli założyć, że chodziło o kurię położoną najbliższej na zachód od wieży kopernikowskiej, to w grę wchodzi kuria świętego Stanisława. Badania historyków potwierdziły tę ostatnią hipotezę. Wedle odnalezionych ostatnio dokumentów kanonią zewnętrzną należącą do Kopernika była kuria świętego Stanisława. Obecnie jest tu schronisko PTTK, gdzie mieszkam wraz z Cagliostro, jego zaskrońcem, dwiema myszkami i królikiem.

— Nie widziałem tego królika — pokręcił głową dyrektor. A potem dodał z powagą: — I o tych wszystkich sprawach chce pan napisać w przewodniku? Czy to nie znudzi turystów?

— Nie sędzę — odrzekłem. — Wydaje mi się, że warto zwrócić uwagę, przede wszystkim młodzieży, jak interesującą i pasjonującą rzeczą są badania naukowe, na przykład historyczne. Wydaje się przecież, że nie ma nic bardziej nudnego, jak grzebanie w starych szpargałach. A tu okazuje się, że co krok to zagadka. Gdyby pan wiedział, jak bardzo praca historyka przypomina pracę detektywa. W jaki sposób zestawia on poszczególne fakty i dokumenty o najróżniejszej treści, aby wreszcie ujawnić i udowodnić prawdę: kanonia kopernikowska to kuria świętego Stanisława. A teraz, panie dyrektorze, opowiem panu o stanie badań dotyczących poszukiwań grobu Kopernika — nabrałem tchu w piersi.

Ale dyrektor mi przerwał:

— Może tę sprawę odłożymy na później. Od pewnego czasu wokół nas na podwórku kręci się jakaś młoda panienka, która nas wciąż fotografuje i daje panu jakieś tajemnicze znaki. Pan ich nie dostrzega, bo nos ma pan w swoim notatniku. Ale ja mam oczy szeroko otwarte i dlatego ja jestem pana zwierzchnikiem, a nie na odwrót.

Rozejrzałem się po podwórku i w sąsiedztwie kaplicy Szembeka dostrzegłem pannę Alę.

„Zdrajczyń!” — pomyślałem i ze złości aż zgrzytnąłem zębami.

Dyrektor Marczak z wielką godnością podniósł się z ławki.

— Jak z tego wynika, nie marnował pan tutaj czasu — stwierdził dwuznacznie. — Czuję się strudzony. Przez całą noc jechałem pociągiem, a o świcie poszedłem odkrywać drugi schowek Koeniga. Położę się więc trochę w kurii świętego Stanisława, gdzie pokój wynajął dla mnie magister Pietruszka. O grobie Kopernika opowie mi pan nieco później.

To mówiąc dyrektor skłonił się i z godnością odszedł w kierunku bramy głównej.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

CZY ALA MNIE ZDRADZA · DZIWNA PROPOZYCJA · WYPOŻYCZAM PIĘĆ KIELICHÓW · KTO SZUKA DZIURY W CAŁYM · WYPRAWA DO KRAINY STRASZLIWEGO ASA · UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO · CZY TO PIES, CZY TO

BIES · CO ZOBACZYŁEM W TELEWIZORZE · TAJEMNICA BATURY · TRZECI  
ZŁOCZYŃCA · PIĘĆ ZŁOTYCH KIELICHÓW · DRWINY Z TOMASZA · HOKUS-  
POKUS STRASZLIWEGO ASA

— Zdrajczyń! — powiedziałem pogardliwie do panny Ali, która po odejściu Marczaka zbliżyła się i usiadła obok mnie na ławce pod dębem.

Zrobiła obrażoną minę i zaczęła grzebać w swojej torbie. Wreszcie wyjęła czarne pudełko, podobne do maleńkiego nadajnika radiowego.

— Zdrajczyń! — rzuciłem powtórnie. — Nawet nie ma pani nic na swoją obronę.

Wzruszyła ramionami.

— Zastanawiam się, czy nie przywołać tutaj Asa, aby się z panem rozprawił.

— Asa? — pogładziłem się po ramieniu, przypominając sobie uścisk stalowych rąk.

— Jeśli tego nie uczynię, to tylko dlatego, że nie chcę wywoływać niepotrzebnej sensacji we Fromborku — stwierdziła. — Ale i tak nie pozwolę się obrażać.

— Pani współpracuje z Baturą. Widziano panią w czerwonym mustangu w towarzystwie tego łajdaka.

— Ach, o to panu chodzi? — roześmiała się. — Czy pan naprawdę sądzi, że gdybym była współpracowniczką Batury, pokazywałabym się w jego samochodzie? Wczoraj rano szłam do Fromborka po zakupy. Akurat tamtędy przejeżdżał Batura i zaproponował, że mnie podwiezie. Czy miałam z tego nie skorzystać? To samo powtórzyło się i po południu. Odwiózł mnie swoim mustangiem.

— Dżentelmen — rzuciłem pogardliwie.

— Owszem, to bardzo dobrze wychowany człowiek — potwierdziła. — Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jego zainteresowanie moją osobą wynika z faktu, że widział nas razem, gdy ścigaliśmy jego mustanga. Podwiózł mnie, aby przy okazji wybadać, co ja tutaj robię.

— Pani szła piechotą do Fromborka? Czyżby magistrzowi inżynierowi Zegadło zepsuł się jego błękitny opel? — zapytałem z drwiną w głosie.

— Nie, po prostu magister inżynier Zegadło został na zawsze skreślony z listy moich adoratorów. Jest to osobnik, który w życiu kieruje się tylko pozorami. To, co ładnie wygląda, to mu imponuje. A ja, proszę pana, lubię ludzi, którzy nie tyle zwracają uwagę na czyjeś cechy zewnętrzne, co na charakter. Ważna jest dla mnie nie błyszcząca karoseria samochodu, ale to, co samochód kryje pod maską. Nie interesuje mnie mężczyzna tylko dlatego, że jest ładny, ma piękne włosy, smukłą figurę i dobrze tańczy, ale ważne jest dla mnie, co on ma pod kopułą swojej czaszki. Koniec, kropka. Nie pojedę więcej błękitnym oplem.

Melancholijnie pokiwałem głową.

— Ja również okazałem się człowiekiem, który kieruje się pozorami. I dlatego po raz trzeci przegrałem w walce z Waldemarem Batura.

Opowiedziałem Ali o wczorajszej przygodzie w podziemiach katedry.

— Zgubiło mnie moje zarozumiałstwo — wyjaśniłem. — Wydawało mi się, że jestem niezwykle sprytny. Zaledwie przyjechałem do Fromborka, natychmiast wpadłem na trop Diabelskiej Góry, a potem Diabelskiego Drzewa. Gdybym sądził o sobie z mniejszą zarozumiałością, zapewne odkryłbym wkrótce przebiegły plan Batury, polegający na tym, że podsuwał mi on tropy, które miały mnie zaprowadzić w ślepy zaułek. Jak mogłem nie zdawać sobie sprawy, że jeśli Batura tak nieudolnie porywa staruszka, to kryje się w tym pułapka? Jak mogłem dać się wprowadzić w kryptę podziemną?

Panna Ala zastanawiała się nad czymś głęboko. W zamyśleniu skubała palcami kosmyk swoich włosów.

— Powiada pan, że w skrytce prawdopodobnie było pięć złotych, wysadzanych drogimi kamieniami kielichów mszalnych, a odnaleziono kielichy srebrne? — upewniła się.

— Tak. Przecież Batura nie przyjechał tu po to, aby rozkoszować się pięknem Fromborka.

Na twarzy panny Ali pojawił się nagle wyraz zdecydowania.

— Postaram się panu pomóc — rzekła. — Proszę mi jednak dać te pięć srebrnych kielichów.

— Po co?

— Niech pan za dużo nie pyta. Ja również mam swoje tajemnice.

— A skąd ja wezmę pięć srebrnych kielichów? Czy pani sądzi, że dyrektor Marczak podaruje mi je?

— Niech pan je od niego wypożyczy. Za rewersem. Przecież sam pan mówił, że one nie przedstawiają większej wartości.

— Zgoda. Tylko czym uzasadnię prośbę o wypożyczenie kielichów?

— To już pańska sprawa. Ale dając mi te kielichy, otwiera pan przed sobą możliwość dostarczenia panu dyrektorowi Marczakowi żądanego dowodu.

— Pani chce mi dostarczyć dowód winy Batury? W jaki sposób?

— Proszę nie pytać! — aż tupnęła nogą. — Niech pan dostarczy mi pięć srebrnych kielichów.

Wstałem z ławki.

— Muszę w takim razie porozumieć się z dyrektorem Marczakiem.

Poszliśmy do schroniska PTTK. Poprosiłem pannę Alę, aby poczekała w moim pokoju, który tymczasem opuścił Cagliostro.

Sam zaś zapukałem do drzwi pokoju dyrektora Marcza.

Kładł się już chyba do snu, bo drzwi otworzył ubrany w pidżamę.

— O co chodzi? — burknął gniewnie. — Mówiłem panu, że jestem zdżony.

— Chciałbym wypożyczyć pięć srebrnych kielichów ze skrytki.

— Po co?

— Podejrzewam, że to wespółźnie wykonane falsyfikaty.

— Bzdura. Sądzę, że wykonano je pod koniec ubiegłego wieku. Ich wartość nie przekracza sumy dziesięciu tysięcy złotych.

— A jednak chciałbym je obejrzeć. Kazał mi pan dostarczyć dowodu, a gdy chcę go znaleźć, to pan mi utrudnia poszukiwania.

— Ach, to pan tak stawia sprawę? No, dobrze. Wypożyczę panu te kielichy.

I zaprowadził mnie w kąt pokoju, gdzie w drewnianej skrzyni, zamkniętej na ogromną kłódkę, leżały przedmioty znalezione w drugim schowku Koeniga. Dyrektor Marcza wyszukał pięć srebrnych kielichów i wręczył mi je.

— Czy mam panu wystawić rewers?

— Obejdę się. Mam do pana zaufanie.

Opuściłem jego pokój, w obu rękach niosąc pięć kielichów mszalnych. W korytarzu natknąłem się na magistra Pietruszkę. Podejrzliwym spojrzeniem obrzucił kielichy.

— W jakim celu je zabrałeś? — zapytał.

— Chcę je obejrzeć.

— Dlaczego?

— Wydaje mi się, że są tylko posrebrzane, a więc prawie bez wartości.

— Mylisz się. Dokładnie je obejrzałem. Są ze srebra. Nie mają wielkiej wartości, to prawda, ale to nie moja wina, że Koenig w tym względzie okazał się głupcem. Zresztą, trudno się temu dziwić. Nie należał do znawców dzieł sztuki, był zwykłym hitlerowskim rabusiem, brał, co mu w rękę wpadło. W jego schowkach znajdujemy rzeczy bezcenne i bezwartościowe, wspaniałe monety i zwykłe fenigi, bezcenne miniatury i zwykłe kielichy mszalne.

— Czy masz coś przeciw temu, że jednak je obejrzę?

— Nie — wzruszył ramionami i odszedł. Wszedłem do swego pokoju i ustawiłem kielichy na stole.

— Oto one — powiedziałem do panny Ali. I rozejrzałem się po pokoju. — Bałem się, że zastanę panią stojącą na stole albo na krześle.

— Dlaczego?

— Mieszkam w towarzystwie zaskrońca i dwóch białych myszek.

— Och! — pisnęła przerażona i również rozejrzała się po pokoju.

— Ale zdaje się — dokończyłem — że Cagliostro zabrał to towarzystwo z sobą.

Panna Ala natychmiast uspokoiła się. Usiadła na krześle i wskazała znajdujące się pod łóżkiem Cagliostrowe pudełko.

— Potrzebne mi będzie takie pudełko.

— Należą do Cagliostrowych...

— Tym lepiej.

— Ależ to kradzież — zauważyłem.

— Nie. To będzie tylko pożyczka. Zwrócę panu kielichy razem z tekturowym pudełkiem.

Wyciągnąłem spod łóżka pudło, w którym od czasu do czasu mieszkał Piotruś, włożyłem do niego kielichy i podałem pannie Ali.

— I co teraz? — zapytałem zaciekawiony.

— Teraz ja idę do domu — oświadczyła.

Wzięła pudełko pod pachę i skinąwszy mi głową, wyszła z pokoju.

Westchnąłem ciężko. Przez chwilę miałem wrażenie, że znowu wpakowałem się w jakąś kabałę.

Długo jednak nie trapiłem się tą sprawą. Zająłem się czymś, co wydawało mi się po stokroć ważniejsze.

Uzbrojony w latarkę elektryczną poszedłem do warowni i wróciłem stamtąd dopiero w porze obiadu.

W jadalni zastałem dyrektora Marcza jedzącego obiad w towarzystwie magistra Pietruszki. Dosiadłem się do ich stolika i poprosiłem kelnerkę o obiad.

— I jak wypadła ekspertyza? — zapytał mnie dyrektor Marczak.

— Jaka ekspertyza?

— Kielichów. Przecież pan je ode mnie zabrał — stwierdził dyrektor.

— No tak. Rzeczywiście.

— W takim razie proszę mi je zaraz zwrócić, gdyż skrzynię ze skarbami odsyłam do Warszawy.

Struchlałem. Bo skąd teraz wziąć te kielichy?

— Chce pan skarby odesłać pocztą? Mogą zaginać — zatroskałem się.

— Niech pan będzie spokojny. Zapewniłem dla skrzyni specjalnego konwojenta.

— Yhm — chrząknąłem niepewnie. — Kielichy będą mi jeszcze jakiś czas potrzebne.

— Miał pan dość czasu na ekspertyzę. Zresztą, dokończy ją pan w Warszawie, a teraz proszę przynieść kielichy do mojego pokoju.

„O rany, co ja zrobię”? — przeraziłem się.

A magister Pietruszka, zauważywszy zapewne wyraz zakłopotania malujący się na moim obliczu, dodał ze złośliwym uśmiechem:

— Tomasz szuka dziury w całym, tylko że nie znajdzie.

Szybko przełknąłem obiad. Zerwałem się od stołu i niemal biegiem wyskoczyłem ze schroniska PTTK. Wsiadłem do swego wehikułu, gdy podbiegł do mnie Baśka.

— Panie Tomaszu! Panie Tomaszu! — wołał radośnie. — Wiem już, gdzie Batura ma swój biwak. Mieszka w namiocie u ujścia rzeki Baudy, na małym piaszczystym cyplu.

— Ach, to już teraz nieważne — odrzekłem, uruchamiając silnik.

— Nieważne? — powtórzył bardzo rozczarowany. — A czy wie pan, jaką wspaniałą książkę kupiłem w pawilonie księgarskim? „Sztuki magiczne” Aleksandra Wadimowa, znanego radzieckiego iluzjonisty. Niech pan ją obejrzy...

I podał mi grubą książkę w żółtej, jaskrawej okładce.

— Pożycz mi ją — poprosiłem tknięty nagłą myślą. — Przejrzę i jutro ci zwrócę. A teraz przepraszam cię, ale bardzo się spieszę.

— Nie zabierze mnie pan z sobą?

— Nie — pokręciłem głową. I dodałem z powagą: — Jadę, chłopcze, do Krainy Straszliwego Asa. Gdybym nie wracał przez dłuższy czas... — zająknąłem się i machnąłem ręką. — Wybacz mi, nic ci nie mogę więcej powiedzieć.



— Co to za kraina? Co to za As? — dopytywał się zaciekawiony chłopiec.

— Jestem związany przysięgą milczenia. W Krainie Straszliwego Asa byliśmy z Cagliostrem, ale i on musi milczeć. Gdybym długo nie wracał, porozum się z Cagliostrem. Może on wtedy znajdzie jakąś radę.

To mówiąc zabrałem od Baški książkę o sztukach magicznych i odjechałem co koń mechaniczny wyskoczy, czyli ile sił w dwunastu cylindrach mego wehikułu.

W Krainie Straszliwego Asa postanowiłem odnaleźć pannę Alę i odebrać pięć srebrnych kielichów. Po co ja, u licha, zgodziłem się wypożyczyć je od dyrektora Marczaka? Co Ala z nimi zrobiła?

Męczyły mnie te pytania. Ale do Krainy Straszliwego Asa nie było daleko, jeśli wziąć pod uwagę szybkość mego wehikułu. Oto już pierwszy most na Baudzie, drugi most, wzgórze i wąż, w którym spotkaliśmy Asa. Panna Ala mówiła, że aby się z nią spotkać, należało pójść ścieżką u końca wążu. Ta ścieżka miała prowadzić przez las aż do baraku, w którym mieszkała Ala.

Przejechałem więc wąż i zaparkowałem wehikuł na skraju polnej drogi, tuż przy lesie, porastającym wzgórze ze starożytnym grodziskiem. Odnalazłem wąską ścieżkę, lecz zanim na nią wstąpiłem, rozejrzałem się bacznie.

Dzień był słoneczny, pogodny, nad głową miałem błękitne niebo, po którym z rzadka przepływały białe obłoki podobne do wielkich gór okrytych śniegiem. Pływały szybko, w górze wiał chyba silny wiatr. Na ziemi jednak panował spokój i ogromna, przytłaczająca cisza. Na pola opadał skwar sierpniowego dnia, skraj lasu wabił przyjemnym chłodem. W lesie wesoło świergotało ptactwo. Lecz dla mnie, który wciąż miałem w pamięci spotkanie z Asem, urok tego zakątka wydawał się groźny, krył niebezpieczeństwo.

Przez dłuższą chwilę stałem na skraju pól, nie ośmielając się zagłębić w las. Wciąż odnosiłem wrażenie, że w mroku leśnym czai się żelazne cielsko Asa i zza krzaków śledzą mnie umieszczone na żelaznej kopule szklane oczy. Myślałem o stalowych rękach, gotowych schwytać mnie, gdy tylko znajdę się na ścieżce. Gdybym miał gwarancję, że w Asie siedzi Ala, ruszyłbym śmiałym krokiem. Lecz może tym razem ktoś inny kieruje Asem i ten ktoś okaże się bardziej od niej bezwzględny?

Kto mógł siedzieć w Asie? Na przykład magister inżynier Krzysztof Zegadło. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Ala i Zegadło pracowali razem. Więc było prawdopodobne, że na zmianę lub nawet razem odbywali podróże żelaznym Asem. Zegadło chyba był zły na mnie za to, że stracił sympatię panny Ali. O, nie życzylibym sobie wpaść w jego ręce, i raczej w ręce prowadzonego przez niego Asa.

A jednak nie mogłem tu tkwić bez końca. Dyrektor Marczak czekał na pięć srebrnych kielichów, które wraz z innymi skarbami postanowił odesłać do Warszawy.

Jeszcze raz spojrzałem w błękitne niebo. A potem, zebrawszy w sobie całą odwagę, wstąpiłem na ścieżkę leśną. Starłem się iść cicho jak Indianin, za każdym szelestem kryłem się za pnie drzew i zanim podejmowałem dalszy marsz, upewniałem się, czy szelest nie został wywołany przez gąsienice Asa.

A ścieżka wiła się jak zaskroniec Piotruś. To wchodziła w głąb lasu, to znów zbliżała się do skraju.

I nigdzie ani żywej duszy. Tylko dwukrotnie napotkałam czerwone tablice z ostrzegawczym napisem: „Uważaj, niebezpieczeństwo”. Na każdej z tablic wymalowano trupa czaszkę i dwa skrzyżowane z sobą piszczele.

Mimo tych ostrzeżeń, szedłem dalej ścieżką, ale duszę miałem na ramieniu. Przed jakim niebezpieczeństwem ostrzegały mnie napisy? Czy napotkam miny? A może za chwilę z krzaków wypełźnie inny stwór, równie groźny jak wielooki As?

Odniosłem wrażenie, że im dalej wchodzę w las, tym bardziej staje się on gęsty, ciemny i ponury. Wydawało mi się również, że ptaki się stąd wyniosły, bo nie słyszałem już żadnego świergotu. „Może zawrócić?” — przemknęło mi przez głowę. Ale wyobraziłem sobie minę dyrektora Marczaka, gdy powiem mu, że nie mam srebrnych kielichów. Przed oczami pojawiła mi się tryumfująca, złośliwie wykrzywiona gęba magistra Pietruszki. I to dodało mi odwagi.

Zrobiłem jeszcze kilkanaście kroków po ścieżce i nagle otworzyła się przede mną ogromna polana leśna. Na środku polany zobaczyłem długi blaszany barak ogrodzony drutem kolczastym i siatką. Nad barakiem wznosił się potężny maszt anteny.

W ogrodzeniu widniała żelazna brama i do tej bramy prowadziła ścieżka. Napis nad bramą głosił: „Ośrodek Doświadczalny Wydziału Automatyki Politechniki w G. Wstęp obcym surowo wzbroniony”.

Brama w ogrodzeniu była zamknięta na głucho. Myślałem, że znajdę na niej guzik dzwonka, ale nic takiego nie zauważyłem.

„Jak dostać się do baraku?” — zastanawiałem się i podszedłem bliżej do bramy.

Raptem z małej budki przy baraku wyskoczył żółty pies. Pobiegł kilkanaście kroków w kierunku bramy i zaczął głośno szczekać. Pies był duży jak wilczur, ale nie przypominał żadnej znanej mi dotąd rasy. I biegł jakoś tak sztywno, jakby na szrudłach.

Cofnąłem się od bramy i pies natychmiast cofnął się tyłem do swej budy. Ja zrobiłem krok do bramy i on znowu wyskoczył. Szczekał donośnie jak inne psy. Tyle tylko że robił to monotonnie, zawsze tak samo, w jednej tonacji.

Znowu cofnąłem się od bramy i on cofnął się do budy. Ja podszedłem do bramy, on wyskoczył z budy i zaczął szczekać.

— Burek... Burek... — wabiłem go.

Nie warczał, nie zanosił się szczekaniem, jak to w takich razach czynią inne psy. Tylko tym swoim monotonnym głosem donośnie oznajmiał mieszkańcom baraku o mojej obecności.

Pies był sztuczny. Czytałem kiedyś o elektronowych zwierzętach. Ten chyba by właśnie takim psem. Wywabiała go z budy fotokomórka znajdująca się na bramie. Specjalny

mechanizm, umieszczony w jego brzuchu, uruchamiał taśmę magnetofonową z nagraniem szczekaniem żywego psa.

Stałem cierpliwie pod bramą w zasięgu fotokomórki. Elektronowy pies szczekał i szczekał.

Wreszcie otworzyły się drzwi baraku i pokazała się w nich panna Ala, ubrana w biały fartuch. Przysłoniła dłonią oczy, bo raziło ją światło słoneczne. Popatrzyła w stronę bramy. Zobaczyła mnie i przycisnęła guzik obok drzwi baraku. Żelazna brama otworzyła się bezszelestnie.

Wszedłem na teren ośrodka doświadczalnego. A gdy zniknąłem z pola widzenia fotokomórki, pies natychmiast przestał szczekać i cofnął się do swej budy.

— Co pana do mnie przyniosło? — zapytała Ala.

— Pięć kielichów. Muszę je mieć z powrotem. Dyrektor Marczak chce je dzisiaj odesłać do Warszawy.

— O, to będzie trudna sprawa — pokręciła głową. — Sam pan się zresztą o tym przekona.

Podawała mi rękę na przywitanie, a potem gościnnym gestem zaprosiła do baraku.

— Profesor, inżynier Zegadło i pozostali personel naszego ośrodka wyjechali dziś do Warszawy na naradę — wyjaśniła. — Jestem tutaj prawie sama.

— Prawie sama? Co to znaczy?

— Jest tu trochę automatów. Każdy z nich ma w sobie coś z człowieka. A więc nie mogę powiedzieć, że jestem tutaj zupełnie sama.

— A gdzie moje kielichy? — dopytywałem się niecierpliwie.

Nic nie odrzekła. Weszliśmy do dużego pomieszczenia. Zobaczyłem trzy pulpity sterownicze, pełne jakichś guziczków, dźwigni, szklanych oczu, raz po raz rozbłyskujących kolorowym światłem. Ujrzałem także duży ekran telewizyjnego monitora.

Ala podsunęła mi fotel.

— Niech pan usiądzie i niech pan patrzy — rozkazała. A sama podeszła do pulpitu sterowniczego.

— Nie przyszedłem tutaj oglądać audycji telewizyjnych — powiedziałem stanowczo. — Proszę o zwrot kielichów.

— Niech pan popatrzy. One są tam — wskazała ekran telewizyjny.

Usiadłem i zacząłem się gapić w ekran monitora, lecz nie zobaczyłem kielichów, tylko wzburzoną powierzchnię morza albo dużego jeziora.

— Nie przyszedłem oglądać audycji krajoznawczych — zacząłem znowu.

Ala przekręciła jakąś gałkę na pulpicie sterowniczym i zaraz ukazał się nowy obraz. Zobaczyłem piaszczysty cypel, a na nim namiot turystyczny. Obok namiotu stał czerwony mustang Waldemara Batury. Po chwili dostrzegłem Baturę. Rozebrany do majteczek kąpielowych leżał na piasku nad wodą, a towarzyszyła mu panna Anielka, również w kostiumie kąpielowym.

— Co to jest? Co ja widzę? — zakrzyknąłem.

— Ogląda pan obóz Waldemara Batury.

— Ale jakim cudem go oglądam?

— Posłałam Asa korytem rzeki Baudy — tłumaczyła Ala. — As w tej chwili jest zanurzony w wodzie. Wystaje nad powierzchnią tylko kopułka z oczami, które są kamerami telewizyjnymi i reflektorami. As przekazuje obraz, który widzi.

— Nie bardzo rozumiem...

— Ach, to takie proste. Robimy doświadczenia z Asem. Wczoraj badaliśmy, jak As zachowuje się w wodzie, i posłaliśmy Asa korytem rzeki Baudy. Kamery telewizyjne Asa przekazywały mi obraz Waldemara Batury. Zobaczyłam u niego pięć złotych kielichów.

— Więc pani nie siedziała w Asie, gdy spotkaliśmy go w wąwozie?

— Oczywiście, że nie. As jest kierowany przy pomocy fal radiowych. Gdy spotkał pan Asa, ja byłam tu, gdzie teraz, i rozmawialiśmy z sobą na odległość.

— Gdzie są moje srebrne kielichy? — powtórzyłem uparcie.

— W Asie, proszę pana. W pudełku, które mi pan dał wraz z kielichami.

— Co pani ma zamiar z nimi zrobić? — zapytałem z niepokojem.

— Cicho — syknęła Ala. — Niech pan słucha. Włączam aparaturę nasłuchową zainstalowaną na kopule Asa.

Obraz na ekranie monitora zafascynował mnie. Oto do obozowiska Batury pełną drogą podjechał czarny wartburg, z którego wyskoczył jakiś młody mężczyzna w ciemnych okularach.

Na jego widok Batura i panna Anielka zerwali się z piasku.

— Cześć, stary — usłyszałem głos Waldemara Batury, witającego młodzieńca z Wartburga.

— Nareszcie się zjawiliś.

— Dostałem twój telegram i natychmiast wyruszyłem w drogę — powiedział młodzieniec, całując w rękę pannę Anielkę. — Czy stało się coś ważnego, że mnie wezwałeś?

— Zdobyliśmy pięć złotych kielichów. Musisz natychmiast zabrać je stąd i zawieźć do Warszawy. Nie mogę trzymać ich w swym obozie, bo Tomasz gotów wysledzić moje obozowisko i sprowadzić tu milicję. Chcę być czysty jak łąza, rozumiesz?

— No jasne — kiwnął głową młodzieniec. — Pokaż bracie, te kielichy.

Batura skinął głową i z ogromnie zadowoloną miną zaczął grzebać w piasku koło swojego namiotu. Po chwili wyciągnął ukryte w dołku pudełko tekturowe, takie samo, jak to, które miał Cagliostro pod swoim łóżkiem. Identyczne pudełko Cagliostro wręczył Baturze nocą na fromborskiej przystani. A więc wiedziałem już, co kryło to pudełko. Wówczas z Warszawy moim wehikułem przywiózł Cagliostro Baturze pięć srebrnych kielichów, które zapewne nabył od handlarzy antykami albo po prostu w sklepie Desy. I te srebrne kielichy pozostawił Batura na miejscu złotych, które ukradł z drugiego schowka.

Teraz w tym samym pudełku miał złote kielichy.

— Patrz — rzekł do młodzieńca w ciemnych okularach — każdy z nich jest wart sto razy więcej od pięciu srebrnych, które kupiliśmy w warszawskiej Desie.

— Obejrzyj je dokładnie. Są nie tylko ze złota, ale wysadzone opalami i szafirami. Pomyśl: i to wszystko za pięć srebrnych kielichów.

Z prawdziwą przykrością, ale gwoli prawdzie, muszę teraz przytoczyć słowa Batury.

— Nie przypuszczałem — mówił Batura do młodzieńca — że Tomasz okaże się takim głupcem. Dał się jak małe dziecko zaprowadzić za rączkę prosto w pułapkę. Teraz, chociaż zapewne domyśla się zamiany, nie może pisać ani słowa, bo wszystkie podejrzenia skierują się na niego.

— Jesteś wspaniały — przyznał młodzieniec.

Wtrąciła się panna Anielka. Miała nadąsaną buzię.

— Zapominasz, Waldek, że i ja jeden raz pomogłam ci wykiwać Tomasza. To ja ucharakteryzowałam cię na staruszka.

— Tak. Jesteś genialna — zgodził się Batura i z wdzięcznością ucałował dłoń panny Anielki.

— Pięć lat pracowałam w filmie jako charakteryzatorka — oświadczyła z dumą panna Anielka. — Mam dobrą praktykę.

— Tomasz to dureń — powtórzył Batura. — A my mamy pięć złotych kielichów. Jeszcze dziś, zaraz, trzeba je odwieźć do Warszawy, żeby tu w moim obozie nawet ślad po nich nie pozostał. Muszę być przygotowany na każdą ewentualność. Tym bardziej że czeka nas sprawa z rubinami.

— Daj mi, Waldek, odsapnąć chociaż z piętnaście minut — roześmiał się młodzieniec w okularach.

— Anielka, przyrządź nam po filizance czarnej kawy — poprosił Batura.

Schował kielichy do pudełka, a pudełko włożył do swego namiotu. Potem zbójcka trójka usiadła po drugiej stronie namiotu, gdzie paliła się maszynka gazowa, na której panna Anielka gotowała wodę do czarnej kawy.

Namiot stał przodem do rzeki. Przez uchylone płócienne drzwiczki widzieliśmy jego wnętrze, gumowe materace i śpiwory. I pozostawione tuż przy wejściu tekturowe pudełko.

O detchnąłem z ogromną ulgą. Zdałem sobie sprawę, że Batura niedługo będzie się cieszył swoim łupem. Oto za chwilę pomaszeruję do Fromborka i zgłoszę się do komendy Milicji Obywatelskiej. Poinformuję milicjantów o całej sprawie, podam numer rejestracyjny wartburga. Milicja powiadomi telefonicznie komendę ruchu drogowego w Warszawie i na rogatkach stolicy pan w ciemnych okularach zostanie zatrzymany, a jego wóz poddany będzie rewizji. Pięć złotych kielichów powędruje do milicyjnego depozytu aż do wyjaśnienia całej historii.

Ale sprawa przybrała zupełnie inny obrót.

— Uwaga! Zaraz dokonam cudu — usłyszałem głos panny Ali. — Hokus-pokus dominikus, abra kadabra magikus, jak zapewne mawia mistrz Cagliostro.

I panna Ala zaczęła manipulować gałkami na swoim pulpicie sterowniczym.

Tu należy się wam nieco dokładniejszy opis miejsca akcji, co pozwoli unaocznić całe wydarzenie. Otóż rzeka Bauda płynęła na tym odcinku dość głębokim korytem, podmywając wysoki brzeg. A właśnie na tym wysokim brzegu stał namiot Batury.

Zauważyłem na ekranie monitora, że obraz przesunął się, jak gdyby As nieco wychylił się z wody, pozostając jednak wciąż niedostrzegalnym dla Baturowej szajki, bo osłaniał go nie tylko namiot, ale i wysoki, podmyty przez rzekę brzeg. Raptem ujrzałem na ekranie dwie żelazne ręce Asa, trzymające pudełko Cagliostrowa. To samo pudełko, które wręczyłem Ali wraz z wypożyczonymi srebrnymi kielichami. Żelazne ręce Asa ostrożnie wsunęły się do namiotu Batury i po chwili powróciły również trzymając pudełko. Lecz jak nietrudno się domyślić, było to już pudełko ze złotymi kielichami.

— O Boże, co pani zrobiła najlepszego? — aż jęknąłem. — Niech pani zwróci im te kielichy. Ja je dostanę w inny sposób.

— Za późno — odrzekła Ala.

Rzeczywiście, było już za późno na powtórny zamianę pudełek. Oto Batura podniósł się ze swego miejsca za namiotem.

Ala szybko przesunęła jakąś dźwignię na pulpicie sterowniczym i As znowu zanurzył się głębiej w wodę, aby pozostać niezauważalnym. A Batura, zapewne chcąc się przekonać, czy kielichy są bezpieczne w namiocie, zajrzał do wnętrza. Potem wyjął z niego pudełko i wręczył je pośpiesznie mężczyźnie w ciemnych okularach.

— No, dość wypoczynku. Jedź do Warszawy — rozkazał mu.

Mężczyzna wzruszył ramionami, bo ten pośpiech wydawał mu się zbyteczny. Dopił szybko kawy, wziął z rąk Batury pudełko z kielichami i starannie zamknął je w bagażniku wartburga.

Z największym napięciem śledziłem ich ruchy. Bo przecież wystarczyłoby, aby znów zajrzeli do pudełka. Ale nawet im przez myśl nie przeszło, że zamiast złotych, kryją się w nim już tylko srebrne kielichy. Obóz Batury stał na pustkowiu, w pobliżu nie było żadnego człowieka. Chyba tylko ptak mógłby niezauważalnie zbliżyć się do namiotu.

— Sprzątnęliśmy Tomaszowi pięć złotych kielichów — wciąż zachwycał się Waldemar Batura. — A teraz jeszcze zamienimy rubiny i możemy spokojnie wracać do domu. Od dawna nie miałem tak wspańskiego łupu. Gra warta była świeczki, prawda?

— Tak jest — przytaknęli panna Anielka i młodzieniec.

Ala zdecydowała, że nadeszła pora, aby przywołać Asa. Patrząc na ekran monitora i kręcąc gałkami na pulpicie sterowniczym, wycofała Asa z ujścia Baudy. Widziałem na ekranie całą powrotną drogę Asa, jak z mozołem, ale wytrwale maszerował korytem rzeki, a potem wspiął się na brzeg i wolno kroczył przez las w stronę baraku.

Wreszcie na ekranie ukazała się brama ośrodka doświadczalnego i zaszczekał elektronowy pies. Ala przycisnęła guzik i otworzyła bramę. As zajechał pod barak. Jeszcze chwila i żelazne ręce Asa wyjęły tekturowe pudełko z kielichami i położyły je na progu baraku.

— Niech pan je zabierze — powiedziała Ala. — I odda dyrektorowi Marczakowi. Ma pan teraz dowód, że obrabowano schowek.

Wyskoczyłem przed barak, pokłoniłem się żelaznemu Asowi, chwyciłem pudełko i wniosłem je do baraku. Otworzyłem pudełko i kolejno, z namaszczeniem, zacząłem wyjmować z niego złote kielichy.

— Pobiła ich pani ich własną bronią — stwierdziłem, — Oni zamienili kielichy i pani dokonała zamiany. Wet za wet, jak to się mówi.

Panna Ala okazała niezwykłą skromność.

— To As, nie ja. Asa zaś skonstruował profesor, którego jestem asystentką, podobnie jak i inżynier Zegadło. Powinien pan uściskać Asa za to, co zrobił.

— Tak? — zastanawiałem się. I pomyślałem o stalowych rękach Asa. — Już wolę panią uściskać, panno Alu...

To mówiąc ucałowałem ją w oba policzki. Panienka zarumieniła się i nawet bąknęła, że zawoła Asa na swoją obronę.

— Do czego służy wasz As i jakie przeprowadzacie z nim doświadczenia? — zapytałem wreszcie o to, co mnie ciekawiło od samego początku.

— Pracuję w Zakładzie Automatyki, czyli jak sama nazwa wskazuje, zajmujemy się budową przeróżnych automatów. Jednym z nich jest właśnie As. Do czego ma służyć? Do wielorakich czynności. Będzie pracować tam, gdzie dla człowieka praca jest zbyt niebezpieczna, na

przykład na terenie radioaktywnym. W przyszłości, być może, automaty podobne do Asa, ale jeszcze doskonalsze, polecą zamiast ludzi na inne planety, aby tam dokonywać badań. Prototyp tego automatu trzeba było wypróbować w najróżniejszych warunkach terenowych i dlatego tutaj go przywieźliśmy. Oto i cała tajemnica. Zresztą, pracujemy również nad innymi automatami. Niektóre z nich mogą się przydać i dla was, muzealników, dla zabezpieczenia sal muzealnych. Mamy tu na przykład automatyczny zamek, który można otwierać i zamykać przy pomocy fotokomórki albo nawet fal radiowych. Wystarczy ten zameczek przymocować do drzwi...

I pokazała mi niewielki automatyczny zamek, który bardzo mnie zainteresował. Ten zamek mógł się rzeczywiście przydać do zabezpieczenia sal muzealnych przed kradzieżami. Przecież nie brakowało na świecie złodziei gotowych zdobyć bezcenne dzieła sztuki, które posiadały nasze muzea.

A potem panna Ala odprowadziła mnie aż do bramy ośrodka doświadczalnego.

Poszedłem ścieżką przez las, radośnie podskakując i wesoło gwizdząc.

Kraina Asa nie wydawała mi się już straszliwa, ale przyjazna, pełna cudów nowoczesnej techniki.

Od czasu do czasu wybuchiałem śmiechem. Wyobrażałem sobie minę młodzieńca w ciemnych okularach, gdy po przyjeździe do Warszawy otworzy tekturowe pudełko i zobaczy pięć srebrnych kielichów. Co wtedy zrobi? Czy Batura uwierzy młodzieńcowi? A może oskarży go o próbę oszustwa?

Niczego bardziej nie życzyłem sobie, jak kłótni między złoczyńcami. I myśl o wzajemnych oskarżeniach, którymi siebie obrzuca, napawała mnie tryumfem.

W pewnej chwili przystanąłem na ścieżce i pięścią pomachałem groźnie w kierunku obozowiska Batury.

— Poczekaj! Na tym jeszcze nie koniec! — zawołałem.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

TAJEMNICA TEKTIKOWEGO PUDEŁKA · DYREKTOR MARCZAK I BIUROKRACJA · KŁOPOTY Z PROTOKOŁEM · WSZYSTKIEMU WINNA JEST JEDNA ŚWIECZKA · JAK ROBI SIĘ SZTUKI MAGICZNE · DZIWIY Z PAPIEROSEM I MLEKIEM · SZTUCZKA Z GAZETĄ · REKWIZYTY CAGLIOSTRA · CO KRYŁ IRCHOWY WORECZEK · MOJE PRZEDSIĘWZIĘCIE · ZOSTAJĘ JASNOWIDZEM

Zapukałem do drzwi pokoju dyrektora Marcza, i gdy usłyszałem tubalne „proszę”, wszedłem do wnętrza i z niezwykłą dumą postawiłem na stole pudełko z kielichami.



— No, nareszcie pan je przywiózł — stwierdził gderliwie dyrektor. — Pana nieobecność trwała tak długo, że musiałem odprawić konwojenta i zrezygnować dzisiaj z wysyłki skarbu. Pociąg do Warszawy już odszedł.

— To nic — uśmiechnąłem się. — Czas działał na moją korzyść. Niech pan zajrzy do tego pudełka...

— Po co? Przecież chyba nie zamienił pan srebrnych kielichów na gliniane? Dostyc już na nie się napatrzyłem. A właściwie, w jakim celu pan je ode mnie pożyczył?

— Niech pan jednak zajrzy do pudełka — prosiłem przymilnie.

Dyrektor Marczak ostrożnie podszedł do postawionego na stole pudełka.

— A nie wyskoczy z niego wąż albo królik? — upewniał się.

— Nie.

— Ech, czuję, że zgubi mnie kiedyś nadmierne zaufanie, jakim pana obdarzam — westchnął dyrektor Marczak i z największą ostrożnością otworzył pudełko.

Oczy rozszerzyło mu ogromne zdumienie. Zatrzepotał powiekami, a potem wyjąkał:

— Ależ to złote kielichy!...

— I wysadzone drogimi kamieniami. Szafiry i opale, drogocenne mszalne kielichy bardzo starej roboty.

Dyrektor Marczak zmarszczył czoło i ściągnął brwi w srogię marsa.

— Co to ma znaczyć, panie Tomaszu?

— Chciał pan mieć dowód. I to jest dowód, panie dyrektorze. W skrytce były złote, a nie srebrne kielichy.

Dyrektor tupnął nogą.

— Nieprawda. W skrytce były srebrne kielichy. Tak zostało zapisane w protokole.

Nie mógł się jednak powstrzymać, aby nie wyjąć kielichów, nie obejrzeć ich.

— Są piękne. Cudowne — zachwycał się, głaszcząc je pieszczotliwie dłonią. — Bardzo stara, wspaniała robota. A jakie cudowne kamienie.

Lecz po chwili spojrzał na mnie surowo.

— Gdzie są nasze srebrne kielichy?

— Zamieniłem je na złote — odrzekłem z niewinną miną.

— Co takiego? — oburzył się dyrektor. — Kto panu pozwolił zamieniać?

— Myślałem, że tak będzie lepiej dla naszego departamentu. Zawsze co złote, to złote, panie dyrektorze.

I opowiedziałem dyrektorowi, w jaki sposób dokonana została zamiana srebrnych kielichów na złote. Rzecz jasna musiałem zdradzić tajemnicę Krainy Straszliwego Asa, opowiedzieć o Ali i o mojej z nią znajomości.

Dyrektor Marczak słuchał uważnie. A gdy skończyłem, powiedział cicho:

— Czy pan wie, co w świetle prawa pan uczynił?

— Odzyskałem społeczną własność i zwróciłem złodziejom ich własność — rzekłem.

— Nie. Pan ich okradł. Dokonał pan bez ich zgody zamiany złotych kielichów na srebrne. To się nazywa kradzież, panie Tomaszu. I ja tego faktu nie mogę przyjąć do wiadomości.

— Dlaczego? Przecież te złote kielichy pochodzą z drugiego schowka Koeniga.

— Musiałby to pan udowodnić. Przeciw złoczyńcom należało wprzód podjąć śledztwo. To władze śledcze i sądowe powinny były nam zwrócić złote kielichy, a nie pan. W świetle prawa jest pan złodziejem, czy pan to nareszcie zrozumiał? I co ja teraz mam począć z tym fantem?... — spojrzał z rozpaczą na złote kielichy. — Przecież w protokole mam napisane, że w skrytce Koeniga znaleźliśmy pięć srebrnych kielichów. I pan sobie wyobraża, że ja mogę teraz przywieźć do skarbcza Muzeum Narodowego pięć złotych kielichów zamiast srebrnych?

— W takim razie zabiorę te złote kielichy, pójdę do Waldemara Batury i postaram się polubownie załatwić tę sprawę. Dam mu złote, a on chyba zgodzi się zwrócić nam srebrne...

I wziąłem ze stołu pudełko ze złotymi kielichami. Ale dyrektor Marczak zerwał się z krzesła jak młodzieniaszek. Chwycił pudełko i wyrwał je z moich rąk.

— Co to, to nie, panie Tomaszu. Za takiego głupca niech mnie pan nie uważa. Te złote kielichy są skarbem kultury narodowej.

To mówiąc dyrektor Marczak położył dłoń na pudełku i stwierdził z namaszczeniem:

— Rekwiruję je w imieniu polskich muzeów. Co zaś do tego protokołu — dodał z chytrym uśmiechem — to myślę, że jakoś się wytłumaczymy. W krypcie było ciemno, świeczka dawała skąpe światło i mogła się zdarzyć pomyłka. Lepiej przyznać się do pomyłki niż brnąć dalej w tej sprawie. No, trudno, panie Tomaszu, omyliliśmy się. Wydawało się nam, że znaleźliśmy kielichy srebrne, lecz jednak, jak dodam w dopisku do protokołu: „Przy bliższych oględzinach okazało się, że srebrne kielichy są ze złota i wysadzone szlachetnymi kamieniami”.

— Co takiego? — oburzyłem się. — Ależ to kompromitacja. Co pomyślą ci, którzy będą czytać ten protokół? Że nie umiemy odróżnić srebra od złota. Moja sława rzeczoznawcy dzieł sztuki zostanie w ten sposób narażona na szwank. Protestuję przeciw takiemu wyjściu z sytuacji.

Ale dyrektor Marczak nawet mnie nie słuchał. Wyciągnął z kieszeni protokół i zrobił na nim dopisek, który następnie kazał mi uwierzytelnić moim podpisem.

— Tak jest — zacierał ręce. — W krypcie było ciemno i dlatego nastąpiła omyłka. A jednak przy bliższych oględzinach kielichy srebrne okazały się złote.

Zgnębiony złożyłem podpis pod dokumentem.

— Trudno, panie Tomaszu — wzdychał obłudnie dyrektor. — Errare humanum est, czyli błądzenie jest rzeczą ludzką. Innymi słowy, omyliliśmy się, ale w porę wybrnęliśmy z błędu. Lecz na przyszłość — huknął na mnie groźnie — na przyszłość, powiadam, żądam dowodu winy złoczyńców. Mam też nadzieję, że jako lojalny obywatel uda się pan natychmiast na posterunek MO i przyzna się do zamiany kielichów na złote, i opowie pan o okolicznościach tej sprawy.

— Tak jest. To oczywiste — przytaknąłem.

A on tymczasem wyszedł na chwilę ze swego pokoju i po chwili wprowadził magistra Pietruszkę.

Złote kielichy znajdowały się w tekturowym pudle na stole, więc Pietruszka nie mógł ich zauważyć, i nie wiedział, w jakiej sprawie sprowadził go dyrektor Marczak.

— Proszę usiąść — na wszelki wypadek doradził dyrektor Pietruszce. — I niech pan mnie wysłucha bardzo uważnie, albowiem sprawa, którą panu wyłuszczę, jest natury nader delikatnej.

— Rozumiem — kiwnął głową Pietruszka i zrobił bardzo poważną minę.

Dyrektor zaś mówił dalej:

— Jak pan wie, Tomasz poprosił mnie o zezwolenie na dokładniejsze zbadanie pięciu odnalezionych w schowku kielichów...

— To było niepotrzebne — rzekł szybko Pietruszka. — Obejrzałem je i stwierdziłem, że nie przedstawiają większej wartości. Ot, zwykłe srebrne kielichy z końca ubiegłego wieku...

— Hm — chrząknął groźnie dyrektor niezadowolony z wypowiedzi Pietruszki. — Niech mi pan nie przerywa, tylko słucha uważnie, panie magistrze. Sprawa bowiem, że tak powiem, jest wagi państwowej. Otóż, jak pan sam wie, Tomasz wypożyczył ode mnie te kielichy i po dokładnie przeprowadzonych badaniach naukowych stwierdził ku swojemu i mojemu zdziwieniu, że kielichy te są ze złota, wysadzane drogimi kamieniami.

— Co takiego?! — Pietruszka zerwał się z krzesła.

— A tak, panie magistrze — powtórzył dyrektor. — Są ze złota, co tym większego dodaje panu splendoru jako odkrywcy schowka Koeniga.

I dyrektor Marczak sięgnął do pudła. Wyjął pięć złotych kielichów i postawił je na stole tuż przed nosem ministra Pietruszki. A ten patrzył na nie zbaraniały ze zdumienia.

— Są ze złota. Rzeczywiście... — mrucał do siebie. — I mają szlachetne kamienie...

Wreszcie nie wytrzymał i krzyknął piskliwie:

— Ależ to nie te same kielichy! Tamte były ze srebra!

Dyrektor Marczak spojrział na niego groźnie.

— Ze srebra, pan powiada? I w dalszym ciągu brnie pan w popełnioną pomyłkę?

— Nic z tego nie rozumiem — szepnął magister Pietruszka, trochę przerażony groźnym tonem dyrektora.

— Wyjaśnię panu tę pomyłkę — łaskawie powiedział dyrektor Marczak. — W krypcie paliła się tylko jedna świeca, prawda?

— Tak...

— A więc było mroczno.

— Tak jest.

— Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że w krypcie było niemal zupełnie ciemno.

— Tak jest.

— A więc w takich warunkach nietrudno się omylić. Sądziliśmy, że w krypcie znaleźliśmy pięć srebrnych kielichów. Ale przy dokładniejszych oględzinach okazało się, że są ze złota i wysadzone drogimi kamieniami.

Magister Pietruszka zamyślił się. A po chwili powiedział:

— Wydaje mi się, że pan dyrektor ma rację. Z powodu tych ciemności kielichy wydały się nam srebrne, choć były złote.

— Co zostało uwzględnione w dopisku do protokołu — dodał szybko dyrektor i podsunął protokół Pietruszce. — Proszę tu więc podpisać, panie magistrze.

Pietruszka złożył zamaszty podpis pod notatką do protokołu. A potem odetchnął głęboko, z ogromną ulgą.

— W ten sposób — stwierdził — odpadają wszelkie podejrzenia, jakoby ktoś uprzednio zrabował coś ze skrytki. Wyznaję, że myśl o tych srebrnych kielichach nie dawała mi spokoju. Bo po jakie licho pułkownik Koenig chowałby do skrytki srebrne, małowartościowe kielichy? Tę sprawę udało się wyjaśnić naszą pomyłką i jestem z tego powodu bardzo zadowolony.

Zdawałem sobie sprawę, co w głębi duszy myśli o tym wszystkim magister Pietruszka. Było dla niego oczywiste, że złote kielichy pochodziły ze skrytki Koeniga i że zostały zamienione na srebrne, które on odnalazł. Jego zarozumiałstwo nie dopuściło jednak do niego myśli, że schowek został obrabowany przez Baturę, a on sam, dzięki Baturze, trafił na ślad schowka. Sądził raczej, że to ja dokonałem zamiany kielichów złotych na srebrne, dyrektor Marczak przyparł mnie do muru i wtedy zwróciłem złote kielichy. Dyrektor zaś, ze względu na słabość, jaką miał do mnie, chciał całą tę sprawę zatuszować i dlatego wprowadził poprawkę do protokołu.

Obrażały mnie podobne podejrzenia. Ale przecież gra z Waldemarem Baturą nie była jeszcze skończona. Wiedziałem, że w końcu musi wyjść na jaw moja uczciwość i że przekonam o niej magistra Pietruszkę. Miałem też nadzieję, że zdołam mu unaocznic fakt, że stał się igraszką w rękach sprytnego złoczyńcy.

Mimo to jednak miałem uczucie niesmaku. Opuściłem pokój dyrektora Marczaka i pomaszerowałem na posterunek MO.

Przyjął mnie komendant posterunku, porucznik Judziński, czterdziestoletni mężczyzna, chudy i bardzo wysoki. Jego długie nogi wystawały zza biurka.

— Przyszedłem się przyznać do kradzieży — oświadczyłem na wstępie.

Zlustrował mnie jednym spojrzeniem, ale wbrew moim oczekiwaniom, nie okazał zbyt wielkiego zaciekawienia.

— Proszę, niech pan spocznie — wskazał mi krzesło przed swoim biurkiem — Kogo i kiedy pan okradł?

— Okradłem złodzieja. Zabrałem mu skradzione przez niego złote kielichy i oddałem mu srebrne, które do niego należały.

— Ach tak... — mruknął porucznik. — Innymi słowy, zwrócił mu pan jego własność. To nie jest karalne, proszę pana. To nawet jest chwalebne, zwracać ludziom ich własność. Między innymi i my to czynimy.

— Ale ja to zrobiłem wbrew jego woli.

— No tak... To zmienia postać rzeczy — stwierdził. I spojrzał na mnie pytająco.

Opowiedziałem mu o sprawie monet, o schowkach Koeniga, o srebrnych i złotych kielichach. Słuchał uważnie, notował pilnie. Na zakończenie powiedziałem:

— Dyrektor Marczak, mój zwierzchnik, uważa, że niezależnie od dobrych intencji, jakie mną kierowały, popełniłem jednak kradzież, zabierając złote kielichy, a podkładając srebrne. Jednym słowem, okradłem złodzieja i przyszedłem tu, aby wyznać swoją winę.

— Hm — zastanowił się porucznik. A po chwili rzekł: — Dyrektor Marczak ma rację ze swojego punktu widzenia. Ale widzi pan, dla nas fakt kradzieży istnieje o tyle, o ile z jednej strony mamy tego, który ukradł, i osobę prywatną albo instytucję, która została okradzona. W

pana przypadku zgłosił się do nas człowiek, który stwierdza, że ukradł. A czy istnieje również i ten, który został okradziony?

— Waldemar Batura — odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

— Czy jest pan pewien, że gdy zwrócimy się do owego Batury z pytaniem, czy został okradziony ze złotych kielichów, potwierdzi to?

— Nie. On kupił srebrne kielichy. A złote ukradł. Przecież nie przyzna się do kradzieży.

— Innymi słowy: brakuje drugiego elementu. A nie ma złodzieja, gdy brakuje okradzonego i przedmiotu, który był obiektem kradzieży. Skoro Batura nie potwierdzi, że został okradziony ze złotych kielichów, pan nie jest złodziejem. I pomińmy tę sprawę. Zgoda?

— Tak — odetchnąłem z wyraźną ulgą.

— A teraz powiem panu krótko: źle pan postąpił. Bardzo źle. Wprawdzie odzyskał pan złote kielichy, lecz zarazem zataił pan wszelkie ślady dokonanego przez Baturę przestępstwa. Pana zeznanie, jak również zeznanie owej panny Ali, o tym co widzieliście na ekranie monitora telewizyjnego, nie może być dowodem w sprawie o obrabowanie drugiego schowka.

— Więc przestępca ta kradzież ujdzie na sucho? — oburzyłem się.

— O nie, proszę pana — pokręcił głową porucznik. — Zajmiemy się tym osobnikiem. Ale aby go aresztować, musimy schwytąć go na gorącym uczynku. Jak pan sądzi: czy Batura będzie usiłował obrabować trzeci schowek?

— Tak. Szczególnie, skoro stracił złote kielichy. Ja zresztą już wiem, gdzie jest trzeci schowek — powiedziałem z dumą. — Jeszcze dziś poinformuję o tym magistrza Pietruszkę, otworzymy schowek, zabierzemy z niego skarby, uprzedzając w tym Baturę.

Porucznik podniósł do góry rękę, jak milicjant zatrzymujący samochód.

— Chwileczkę, proszę pana. Niechże pan nie będzie w gorącej wodzie kąpany.

— Czy ma pan jakiś pomysł? — zapytałem.

— O tak. Nawet kilka. Proszę mieć do nas zaufanie i nie robić nic bez porozumienia z nami. A teraz przystąpmy do dokładnego omówienia tej sprawy.

Narada trwała dość długo. Gdy ją zakończyliśmy, byłem już porządnie zmęczony. Wróciłem do swego pokoju w schronisku, a nie zastawszy tam Cagliostro, dla odprężenia zająłem się lekturą książki o sztukach magicznych.

Dlaczego zainteresowała mnie ona? Nie, nie zamierzałem stać się iluzjonistą. Wiedziałem przecież, że trików magicznych trzeba uczyć się całymi tygodniami, a niekiedy przez całe lata. Chciałem jednak poznać tajemnicę Cagliostro, wydawało mi się, że w ten sposób może zdołam w ostatecznej rozgrywce z Baturą uchronić się przed wieloma niespodziankami.

Sztuczki z wyciąganiem myszy i zaskrońca z kieszeni z własnych i cudzych polegały jedynie na zręczności palców i umiejętności odwracania uwagi tego, który się miał stać obiektem sztuczek. Czy każdy, nawet długo ćwicząc, potrafi w sposób niedostrzegalny dla otoczenia wsadzić komuś do kieszeni mysz i węża? Nie, nie wiercie w to. Uprawianie tego rodzaju sztuk wymaga specyficznego talentu. Powiem więcej: wymaga swoistego artyzmu. Rzecz przecież polega na tym, aby zachowując niezwykle opanowanie, odwrócić uwagę od własnych palców i ruchów, uśpić czujność przeciwnika, skierować jego uwagę w zupełnie innym kierunku.

Jak wyjąć kilka papierosów z kieszeni człowieka, który nie pali i nie posiada ich przy sobie? W jaki sposób Cagliostro znalazł papierosy w kieszeni Baški?

Okazuje się, że Cagliostro miał w swej kieszeni małe płaskie pudełeczko z falistej blachy, tak skonstruowane, że kciukiem można z niego było po kolei wysuwać papierosy. Sztuka ta także polegała na zręczności i odwróceniu uwagi patrzących. Najpierw iluzjonista demonstruje swoje puste ręce, potem zabiera się do rozchylenia kieszeni poddającego się sztuczce. W tym czasie musi błyskawicznie sięgnąć do własnej kieszeni, wyjąć z niej płaskie pudełeczko i jak się to mówi w języku iluzjonistów „palmować” je w swej dłoni. Palmować, to znaczy ułożyć wśród palców. Potem już sztuka jest łatwa. Uwaga patrzących skierowana jest na kieszeń, w której grzebie iluzjonista. Wsadzając rękę do kieszeni, iluzjonista jednocześnie wypycha kciukiem papieros z pudełeczka, a potem go wyjmuje i demonstruje.

Ba, można nawet chwytać z powietrza palące się już papierosy. Ale papierosy w pudełku muszą wtedy być zapalone. Iluzjoniści robią to zazwyczaj w czasie seansów, gdy mają do dyspozycji asystenta.

A sztuka z wodą, która zniknęła w gazecie? Gazeta jest spreparowana. Między jej strony został wklejony plastikowy, płaski woreczek. Gdy iluzjonista kartkuje tygodnik, nikt nie jest w stanie dostrzec woreczka, ponieważ oklejają go dwie strony tygodnika. Potem iluzjonista zwija tygodnik w rulonik, jednocześnie rozchylając brzegi woreczka. Wlewa wodę nie do gazety, a do woreczka. Wytrząsa... confetti, które są w drugim wklejonym między kartki płaskim woreczku.

Jakże prosta okazała się sztuczka z liczeniem monet. Tajemnicę kryła taca, na którą z woreczka kazał mi Cagliostro wykladać monety. Taca miała podwójne dna z przegródkami, gdzie leżało jeszcze kilka dodatkowych monet. Wysypując z tacy pieniądze do woreczka, Cagliostro jednocześnie wysypywał monety z przegródek. I stąd w woreczku znalazło się potem więcej monet.

Leżałem na łóżku w swoim pokoju i aż do późnego popołudnia czytałem o sztukach z pałeczką magiczną, o sztukach ze sznurkiem, z kartami, z ukazującymi się i nagle niknącymi gołębiami i królikami. Większość tych sztuczek polegała na zręczności, inne jednak wymagały specjalnych rekwizytów, stoliczków z zapadniami i ukrytymi szufladkami.

„Ciekawe — pomyślałem — czy Cagliostro ma takie rekwizyty?”. Podniosłem się z łóżka i przykleknąłem przy łóżku Cagliostro. Wyciągnąłem spod niego tekturowe pudełko.

I co odkryłem?

Składany miniaturowy stolicek miał szufladę ukrytą pod blatem. Szuflada posiadała dwie przegródki, a blat — zapadnię. Znalazłem dzbanki o podwójnym dnie, przezroczyste garnuszki tak skonstruowane, że jeden wchodził w drugi. Znalazłem kilka przedziwnych szkatulek o podwójnym dnie, o ściankach otwierających się za pociśnięciem niedostrzegalnej sprężynki.

I właśnie gdy oglądałem jedną z takich szkatulek i przycisnąłem sprężynkę, nieoczekiwanie otwarło się podwójne dno i na podłogę wypadł irchowy woreczek. Było w nim... dziesięć rubinów.

Tak, dziesięć fałszywych kamieni, jakich pełno na wystawach sklepów Jubilera. Żaden z nich nie kosztował więcej niż kilkaset złotych.

A mnie aż mrowie przeszło po karku. To były przecież rubiny, które Batura zamierzał podłożyć na miejsce szlachetnych kamieni w trzecim schowku Koeniga. Czyżby więc Batura znał drogę do trzeciego schowka? A może tylko zaopatrzył się w fałszywe kamienie na wszelki wypadek?

Oglądałem fałszywe rubiny i mrowie powoli ustępowało z mojego kręgosłupa. Nagle roześmiałem się cichutko.

Schowałem kamienie do woreczka, a woreczek odłożyłem do szkatułki. Potem wszystkie pudełka starannie wsunąłem pod łóżko Cagliostro.

Książkę o sztukach magicznych schowałem pod poduszkę i wesoło pogwizdując, opuściłem pokój.

Czas do kolacji wypełniły mi liczne zajęcia. Najpierw złożyłem wizytę kościelnemu, którego długo przekonywałem o swojej niewinności. Wydaje mi się, że wyjaśnienia te osiągnęły swój cel. Zdobyłem nawet jego zaufanie do tego stopnia, że gdy potrzebą obejrzenia warowni dla opracowania przewodnika uzasadniłem swą prośbę o klucze do kopernikowskiej wieży i do innych pomieszczeń warowni fromborskiej — udostępnił mi je.

Odwiedziłem znowu posterunek MO, jeszcze później znowu zjawiłem się w swoim pokoju i po krótkiej chwili go opuściłem. Oddałem klucze kościelnemu i wtedy dopiero udałem się na kolację.

Dyrektor Marczak posilał się w towarzystwie Pietruszki, który miał minę bardzo markotną. Marczak klarował mu coś, co budziło niezadowolenie magistra.

— Właśnie radzę koledze Pietruszce — wyjaśnił mi Marczak, gdy pozwoliłem sobie dosiąść się do ich stolika — aby połączyć umiejętności detektywistyczne was obu, moi panowie. I szybko zakończyć sprawę poszukiwań schowków Koeniga.

— Jestem gotów — odrzekłem.

— A ja się nie zgadzam, panie dyrektorze. Odnalazłem dwie skrytki bez niczyjej pomocy i odnajdą trzecią. Niech mi pan tylko pozostawi kilka dni czasu.

Dyrektor Marczak skrzywił się z niechęcią.



— Obowiązki dyrektorskie wzywają mnie do Warszawy, a chciałbym być przy otwarciu trzeciego schowka. Czuję, że Tomasz jest już na jakimś tropie...

— Nie chcę słyszeć o żadnych tropach Tomasza — Pietruszka aż zasłonił sobie dłońmi uszy.  
— Czy zawiodłem pana nadzieje, dyrektorze? Czy nie odkryłem dwóch skrytek? Niech mi pan da jeszcze trochę czasu i wolną rękę.

— No, trudno — westchnął Marczak. — Skoro pan się tak upiera...

Powiedziałem w głębokim zamyśleniu, patrząc w sufit jadalni:

— Wydaje mi się, że mój kolega Pietruszka już następnej nocy odnajdzie trzeci schowek Koeniga...

— Skąd wiesz, że już wkrótce dokonam odkrycia? — zdumiał się Pietruszka.

— Czy jest pan może jasnowidzem? — podejrzliwie zerknął na mnie dyrektor Marczak.

— Czasami posiadam dar przewidywania przyszłości. I oto widzę... — mówiłem wciąż patrząc w sufit — ...oto widzę, jak magister Pietruszka odkrywa jutrzejszej nocy skrytkę pułkownika Koeniga.

— To niemożliwe! — burknął Pietruszka zdenerwowany słowami, które brał za kpinę. — Nie jestem w ogóle na tropie do skrytki.

— Ale będziesz. Wkrótce trafisz na trop — oświadczyłem zdecydowanie.

I aż do końca kolacji, chociaż zasypywali mnie pytaniami, nie odezwałem się ani słowem na ten temat.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

DYREKTOR MARCZAK GNIEWA SIĘ · OKO W OKO Z WROGIEM · DŻENTELMENI I PRZECIWNICY · CZEGO POTRZEBUJE DETEKTYW · O MUZEACH SŁÓW KILKA · W JAKI SPOSÓB PIETRUSZKA ZOSTAŁ GENIUSZEM · O POTRZEBIE KAMIENIA FILOZOFICZNEGO · PIERWSZA KLĘSKA WALDEMARA BATURY · PROSZĘ O POMOC

Nad Zalewem Wiślanym zachodziło słońce. Czerwona ogromna kula kryła się za lasy porastające fromborskie wzgórza, które od zachodu zamykały horyzont i wchodziły w wody zalewu. Po rozfalowanej toni rozplýwała się struga amarantowego blasku, białe mewy przysiadły na czubkach fal i kołysały się na nich jak na huśtawkach. Wzdłuż mierzei płynął biały statek pasażerski i z daleka przypominał ogromnego łabędzia, który ukrył głowę pod skrzydło.

Chłodny wiatr przynosił zapach morza i morskich wodorostów, szumiały cicho trzciny przybrzeżne, przy kamienistym moło na przystani kłębiła się biała piana.

W taki wieczór dyrektor Marczak zaprosił mnie na spacer do przystani.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Przywędrowaliśmy aż na koniec falochronu, do niewielkiej latarni morskiej. Tam, patrząc w stronę dalekiej i ledwie rysującej się mierzei, dyrektor zagadał do mnie:

— Czy nie sądzi pan, Tomaszu, że powinienem we Fromborku pozostać aż do jutra?

— Tak mi się wydaje, panie dyrektorze — odrzekłem uprzejmie.

— I jutrzejszej nocy Pietruszka odkryje trzeci schowek?

— Tak, panie dyrektorze.

— Jasnowidztwo, he? Bo przecież nawet on sam jeszcze o tym nie wie.

— Ale ja o tym wiem.

— Znałem pewnego osobnika, który mówił w podobny sposób. Nazywał się mistrz Pyfello. Przed wojną ogłaszał się w gazetach jako jasnowidz i chiromanta. Czy pan, Tomaszu, broń Boże, umie wróżyć także z ręki?

— Nie posiadam żadnych nadprzyrodzonych zdolności. Po prostu do tej pory Waldemar Batura przewidywał każdy mój ruch i potrafił mu przeciwdziałać. I dlatego aż trzy razy przegrałem. Teraz jednak to ja wiem, jakie on poczyni kroki, ba, postanowiłem je nawet sprowokować.

— Czy mógłby mnie pan wtajemniczyć?

— Nie, panie dyrektorze.

— Nie ma pan do mnie zaufania?

— Och, nie o to chodzi. Lękam się, że nie zezwoliłby mi pan na pewne posunięcia, a bez nich nie będę mógł dostarczyć panu dowodu winy Batury. Poza tym, nie mogę sobie odmówić przyjemności zobaczenia wyrazu pana twarzy, gdy wreszcie dobierzemy się do trzeciego schowka Koeniga.

— Ach tak? — oburzył się dyrektor. — Pragnie pan zabawić się moim kosztem? A to wszystko jest nagrodą za to, że staram się pana raz po raz wybawić z przeróżnych kłopotów. Dobrze mi tak... Nie będę pana pytał o nic więcej.

Rozsierdzony dyrektor zrobił jeszcze jeden krok w kierunku wody i nieomal zsunął się w toń po betonowym falochronie. W porę jednak chwyciłem go za ramię, ratując przed przymusową kąpielą. Spojrzał na mnie z wdzięcznością, ale powiedział z groźbą w głosie:

— Nic mnie nie obchodzą pańskie matactwa w sprawie skarbów Koeniga. Od jutra zajmujemy się przewodnikiem po Fromborku. Nie przyjechaliśmy tu po to, by wdychać morskie powietrze.

Po czym zaprosił mnie na kawę do pobliskiej kawiarni portowej.

Dochodziliśmy do drzwi kawiarni, gdy podjechał tam czerwony mustang, a w nim — Waldemar Batura i panna Ala.

— Ach, co za miłe spotkanie! — z obłudną radością zawołał Waldemar Batura. — Czy dzieje się we Fromborku coś aż tak bardzo ważnego, że nawet przyjechał tu dyrektor Marczak?

Dyrektor zmarszczył czoło udając, że nie rozpoznał, z kim ma do czynienia.

— Przepraszam, czy my się znamy? — zapytał.

— Tak, panie dyrektorze. W swoim czasie pracowałem nawet w pana departamencie.

— Ach, tak, przypominam już sobie. Był pan bardzo złym pracownikiem.

— Nieprawda, panie dyrektorze. Po prostu pensja wydawała mi się za mała. A potem spotkaliśmy się w pewnym starym dworze, gdzie kryły się skarby masońskie.

— Pamiętam — ponuro rzekł dyrektor. — Za włamanie się do dworu otrzymał pan karę z zawieszeniem.

— Tak jest — skłonił się grzecznie Waldemar Batura. — Albowiem to ja jestem ów słynny Waldemar Batura, geniusz zła, postrach muzealników, przebiegły handlarz antyków. To ja jestem tym człowiekiem, którym Tomasz straszy małe dzieci.

— I cóż pana sprowadza do Fromborka? — zapytał Marczak.

— To samo, co i pana, dyrektorze. Skarby Koeniga. Postanowiłem zająć się tą sprawą.

— Skarby Koeniga, he? — oburzył się Marczak, do żywego dotknięty bezczelnością Batury.

On zaś skłonił się uprzejmie i powiedział:

— A skoro łączy nas sprawa poszukiwań skarbów, możemy razem wypić po małej kawce.

— Nic nas nie łączy — rozsierdził się dyrektor. — Raczej wszystko nas dzieli. Zresztą, już jutro załatwimy tę sprawę definitywnie.

W tym momencie dyrektor z odrobiną strachu zerknął na mnie, bo pojął, że dał się pociągnąć za język i powiedział za dużo. Ale ja tylko przytaknąłem głową i stwierdziłem:

— Tak jest. Pojutrze opuścimy Frombork i pozostawimy tobie, Waldek, czas na poszukiwania.

— Innymi słowy, należy sądzić, że jutro odnajdziecie trzeci schowek? — zapytał Batura i trochę mu zredła mina.

Z czerwonego mustanga wysiadła również panna Ala. Zbliżyła się do mnie i szepnęła mi do ucha:

— Szłam pieszo do Fromborka i znowu spotkałam go na szosie. Podwiózł mnie, zaproponował kawę, więc przystałam, bo pomyślałam, że może coś z niego wyciągnę na temat trzeciego schowka.

— Rozumiem — kiwnąłem głową. — I cieszę się, że panią widzę. Będę się musiał poradzić pani w pewnej sprawie. Ale o tym później, zgoda?

Tymczasem dyrektor Marczak wspólnie z Baturą weszli już do kawiarni. Dogoniliśmy ich z Alą i zatrzymaliśmy się przy drzwiach na widok magistra Pietruszki, siedzącego przy stoliku w towarzystwie panny Anielki.

— Proszę, proszę uprzejmie — Pietruszka podniósł się z krzesła na widok dyrektora i Batury, zapraszając ich do stolika. Albowiem Pietruszka, który w naszym departamencie pracował dopiero od niedawna, nie znał osobiście Batury.

A Marczak zerknął na pannę Anielkę, potem obejrzał się na Alę i powiedział:

— Gratuluję wam dobrego gustu, moi panowie. Choć wyznaję, że wolałbym, abyście w dzień i w nocy, nawet w godzinach pozasłużbowych, myśleli jedynie o sprawach naszego departamentu.

Obsiedliśmy stół całą szóstką: Pietruszka, Anielka, Marczak, Batura, panna Ala i ja. Wkrótce na stoliku pojawiły się filiżanki z czarną kawą i duża taca z ciastkami. Potoczyła się też wesoła, swobodna rozmowa.

I chyba nikt, kto obserwowałby nas z boku, nie sądziłby, że siedzą tutaj wrogowie, którzy toczą zaciętą walkę. I że lada dzień, lada godzina, rozegra się między nimi decydująca bitwa.

Najpierw rozmawialiśmy o sprawach błahych, o pogodzie, o pięknie krajobrazu fromborskiego, o urlopach. Potem głos zabrał Batura i zaproponował:

— Wypijmy po łyku kawy na cześć niezwykłych sukcesów pana magistra Pietruszki. Jak wieść niesie, odnalazł on drugi schowek pułkownika Koeniga. Powiedział mi o tym mój znajomy, kościelny z fromborskiej katedry.

— Ach, to gaduła — skromnie uśmiechnął się Pietruszka. — Tak, to prawda. Udało mi się odnaleźć drugi schowek.

Panna Anielka wlepiła w Pietruszkę pełne zachwyty spojrzenie.

— Pan jest genialny, panie magistrze. Wiedziałam o tym od pierwszej chwili, gdy poznałam pana na fromborskiej plaży.

Pietruszka aż zarumienił się od komplementów.

— Ach, państwo przesadzają. Rzeczywiście, odniosłem pewien skromny sukces, ale Tomasz w swoim czasie odnosił jeszcze większe.

— Czyżby? — panna Anielka zapytała z powątpiewaniem w głosie. — Pan Tomasz wygląda na człowieka, którego łatwo wyprowadzić w pole.

— Albo wywieźć w stronę granicy — dorzucił Batura.

Tylko ja i Ala zrozumieliśmy dowcip Batury i dlatego roześmieliśmy się. Niekiedy lubię się śmiać z własnych błędów.

Nikt inny nie zwrócił uwagi na ten dowcip. Pietruszka był tak przejęty zachwyty panny Anielki, że czuł się duszą całego towarzystwa.

Zrobił poważną minę i rzekł:

— Niestety, czeka mnie jeszcze niezwykle trudne zadanie: muszę odnaleźć trzeci schowek.

Panna Ala zmrużywszy chytrze oczy, zwróciła się do magistra Pietruszki:

— Zawsze imponowali mi ludzie o talentach detektywistycznych. Ja sama jestem inżynierem i specjalizuję się w tak nieciekawej dziedzinie, jak automatyka...

„Masz ją, nieciekawa dziedzina” — pomyślałem, wspominając Asa i elektronowego psa. A ona ciągnęła dalej:

— Czy nie mógłby pan nam zdradzić, w jaki sposób dokonał pan swoich niezwykłych odkryć? Co było pana natchnieniem w tej sprawie?

Pietruszka uklonił się pannie Anielce i potem ostentacyjnie pocałował ją w rękę. Powiedział z emfazą:

— Podobnie jak poeta, również i każdy wybitny detektyw musi mieć swoją muzę. Dla mnie muzą była panna Anielka. To właśnie w jej towarzystwie, jakby pod jej uroczym wpływem, nagle przychodziły mi do głowy rozwiązania obydwu zagadek. Czy nie tak, panno Anielko?

— Tak — panna Anielka skinęła głową i znowu ujrzeliśmy zachwyty w jej oczach.

Pietruszka zaś wspominał szczęśliwe chwile.

— Pamiętam — mówił nam — że myśl o cmentarzu we Fromborku i o szyfrze, prowadzącym do grobu ze skarbami, przyszła mi do głowy na plaży, kiedy poznaliśmy się. Leżeliśmy w

słońcu na piasku, patrząc w stronę mierzei. Było gorąco, upalnie. Panna Anielka powiedziała, że pragnęłaby teraz być gdzieś w cieniu i że taki cienisty jest cmentarz we Fromborku. A potem panna Anielka zapytała, w jaki sposób na mapach oznacza się cmentarz.

— Tak powiedziałam — skinęła głową panna Anielka.

— A ja wówczas doznałem olśnienia. Bo przecież na planie Koeniga widniał prostokąt z krzyżykami. I wtedy od razu przyszło mi na myśl, że chodzi tu o fromborski cmentarz.

— A drugi schowek? — zapytała Ala.

— Spotkałem pannę Anielkę idącą przez podwórzec katedralny. Miała wystraszoną minę. Zapytałem, co się stało, i odrzekła, że zwiedzała podziemne krypty i zobaczyła tam Diabelski Obraz, który ją przeraził. „Diabelski obraz? — pomyślałem. — Ależ to Teufelsbild, czyli Teufelb z planu Koeniga”. I tak też było, proszę państwa.

Pokiwałem głową z pełnym zrozumieniem.

— Czasami — stwierdziłem — niezwykle przypadek potrafi dopomóc w dokonaniu genialnego odkrycia.

— Nie, to nie był przypadek — upierał się Pietruszka. — To była chwila natchnienia, którą zawdzięczam, pannie Anielce.

— Mam nadzieję — dorzuciłem — że to natchnienie nie opuści cię na drodze do trzeciego schowka.

Zapadło kłopotliwe milczenie, z którego wybawiła nas panna Anielka.

— Pan magister Pietruszka — powiedziała — chyba przecenia moją rolę w jego niezwykłych sukcesach. Ale to bardzo przyjemnie wiedzieć, że się jest czyjaś muzą. A pan? — zwróciła się do mnie. — Czy zdradzi nam pan, jakie są źródła pana sukcesów?

Wzruszyłem ramionami.

— Ostatnio nie miewam żadnych sukcesów. Wiem jednak, jakie są tego przyczyny.

— Brakuje panu muzy — rzuciła wesoło panna Anielka.

Pietruszka, który zapragnął mnie ostatecznie pogłębić w oczach towarzystwa, powiedział:

— W istocie, Tomasz nie ma ostatnio sukcesów jako detektyw. Ale w dziedzinie rzeczoznawstwa okazał się wprost niezwykły.

— Naprawdę? — udał zdumienie Batura.

— A tak. Proszę sobie wyobrazić, że w drugim schowku Koeniga znaleźliśmy pięć kielichów. Z początku sądziliśmy, że to są srebrne kielichy...

— I co? I co? — dopytywał się Batura.

— Teraz jednak, gdy wziął je do swych rąk nasz Tomasz i obejrzał dokładnie, okazało się, że odnaleźliśmy nie srebrne, ale złote kielichy, wysadzone szlachetnymi kamieniami.

W twarzy Batury dostrzegłem wyraz podejrzliwości, który wkrótce przerodził się w niepokój.

— Czy to wszystko jest prawdą, panie dyrektorze? — zwrócił się do dyrektora Marczaka.

Marczak odchrząknął głośno. Potem wyjął chusteczkę i zatrąbił w nią głośno, jakby nagle poczuł, że ma katar...

— W krypcie grobowej było bardzo ciemno — wyjaśnił. — Dlatego odnieśliśmy mylne wrażenie, że znaleźliśmy srebrne kielichy. Potem Tomasz stwierdził, że są ze złota.

Batura zasępił się. Nietrudno było odgadnąć, co działo się w jego głowie i jakie krążyły w niej myśli. Od tej chwili milczał, zerkając ku mnie podejrzliwie.

Czułem, jak Ala trąca mnie pod stołem kolanem. Bardzo się nam chciało śmiać. Tyle że nie wolno nam było tego zrobić.

Tymczasem magister Pietruszka, któremu ogólne zainteresowanie i uwaga pań zawróciły w głowie, zaczął znowu głośno perorować na mój temat.

— Tomasza — mówił — opuściły muzy. Brakuje mu natchnienia. On, który odnalazł skarby dziedzica Dunina, pamiątek hitlerowskiego zbrodniarza, zatopioną ciężarówkę ze zbiorami muzeum, on, który odkrył komnaty łoża masońskiej, okazał się zupełnie bezradny wobec trzech zagadek, jakie pozostawił pułkownik Koenig. Na domiar złego, zaprzyjaźnił się bardzo z podejrzanym osobnikiem Cagliostro, mistrzem czarnej i białej magii, oraz próbuje nam wmówić, że jest jasnowidzem.

W tym momencie musiałem mu przerwać, albowiem nie chciałem, żeby Batura dowiedział się, że na jutrzejszą noc przepowiedziałem Pietruszce odkrycie trzeciego schowka.

— Cagliostro — odezwał się — nauczył mnie kilku pożytecznych sztuczek. Niektórzy umieją zamieniać kielichy złote na srebrne, ja natomiast nauczyłem się sztuki znacznie trudniejszej, zamieniania srebrne na złote.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Batura.

Głos zabrał dyrektor Marczak. Oświadczył z dyrektorską powagą:

— W naszym departamencie, kochany panie Pietruszka, nie przewidziano etatu dla muz, które dają natchnienie moim pracownikom. Zadaniem Tomasza nie było szukanie skarbów Koeniga, lecz opracowanie przewodnika po Fromborku. Jeśli rzeczywiście posiadał umiejętność pradawnych alchemików i umie zamieniać srebro na złoto, w naszym departamencie czeka go sporo pracy. Przydałby się nam także kamień filozoficzny — dodał zagadkowo.

— Srebro zamieniać w złoto? — powtórzył Batura. — Panowie wybaczą, ale ja nie mogę uwierzyć w podobne sztuczki.

A gdy wyrzekł te słowa, do kawiarni wszedł listonosz.

Chwilę stał w progu, rozejrzał się i zauważywszy Baturę, podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

— Pan, o ile pamiętam, nazywa się Waldemar Batura? — zapytał.

— Tak jest...

— Zauważyłem pana czerwony samochód przed kawiarnią, a że przysłała do pana depesza z Warszawy, więc zamiast do pańskiego obozowiska nad zalewem, przynoszę ją tutaj.

I podał Baturze depeszę. Waldek otworzył ją, przebiegł oczami.

Nagle zbladł, osłupiałym wzrokiem rozejrzał się po naszych twarzach.

— Co się stało? — zaniepokoiła się panna Anielka. I z rąk Batury wyjęła depeszę.

Gdy przeglądała ją, niedyskretnie zajrzałem przez jej ramię i przeczytałem:

„Przywiozłem srebrne kielichy. Co się stało ze złotymi? Nic nie rozumiem. Stefan.”

Nagle Batura wstał z krzesła. Spojrzał na mnie oczami pełnymi wściekłości.

— Muszę państwa opuścić, aby zamówić pilną rozmowę telefoniczną z Warszawą. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy — te ostatnie słowa wyrzekł z pogrózką w głosie.

I spiesznym krokiem opuścił kawiarnię.

— Czy podwiezie mnie pan do domu? — zwróciła się do mnie panna Ala.

— Oczywiście — zerwałem się z krzesła.

Opuszczając kawiarnię słyszeliśmy, jak magister Pietruszka, który chyba niewiele zrozumiał z tego, co się tu przed chwilą wydarzyło, mówił czule do panny Anielki:

— Wprawdzie dyrektor Marczak sprzeciwia się obecności muz w naszym departamencie, ale błagam panią, niech mnie pani nie opuszcza. Jest pani dla mnie natchnieniem, pozwala mi pani wpadać na genialne pomysły. Co ja zrobię bez pani?

Widziałem wyraz ogromnego niesmaku, który pojawił się na ustach dyrektora Marczaka. I to wcale nie dlatego, że nie przewidywał dla muz etatu. Po prostu był to człowiek mądry i sprytny. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wyglądały „objawienia” magistra Pietruszki.

— Domyślam się, co było w depeszy do Batury — zachichotała panna Ala w drodze do schroniska, gdzie miałem zaparkowany wehikuł. — Ten facet z Warszawy odkrył zamianę kielichów złotych na srebrne. Batura gotów uwierzyć w pańskie magiczne zdolności.



— To pani zasługa — odrzekłem. — To przecież pani dokonała tej cudownej zamiany. Mój Boże, co ja zrobiłbym bez pani?

— O? — zdumiała się panna Ala. — Mówi pan już jak magister Pietruszka. Czyżby chciał mnie pan uczynić swoją żoną?

— Jak pani słyszała, nasz departament nie przewiduje takich etatów. Ale będę miał do pani jeszcze jedną prośbę.

— Chce pan zatrudnić naszego Asa? — zapytała. — Niestety, z góry mówię, że to niemożliwe. Jutro As zostaje odtransportowany do naszej bazy w politechnice. Okres prób został zakończony.

— I pani też wyjedzie? — zmartwiłem się.

— Nie, ja tu pozostanę jeszcze przez kilka dni, aby zlikwidować nasze sprawy.

Odetchnąłem z ulgą i wyłuszczyłem jej swoją prośbę. Sądzę, że Batura dałby wiele, aby wiedzieć, na czym ta prośba polegała.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE

TAJEMNICA GROBU KOPERNIKA · GDZIE JEST OŁTARZ · KTO SZUKA, TEN I ZNAJDZIE · ULTIMATUM DLA PIETRUSZKI · BŁAGANIE CAGLIOSTRA · PANNA ALA SPEŁNIA MOJĄ PROŚBĘ · NIEBIESKA KOPERTA · KTO NIE LUBI ILUZJONISTÓW · POKAZY SZTUK MAGICZNYCH · OSIEMNAŚCIE NIEBIESKICH KOPERT

Dzień ów — który, jak okazało się później, był brzemenny w niezwykle dramatyczne wydarzenia i przyniósł ostateczną rozgrywkę ze złoczyńcami — zaczął się bardzo nieciekawie.

W nocy padał deszcz, a drobniutki kapuśniaczek siąpił aż do późnych godzin porannych. Gdy niebo nieco przejaśniło się, dyrektor Marczak wyciągnął mnie na spacer na katedralne wzgórze. Chciał poznać jeszcze jedną fromborską zagadkę — tajemnicę grobu Mikołaja Kopernika.

Najpierw oprowadziłem dyrektora po ogromnym wnętrzu katedry, wskazując na ścianach epitafia i miejsce domniemanego grobu wielkiego astronoma. Potem wyszliśmy na podwórzec i znowu usiedliśmy na ławeczce pod starym dębem. Tu mogłem już snuć opowieść:

— Jak pan wie, dyrektorze, Mikołaj Kopernik zmarł we Fromborku dwudziestego czwartego maja tysiąc pięćset czterdziestego trzeciego roku. Wieść mówi, że dopiero na łożu śmierci otrzymał do swych rąk przywiezione z Norymbergii, wydrukowane dzieło „De revolutionibus”, które później dokonało tak wielkiego przewrotu w umysłach. Czy jednak

ludzie z otoczenia Mikołaja Kopernika zdawali sobie sprawę, jak wielki umiera człowiek? Nie. W ich pojęciu zmarł tylko jeden z kanoników fromborskiej kapituły, o czym najlepiej świadczy fakt, że nie okazali nawet pieczołowitości w upamiętnieniu daty jego śmierci. W kronikach kapituły zapisano jako datę jego śmierci dzień pogrzebu. Dopiero gdy imię Kopernika stawało się coraz bardziej sławne, biskup warmiński, Kromer, postanowił ufundować tablicę upamiętniającą Kopernika. Ale w trzydzieści osiem lat po śmierci astronoma nie było już we Fromborku nikogo, kto mógłby wskazać miejsce grobu Kopernika, nie istniały też w tej sprawie żadne zapiski. Wmurowano więc epitafium w wolnym miejscu, zarazem dość godnym, bo na wewnętrznej ścianie świątyni, między drugim a trzecim ołtarzem. I od tej chwili właśnie zaczęły się wszystkie nieporozumienia, albowiem ludzie, którzy w wiele lat później okazali swe zainteresowanie grobem wielkiego astronoma, skłonni byli sądzić, że tablica nagrobna umieszczona została w miejscu, gdzie pochowano Kopernika. Tablica ta zresztą zginęła w tysiąc siedemset trzydziestym piątym roku, gdy budowano słynną kaplicę biskupa Szembeka. Uznano wtedy, że stara tablica nie jest godna wielkiego astronoma, postanowiono ufundować lepszą. I jak to się niekiedy w życiu zdarza, na tę godniejszą zabrakło pieniędzy. W ten sposób Kopernik przez długie lata nie miał żadnej tablicy.

— Ano, tak się zdarza — pokiwał głową dyrektor Marczak.

— Tymczasem rosło na świecie zainteresowanie sprawami związanymi z Kopernikiem. W tysiąc osiemset drugim roku przybyli do Fromborka dwaj przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Tadeusz Czacki i Marcin Molski. Sugerując się nowym epitafium umieszczonym na filarze dostrzegli oni w posadzce zatartą tablicę, która nasunęła im myśl, że jest to płyta nagrobna Mikołaja Kopernika. Uzyskali zezwolenie na otwarcie znajdującego się pod nią grobu i odnaleźli szczątki ludzkie. Jak okazało się później, nie były to kości Mikołaja Kopernika, ale zmarłego o dwieście lat wcześniej biskupa Fleminga, jednego z założycieli katedry fromborskiej.

— Proszę mówić dalej, to bardzo ciekawe.

— Niemieccy uczeni poszli najstarszym tropem, to znaczy postanowili odkryć posadzkę pod ścianą, na której istniało kiedyś pierwsze epitafium, ufundowane przez Mikołaja Kopernika. Po zdjęciu posadzki odnaleźli kilka starych trumien, kości z nich prześwietlili przy pomocy promieni Roentgena i szczątki kostne wywieźli do Królewca, gdzie później zostały pochowane. Ekspertyzy niemieckich uczonych nie zostały, niestety, nigdzie opublikowane, ale przez jakiś czas przewodnicy po królewskim zamku mówili zwiedzającym, że zwłoki słynnego astronoma są pochowane w Królewcu. A prawda jest taka, panie dyrektorze, że zwłoki astronoma znajdują się nadal we Fromborku. Albowiem poszukujący nie wzięli pod uwagę zasadniczej sprawy: we Fromborku, jak wiadomo z dokumentów, panował zwyczaj, że każdy z kanoników miał swój własny ołtarz w katedrze i po śmierci był pogrzebany przy tymże ołtarzu. Innymi słowy, podobnie jak w sprawie obserwatorium kopernikowskiego, tak samo i w tym wypadku, należało stwierdzić, który ołtarz w katedrze należał do Mikołaja Kopernika, wówczas bowiem byłoby wiadomo, gdzie szukać jego grobu.

— To bardzo ciekawe — mruknął dyrektor.

— Niestety, wciąż brakowało dokumentu, który wskazywałby ów ołtarz. Historycy, jak detektywi, poszukiwali choćby najmniejszego tropu, choćby jednego śladu, choćby cienia wskazówki. I wreszcie...

— I co? I co?

— W starym foliale, zawierającym notatki dotyczące administracji kapituły, odkryto wzmiankę, że pewien kanonik nazwiskiem Jan Zanau opiekował się ołtarzem przy czwartym filarze. W aktach kapituły istniało szesnaście list, tak zwanych kanonikatów, z nazwiskami kolejno następujących po sobie kanoników. Otóż Jan Zanau, jak wynikało z jednej z tych list, był poprzednikiem Kopernika. Po nim astronom przejął ołtarz i miejsce w stallach. Skoro więc Jan Zanau opiekował się czwartym ołtarzem, to był to również ołtarz Mikołaja Kopernika i przy tym filarze najprawdopodobniej został on pochowany. Znaleźć jego zwłoki nie będzie tak trudno, albowiem jak wynika z akt kapituły, astronoma pogrzebano w czterdzieści osiem lat po śmierci jego poprzednika, a dopiero w sześćdziesiąt pięć lat po Koperniku odbył się następny pochówek w okolicy czwartego filaru. A więc na przestrzeni stu trzydziestu lat zwłoki Mikołaja Kopernika były jedynymi, które zostały złożone przy czwartym filarze. Możliwości współczesnej wiedzy pozwalają sądzić, że trumnę i kości Kopernika uda się zidentyfikować. Trzeba tylko zorganizować odpowiednią ekipę naukową, uzyskać zgodę władz kościelnych i zdjąć posadzkę przy czwartym filarze... Może jeszcze jedna zagadka Fromborka zostanie wówczas rozwiązana?[3]

Skończyłem swoją opowieść, którą zamierzałem włączyć do przyszłego przewodnika. Dyrektor Marczak zamyślił się. Być może w wyobraźni kompletował już ekipę uczonych i wynajdywał finanse potrzebne na tego rodzaju badania. Po chwili podniósł się z ławki.

— Jutro rano muszę wracać do Warszawy. Czy jest pan pewien, że do jutra znajdziemy rozwiązanie ostatniej zagadki pułkownika Koeniga?

— Tak. Przysięgam — odrzekłem z powagą.

Powróciliśmy do schroniska i weszliśmy do jadalni, gdyż była to już pora obiadu.

Zobaczyliśmy Cagliostro i magistra Pietruszkę obiadujących przy jednym stoliku. Pietruszka jadł zupę, ale raz po raz podejrzliwie łypał wzrokiem na Cagliostro, a ściślej, bacznie lustrował kieszenie mistrza, w obawie, że z któregoś z nich wyjrzy łeb zaskrońca,

Na nasz widok Cagliostro wstał od stołu i skłoniwszy się nisko, powiedział:

— Mam zaszczyt zaprosić was dzisiaj na wielki pokaz iluzjonistyczny. Impreza zacznie się o szóstej wieczorem, postaram się zademonstrować na niej swoje wszystkie umiejętności.

Dyrektor Marczak zamyślony zamachał rękami, jakby odganiając natrętą muchę.

— Nie znam się na sztukach magicznych. I nie lubię ich. Tak, nie lubię — oświadczył kategorycznie.

— A pan? — zwrócił się do mnie mistrz.

A w mojej głowie zrodził się szatański niemal plan.

— Zastanowię się jeszcze — odpowiedziałem wymijająco.

Usiedliśmy do stołu. Dyrektor odezwał się do Pietruszki, a w głosie jego zabrzmiała stanowczość:

— Jutro rano wracam do Warszawy. Do jutra proszę odnaleźć trzeci schowek Koeniga.

— Co takiego? — Pietruszka aż odsunął od siebie talerz z zupą. — To niemożliwe, panie dyrektorze. Ja jeszcze nie wpadłem na trop trzeciego schowka. Obiecał mi pan pozostawić wolną rękę i trochę czasu.

Dyrektor pokręcił głową.

— Przestańmy bawić się w ciuciubabkę. Jestem pewien, że Tomasz zna miejsce, gdzie znajduje się trzeci schowek. Jeśli pan, panie Pietruszka, nie może sobie poradzić. Tomasz panu dopomoże. Szkoda tracić czas we Fromborku. Czekają nas nowe, poważne zadania. Pietruszka popatrzył na mnie z największą niechęcią.

— Czy naprawdę, Tomasz, rozwiązałeś zagadkę trzeciego schowka? — zapytał.

— Tak.

— Nie, nie, nie chcę znać rozwiązania! — zawołał Pietruszka. — Ja sam pragnę odkryć schowek i przysięgam, że tego dokonam. Proszę mi tylko zostawić czas do namysłu. Zresztą, nie wierzę, aby Tomasz znał rozwiązanie. On ma tylko pewne domysły, a to za mało. Zapewne znowu znajduje się na fałszywym tropie. I to przez niego pan dyrektor stawia mi ultimatum.

Wstałem od stołu, poszedłem do swojego pokoju i powróciłem do jadalni, niosąc w rękę zalepioną niebieską kopertę. Tę kopertę położyłem na stole obok talerza dyrektora Marczaka.

— W tej kopercie, panie dyrektorze — oświadczyłem — jest rozwiązanie trzeciej zagadki pułkownika Koeniga. W momencie, który uzna pan za stosowny, proszę ją otworzyć i udać się do skrytki po skarby. Jeśli zaś magister Pietruszka trafi do trzeciej skrytki, wówczas mnie pozostawi satysfakcję, że byłem na dobrym tropie.

Marczak wziął kopertę ze stołu i schował ją do kieszeni marynarki.

— Dobrze — rzekł łaskawie. — Panie Pietruszka, daję panu szansę. A gdyby do jutra rana nie znalazł pan skrytki, otworzę kopertę i jeśli rzeczywiście Tomasz rozwiązał zagadkę, skarby powiozę do Warszawy. Na dłuższy pobyt we Fromborku nie mamy czasu. A i wy potrzebni mi jesteście w Warszawie.

W milczeniu skończyliśmy jeść zupę. Przy drugim daniu Cagliostro ponowił swoje zaproszenie. Ale dyrektor tylko głośno fuknął:

— Mówiłem już kiedyś Tomaszowi, że nie lubię pokazów sztuk magicznych.

— Ach, jaka to przykrość dla artysty, gdy ktoś nie chce oglądać wyników jego pracy — westchnął smutnie Cagliostro.

Magister Pietruszka stracił zupełnie apetyt. Myśl o ultimatum dyrektora paraliżowała go. Wyobrażam sobie, jak cierpiał w nim wąż ambicji.

Na końcu języka miałem pytanie o jego żonę. Chciałem pocieszyć go informacją, że i tym razem wkrótce ogarnie go natchnienie. Ale obawiałem się, że ten niezwykle ambitny człowiek przyjmie moje słowa jako obraźliwą drwinę.

Wróciłem do swego pokoju, a za mną po chwili wszedł Cagliostro.

— Panie Tomaszu — mistrz błagalnie złożył ręce — niech pan coś zrobi dla mnie. Dyrektor Marczak to wpływowa osobistość w ministerstwie i dobry znajomy dyrektora departamentu widowisk. Mówiłem już panu o kłopotach, jakie mam ze znalezieniem stałej pracy. Jeśli dyrektorowi Marczakowi spodobają się moje sztuki, może choć słówko wspomni o mnie swemu koledze z drugiego departamentu, a wówczas wszystkie moje kłopoty miną bezpowrotnie.

— Dobrze — zgodziłem się. — Postaram się zwabić dyrektora na dzisiejszy występ.

A mistrz zatarł ręce, potem objął mnie, uściśnął i powiedział:

— Jeśli pan zdoła to załatwić i potrafi pan sprowadzić dyrektora Marczaka na moje przedstawienie, ofiaruję panu w nagrodę... zaskrońca.

— Nie, nie! — zawołałem rozpaczliwie. — Uczynię to bezinteresownie.

Myśl, że będę właścicielem Piotrusia, wydała mi się tak przerażająca, że gotów byłem nie tylko zrezygnować ze zwabienia Marczaka na występ Cagliostra, ale nawet zabronić mu tam pójść, gdyby nagle zechciał to zrobić.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi i po chwili weszli Zosia Walczyk i Baśka. Przynieśli mi zaproszenie na wieczorne harcerskie ognisko.

Obejrzałem zaproszenie. Nie było w nim ani słowa o występach Cagliostra. Ale to właśnie na tym ognisku miały się odbyć jego występy.

— Zanieście zaproszenie dyrektorowi Marczakowi — poprosiłem Zosię Walczyk i chłopca.  
— Ale nie wspominajcie, że na ognisku odbędą się pokazy sztuk magicznych. Dyrektor Marczak bardzo lubi harcerzy i zapewne chętnie pójdzie na ognisko. Zależy mi, żeby to uczynił, tylko że on nie cierpi iluzjonistów.

Oboje zaraz poszli do pokoju dyrektora, a ja pozostawiwszy Cagliostra pełnego nadziei, że będzie miał na swym występie dyrektora Marczaka, pośpieszyłem na podwórzec katedry.

Na ławce pod rozłożystym dębem czekała już panna Ala. Miała ze sobą torbę dość dużych rozmiarów.

— I co? I co? — dopytywałem się z niecierpliwością.

— Wszystko załatwiłam pomyślnie. Tu jest aparatura, o którą mnie pan prosił — podsunęła mi ciężką torbę.

Zapukałem do mieszkania kościelnego i wskazując czarny aparat, który w swej torbie przyniosła mi Ala, poprosiłem o klucz do wież wartowni. Wyjaśniłem kościelnemu, że chciałbym zrobić kilka zdjęć fotograficznych do swego przewodnika. W pół godziny później oddałem klucz kościelnemu i poszedłem z Alą na spacer po Fromborku.

Zdawałem sobie sprawę, że to już ostatni dzień mego pobytu w tym uroczym miasteczku. Jutro wraz z dyrektorem Marczakiem i Pietruszką powrócimy do Warszawy.

— Czy jest pan pewien, że wszystkie wydarzenia potoczą się tak, jak pan to zaplanował? — zapytała Ala.

— Przecież nie mogę bez przerwy ponosić klęski — roześmiałem się. — Jeśli wolno magistrowi Pietruszce przeżywać chwile natchnień, to i ja mogę także od czasu do czasu wpaść na jakiś dobry pomysł.

Byłem dobrej myśli. Lecz trawił mnie niepokój. Z niecierpliwością spoglądałem na zegarek, oczekując nadejścia wieczoru, który miał przynieść ostatnią rozgrywkę z Waldemarem Baturą.

Do tej pory to on rozdawał karty, sobie zatrzymując najlepsze. Dziś zmieniły się role. Ale czy na pewno?

Czy zrobi to, co chcę, aby zrobił? A może na skutek odkrytej zamiany kielichów obudzi się w nim nieufność? Może nie da się wprowadzić w zastawione przeze mnie sidła?

Rozmyślałem:

„Waldemar Batura, nawet nieufny i podejrzliwy, musi przyjąć karty, które mu podsunąłem. Nie ma bowiem wyboru. Pietruszce pozostał czas tylko do jutra. Więc jeśli Baturą chce go uprzedzić, musi biec do trzeciego schowka. A gdy się biegnie, trudno bacznie patrzeć pod nogi i można łatwo wpaść w pułapkę”.

Nad Fromborkiem pojaśniało niebo. Chmury odeszły na północ i jeszcze przez jakiś czas wisiały nad Mierzeją Wiślaną. Pokazało się słońce — ostre, upalne, sierpniowe.

Ala powiedziała, że As odjechał już specjalną ciężarówką.

— A my, czy zobaczymy się jeszcze kiedyś? — zapytałem.

— Przecież to zależy od nas, prawda? — odpowiedziała.

Kiwnąłem głową i uśmiechnęliśmy się do siebie. Bardzo podobała mi się ta panienska, która ukończywszy politechnikę była już asystentką wielkiego naukowca, i to w tak ciekawej dziedzinie. Mnie pasjonowały dzieła sztuki, poszukiwania skarbów i zaginionych zbiorów muzealnych, zagadki historyczne i związane z nimi przygody. A ją — automaty, elektronowe mechanizmy. A przecież nie czułem żadnej obcości wobec tej dziewczyny, przeciwnie, znalazłem u niej wielkie zrozumienie dla mych pasji.

Poszliśmy na daleki spacer, hen, na fromborskie wzgórza, skąd widać było wyniosłą budowlę starej katedry, która kryła w sobie tyle zagadek.

Wróciliśmy przed osiemną do schroniska PTTK. Zaprosiłem Alę na kolację. Zjedliśmy ją we czwórkę: Ala, dyrektor Marczak, Pietruszka i ja. Magister był zamyślony, jadł z pewnym roztargnieniem. Jego zachowanie wskazywało, że być może znalazł się już na tropie rozwiązania zagadki trzeciego schowka.

Marczak przyjął zaproszenie harcerzy. Pietruszka, gdy go zapytałem, czy pójdzie na ognisko, pogardliwie skrzywił usta i wzruszył ramionami. Powiedział, że jest umówiony z panną Anielką. Być może oczekiwał, że podczas tego spotkania nawiedzi go natchnienie.

Poszliśmy w trójkę do obozowiska harcerskiego w pobliżu portu. Było tam już mnóstwo harcerek i harcerzy, a także przyszła spora ilość zaproszonych gości. Zosia Walczyk i Baśka zaprowadzili nas na honorowe miejsca w pierwszym rzędzie.

Nie będę wam opisywał występów harcerek i harcerzy, bo przecież każdy z was, drodzy czytelnicy, uczestniczył w podobnych imprezach. Nadmienię tylko, że gdy harcerz prowadzący ognisko zapowiedział występy mistrza Cagliostro, dyrektor Marczak chciał wstać ze swego miejsca i niemal siłą zmusiłem go do pozostania.

— Czarna i biała magia? — oburzył się dyrektor. — I takimi sztuczkami karmi się naszą młodzież? Nie zgadzam się z tym i protestuję.

Uspokoił się nieco, gdy Cagliostro zaczął demonstrować swoje umiejętności. Mistrz pokazywał prawdziwe cuda.

A więc najpierw był numer z kartami, które, z zawiązanymi oczami, wyciągał z talii na życzenie zebranych. Na prośbę o treflowego asa, wyjmował z talii treflowego asa, na prośbę o pikową damę, wyciągał pikową damę. Potem pokazywał sztuki ze sznurkiem, który rozcinał przy pomocy cudownej pałeczki magicznej, a potem tworzył z niego niepodzielną całość. Widzieliśmy, jak chował do pudełka na stole białego króliczka, robił ruch pałeczką i króliczek znikał bez śladu. A po sekundzie z tego samego pudełka wyciągał zaskrońca, potem myszy, potem znowu króliczka. Mieliśmy możliwość zobaczyć numer, który nazywał się „zagadką szklanego walca”. Widzieliśmy sznurek przechodzący przez szkło, widzieliśmy sklep zegarmistrzowski w cylindrze, pierścień fakira, chusteczkę do nosa, której nie można było niczym zniszczyć. Zachwyciła nas sztuka o nazwie „stoliczku nakryj się”.

Sztuki te były tak wspaniałe, że nawet dyrektor Marczak zapomniał o swej niechęci do iluzjonistów i gorąco oklaskiwał występy mistrza. I być może Cagliostro osiągnąłby swój cel, to znaczy dyrektor Marczak szepnąłby słówko w jego sprawie koledze, dyrektorowi innego departamentu, gdyby nie fakt, który wydarzył się pod koniec występów mistrza. Oto Cagliostro zapowiedział, że pokaże publiczności dziwną sztukę z kopertami pocztowymi, i do zademonstrowania jej zaprosił dyrektora Marcza.

— Ja? Dlaczego ja? Proszę zaprosić kogoś innego — bronił się dyrektor, gdy wskazał go Cagliostro.

— Bo pan jest niedowiarkiem. Pan nie wierzy w moje cudowne możliwości — odparł mistrz.

Młodzież harcerska zaczęła klaskać w dłonie i dyrektor Marczak, rad nierad, wstał ze swego miejsca i zbliżył się do Cagliostro. A mistrz wyjął z kieszeni siedem identycznych niebieskich kopert.

— Proszę państwa — oświadczył ukazując koperty. — Państwo widzą, że mam w ręku tylko siedem kopert. Te siedem kopert kładę do kieszeni marynarki pana dyrektora. Ot tak...

I Cagliostro włożył do marynarki dyrektora siedem niebieskich kopert.

— Ile kopert jest w kieszeni dyrektora.

— Siedem! — zawołali harcerze.

— Osiem — powiedział dyrektor Marczak, bo przypomniał sobie o mojej kopercie z rozwiązaniem zagadki trzeciego schowka.

— Ani siedem, ani osiem — oświadczył Cagliostro — tylko siedemnaście.

I poprosił dyrektora Marcza, aby wyjął koperty. Marczak sięgnął do kieszeni i ku swemu zdziwieniu wyciągnął z niej aż osiemnaście kopert.

— Osiemnaście, nie siedemnaście — sprostował.

— Przepraszam, omyliłem się — stwierdził Cagliostro. — Szanowny pan miał w kieszeni własną kopertę.

I zwrócił dyrektorowi jedną niebieską kopertę.

To był ostatni numer w występie mistrza Cagliostro. Potem nastąpiły pokazy harcerskich zabaw. Ognisko kończyło się o ósmej wieczorem. Wraz z tłumem gości opuściliśmy obozowisko harcerskie i poszliśmy w trójkę do kawiarni portowej. Dałem znak Zosi Walczyk i Baśce, aby poszli razem z nami.

Szykowała się nowa przygoda.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

BARDZO DZIWNE AUDYCJE RADIOWE · CZY SĄ FALE SUPERULTRAKRÓTKIE ·  
ROZMOWA ZŁOCZYŃCÓW · GDZIE JEST SKARB · OBRABOWANE SKRYTKI ·  
CZEKAMY NA KOŚCIELNEGO · PRZYGODA W DRODZE DO TOLKMICKA · CO  
KRYŁA NIEBIESKA KOPERTA · W WIEŻY · PIETRUSZKA NA TROPIE · FAŁSZYWE  
CZY PRAWDZIWE · OSTATNIA ROZGRYWKA

Punktualnie o godzinie dziesiątej spojrzałem w kawiarni na zegarek i powiedziałem do dyrektora Marcza:



— Czy nie zechciałby pan, dyrektorze, posłuchać teraz w moim pokoju interesującej audycji radiowej?

— Radio? — niechętnie odniósł się do tej propozycji dyrektor Marczak. — W ostatnim czasie radio zbyt mało uwagi poświęca zabytkom...

— To będzie audycja pod tytułem: „W jaki sposób obrabowano trzeci schowek pułkownika Koeniga” — wyjaśniłem.

— Co takiego? Pan coś knuje, Tomaszu. Jestem pewien, że gdybym zajrzał do programu radiowego, nie znalazłbym takiej audycji.

— Program radiowy podaje tylko audycje na falach długich, średnich, krótkich i ultrakrótkich. Natomiast audycja, której radzę panu posłuchać, będzie na falach superultrakrótkich.

— Czy są takie fale? — zdziwił się Baśka. Wskazałem pannę Alę.

— To ta miła osoba przyniosła do mego pokoju specjalny radioodbiornik. Audycja zapowiada się ciekawie i na interesujący nas wszystkich temat.

Zosia Walczyk wstała z krzesła i zrobiła taneczne pas, powtarzając głośno:

— „W jaki sposób obrabowano trzeci schowek Koeniga”? Czy naprawdę tak brzmi tytuł tej audycji?

— Owszem — skinąłem głową.

— Idziemy — zdecydował Marczak i przywołał do naszego stolika kelnerkę, aby zapłacić za zjedzone ciastka.

Szybkim marszem skierowaliśmy się do schroniska PTTK. Przyśpieszałem kroku, nie byłem bowiem pewien, czy ci, którzy mieli być aktorami w tej audycji, nie okazali się nieco szybsi, niż to mogłem przewidzieć, i czy audycja nie będzie nadawana wcześniej.

Weszliśmy do mego pokoju. Usadowiłem wszystkich na krzesłach przy stole. Spod łóżka wyjąłem miniaturowy czarny aparat nadawczo-odbiorczy. Panna Ala natychmiast zaczęła kręcić jego gałkami, ale w głośniku dał się słyszeć tylko lekki szum oznaczający ciszę w eterze.

— Aktorzy jeszcze nie weszli do studia — oświadczyła Ala.

— A więc to będzie tylko przedstawienie — stwierdził nieco rozczarowany dyrektor Marczak.

— Raczej reportaż. Mam nadzieję, że uda mi się na żywo uchwycić scenę obrabowania trzeciego schowka — pocieszałem dyrektora.

— Nic z tego nie rozumiem! — zawołała Zosia Walczyk. — Ale jestem pewna, że będzie to najfajniejsza audycja, jaką dotąd słyszałam.

— A może to jakaś magiczna sztuczka? — zastanawiał się Baśka.

Słowa te obudziły niepokój dyrektora.

— Czy to wspólne mieszkanie z Cagliostrem tak na pana wpłynęło, Tomaszu? Odkąd jestem we Fromborku, wciąż oglądam jakieś hokus-pokus. Ostrzegam, że jeśli te nowe zwyczaje iluzjonistyczne zechce pan wprowadzić do naszego departamentu, nie spotka się to z moim uznaniem.

I zacny dyrektor podejrzliwie rozejrzał się po pokoju, spodziewając się ujrzeć wypełzającego spod łóżka zaskrońca lub harcujące myszy.

Lecz sympatyczne zwierzaki, które zdążyłem trochę polubić, były chyba w towarzystwie Cagliostro. Mistrz czarnej i białej magii jeszcze nie powrócił do pokoju po swych występach na ognisku.

— Uwaga! — syknęła Ala. — Coś się zaczyna dziać...

W głośniku miniaturowego pudełka radiowego usłyszeliśmy głośny zgrzyt, jakby ktoś otwierał zardzewiałe drzwi żelazne. Potem męski głos, który bez trudu można było rozpoznać jako głos Batury, oświadczył:

— Zamknij drzwi na klucz i zapal latarkę elektryczną, Cagliostro. Trzeci schowek chyba jest w piwnicach.

Aparat nadawczy umieszczony był w podziemiu, dokąd skierowali się złoczyńcy. Ich kroki zbliżały się do aparatu i przez to stawały się coraz głośniejsze.

— Oświetlaj ściany — rozkazał Batura Cagliostrowi. Nastąpiła długa chwila ciszy, zapewne światło latarki elektrycznej omiatało ścianę podziemia. Po jakimś czasie usłyszeliśmy głos Cagliostro:

— Nic tu nie widać ciekawego. Ściany są gładkie, z cegieł i kamienia.

— A te żelazne drzwiczki od dymnika? — zapytał Batura. — Nie wygląda na to, żeby to pomieszczenie miało przewód kominowy. A jednak tuż przy ziemi są drzwiczki do wyjmowania sadzy. Trzeba je otworzyć.

— Nie mamy klucza sztorcowego...

— Spróbuj kombinerkami uchwycić trzpień zamka. Usłyszeliśmy cichy zgrzyt żelaza o żelazo. Potem coś skrzypnęło.

— Już otwarte — stwierdził z ulgą Cagliostro. — Ale dymnik zawalają cegły.

— Wyjmij cegły — znowu rozkazał Batura.

Do naszych uszu dobiegły odgłosy czyjś sapania, potem kilkakrotnie coś stuknęło. Ktoś rzucał cegły na kamienną posadzkę. A po chwili usłyszeliśmy pełen radości głos Cagliostro:

— Są! Waldek, tu są skarby! Leżą za cegłami w dymniku.

Batura, również rozgorączkowanym głosem, zaczął rozkazywać:

— Odsuń się, Cagliostro. Teraz ja wezmę się do roboty. Muszę znaleźć pudełko albo woreczek z rubinami. Inne rzeczy pozostawimy, one nas nic nie obchodzą.

Znowu chwila ciszy i głos Batury:

— Znalazłem blaszane pudełko po tytoniu. Są w nim kamienie.

— Pokaż je. Daj je tutaj.

Znowu chwila ciszy i głos Batury:

— Tak, to są rubiny.

— Pokaż je — prosił Cagliostro.

— Teraz nie ma czasu na oglądanie. Wkrótce wróci kościelny i zaraz tutaj zjawi się Pietruszka. Weź ode mnie pudełko. Wyjmij z naszego woreczka fałszywe rubiny. Przesyp je do pudełka, a te z pudełka włóż do woreczka. A ja zajrzę do dymnika.

Dyrektor Marczak uderzył pięścią w stół.

— A to łajdaki! — wrzasnął. — Zamieniają kamienie!

Teraz doszedł naszych uszu szmer cegieł wsuwanych do dymnika, później zgrzyt żelaza o żelazo, to zapewne Cagliostro zamykał dymnik. Jeszcze później usłyszeliśmy oddalające się kroki i głośny hałas otwieranych drzwi.

Batura i Cagliostro ujrzeni chyba coś lub kogoś w otwartych drzwiach, bo usłyszeliśmy głośne:

— O, rrrrany...

I nastąpiła cisza. Audycja była przerwana.

W naszym pokoju też trwało milczenie. Oto byliśmy świadkami faktu odnalezienia i obrabowania trzeciego schowka Koeniga. Było oczywiste dla wszystkich, że w taki sam sposób obrabowano pierwszy i drugi schowek. Dyrektorowi Marczakowi dostarczyłem dowodu, którego tak usilnie domagał się ode mnie.

Ale, o dziwo, Marczak wcale nie był tym zachwycony. Groźna zmarszczka pobruździła mu czoło.

— Pan wiedział, Tomaszu, gdzie jest trzeci schowek, czy tak? — zapytał mnie złowróbnym tonem.

— Zrobiłem w tej sprawie notatkę i dałem ją panu na przechowanie — powiedziałem bez cienia strachu.

— Pan wiedział, gdzie jest schowek — powtórzył Marczak. — Postawił pan tam jakiś aparat nadawczy. Wiedział pan również, że złoczyńcy tam przyjdą i dokonają rabunku. Innymi słowy, wiedząc, że oni obrabują schowek, nie tylko pan tego nie uniemożliwił, ale zrobił pan z tego szopkę, audycję radiową, narażając skarb państwa na ogromne straty.

— Odbierzemy im te rubiny — odrzekłem beztrósco. — Ale przecież to właśnie pan umożliwił złoczyńcom odkrycie trzeciego schowka.

— Ja? — oburzył się dyrektor.

— Mówię poważnie, panie dyrektorze. W poczuciu pełnego zaufania powierzyłem panu kopertę, kryjącą rozwiązanie zagadki trzeciego schowka...

Nie dokończyłem. W tym momencie otworzyły się drzwi pokoju i jak bomba, która za chwilę ma wybuchnąć, wpadł do nas magister Pietruszka. Włos miał rozwiany, wzrok błędny.

— Wiem! wiem! wiem! — krzyczał histerycznie. — Mam rozwiązanie zagadki trzeciego schowka. Osiem kątów na planie Koeniga to przecież oktagon. Ośmioboczna wieża warowni fromborskiej. Tam kryje się teraz trzeci schowek!

— Czyżby? — ponuro zapytał dyrektor Marczak.

— Tak, panie dyrektorze. To było genialnie proste. Lecz właśnie takie rozwiązanie najtrudniej przychodzi człowiekowi do głowy. Panna Anielka, widząc moją rozpacz, zapytała mnie o szyfr do trzeciego schowka. Powiedziałem jej o ośmiu kątach na planie Koeniga. „Osiem kątów — powtórzyła. — Osiem kątów”. I wtedy przypomniałem sobie o oktagonie.

Magister Pietruszka urwał swą wypowiedź, aby złapać oddech, a potem palec wskazujący jego ręki skierował się w moim kierunku:

— A teraz, panie dyrektorze, proszę otworzyć kopertę, którą dał panu Tomasz. Przekonamy się, czy on też wpadł na to samo rozwiązanie zagadki.

Dyrektor Marczak w milczeniu sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej niebieską kopertę. Rozerwał ją i wyjął kartkę papieru.

Była to zupełnie czysta, biała kartka.

— A więc to tak? — stwierdził z pogardą Pietruszka. — Tomasz nas nabrał, panie dyrektorze.

Ale dyrektor Marczak nie odezwał się. Przypomniał sobie zapewne o swoich słowach, że to on wskazał złoczyńcom trzeci schowek Koeniga. Pamiętał również o sztuczce z kopertami, w której wziął udział na harcerskim ognisku. Ze złością zmiął kartkę i kulkę papieru rzucił do kosza.

— Czy audycja radiowa może być dowodem dla sądu? — zagadnął mnie.

— Nie, panie dyrektorze. To był dowód dla pana. Nawet gdybyśmy nagrali audycję na taśmą magnetofonową, nie moglibyśmy jej przedstawić w sądzie, gdzie taśma magnetofonowa nie może być dowodem w sprawie. Przestępcy będą zawsze mogli stwierdzić, że chcieli mi zrobić przyjemność i na moją prośbę po prostu „odegrali” swoje rólki.

Pietruszka nie rozumiał naszej rozmowy.

— O czym wy mówicie? — zapytał.

Dyrektor oskarżycielskim gestem wskazał mały radiodbiornik leżący na stole:

— To małe radio nadało przed chwilą audycję o dwóch złoczyńcach, którzy zakradli się do podziemi i z dymnika wyjęli blaszane pudełko z rubinami. Na ich miejsce włożyli fałszywe rubiny.

— Czy to ma jakiś związek z oktagonem? — wyjąkał Pietruszka.

Dyrektor Marczak ciężko podniósł się z krzesła.

— Obawiam się, że tak. Obawiam się również, że nie doceniliśmy wielorakich talentów Tomasza. Okazuje się, że prócz żyłki detektywistycznej, posiada on talent reżyserski.

— I oszukuje — dodał Pietruszka, wspominając czystą kartkę papieru w niebieskiej kopercie.

Dyrektor Marczak machnął ręką.

— Chodźmy do schowka Koeniga. A panu — rzucił mi groźnie — pozostawiam sprawę odzyskania prawdziwych rubinów.

Pietruszka zakłopotał się.

— Musimy poczekać na przybycie kościelnego. On bowiem ma w swym mieszkaniu klucz od drzwi oktagonu. Niestety, kościelny otrzymał wieczorem jakiś telegram i o dwudziestej trzydziestej odpłynął statkiem do Tolkmicka. Sądzę, że powróci do Fromborka ostatnim statkiem, to jest za pięć minut — dodał, patrząc na zegarek.

Opuściliśmy schronisko, udając się w kierunku przystani.

— A to ci heca — chichotała Zosia Walczyk.

Baśka miał zakłopotaną minę.

— W jaki sposób odzyska pan prawdziwe kamienie? — martwił się na zapas.

Ala również odezwała się do mnie ze szczerą troską:

— Wydaje mi się, że pan przeholował, Tomaszu. Nie wolno było dopuścić, aby złoczyńcy zamienili rubiny. Jak je pan teraz odzyska? Lękam się, że Batura już uciekł do Warszawy.

Pietruszka wciąż nic nie rozumiał z naszej rozmowy.

— O czym wy mówicie? Co Batura ma wspólnego z tą sprawą? Czy naprawdę jest aż tak niebezpieczny? Na mnie zrobił sympatyczne wrażenie.

Znaleźliśmy się na uliczce pod fromborskim wzgórzem katedralnym. Była już noc, widna i księżycowa. Po rannym deszczu i po upalnym dniu odświeżona zieleń na drzewach wydzielala upajający zapach.

Od strony portu doszło nas głośnie buczenie syreny. To wpływał do przystani ostatni statek z Tolkmicka.

— Zaczekajmy tutaj — zaproponował dyrektor.

W dziesięć minut później na pustej uliczce zabrzmiały spieszne kroki przygarbionego mężczyzny. To nadchodził kościelny. Szedł szybko, jakby gnał go niepokój. Coś tam gniewnie mruczał do siebie.

Otoczyliśmy go i wytłumaczyliśmy mu, że potrzebny jest nam klucz do drzwi oktagonu, jako że tam właśnie kryje się trzeci schowek ze skarbami.

— Klucz? Klucze? — burknął kościelny. — Niech państwo sobie wyobrażą, że zgubiłem klucze od swego mieszkania.

I prowadząc nas do swego domu w warowni, opowiedział zadziwiającą historię. Otóż wieczorem, około dwudziestej, jakiś mężczyzna, podający się za doręczyciela, przyniósł mu wypisaną ołówkiem depezę następującej treści:

„Proszę natychmiast przybyć w ważnej sprawie do Tolkmicka. Czekam na przystani.”

— Zapytałem listonosza — opowiadał kościelny — czy nie wie, w jaki sposób dostać się teraz do Tolkmicka. Odrzekł, że za pół godziny odchodzi statek z portu. Byłem zaintrygowany treścią depezy, więc niewiele się namyślając zamknąłem mieszkanie i poszedłem na przystań. Dopłynąłem do Tolkmicka, wysiadłem i zacząłem czekać. Ale nikt do mnie nie podszedł, stałem tam jak głupiec. I oczywiście wróciłem do Fromborka następnym statkiem, ostatnim zresztą. W drodze powrotnej stwierdziłem, że nie mam kluczy od mieszkania, chyba je gdzieś zgubiłem.

— A gdy pan wchodził na statek, nie popchnął pana jakiś mężczyzna z bródką? — zapytałem nieoczekiwanie.

— Myśli pan o iluzjoniście? — zdziwił się kościelny. — Tak właśnie było, proszę pana. Popchnął mnie, bo spieszył się na statek. Ale zaraz wrócił ze statku z powrotem na ląd. Pan widział tę scenę?

— Nie, proszę pana. Ale mam skłonności do jasnowidztwa.

Nie wypytywaliśmy więcej kościelnego. Dla wszystkich nas, z wyjątkiem Pietruszki, scena przy wchodzeniu na statek była zupełnie oczywista. Cagliostro wyciągnął klucze z kieszeni kościelnego, potem wraz z Baturą otworzył jego mieszkanie i „wypożyczył” klucz od oktagonu. Po to zresztą był im potrzebny wyjazd kościelnego do Tolkmicka. Przy pomocy

fałszywej depeszy wywabili go z domu. Depeszę sfałszować nie było trudno, w prowincjonalnych miasteczkach wypisuje się tekst ołówkiem, wystarczy wziąć z poczty pusty blankiet.

Klucze kościelnego tkwiły w drzwiach jego mieszkania.

— O Boże — zdumiał się kościelny. — Tak byłem przejęty myślą o tym, co mnie czeka w Tolkmicku, że przez roztargnienie pozostawiłem klucze w zamku.

Nikt z nas nic nie powiedział na ten temat. I ta sprawa była przecież oczywista. Złoczyńcy włożyli klucze do zamka, aby zatrzeć ślad swego przestępstwa.

Klucz od oktagonu wisiał na gwoździu w kuchni kościelnego.

Wzięliśmy ten klucz i przez ciemny podwórzec skierowaliśmy się do ośmiobocznej przysadzistej wieży.

W drodze do oktagonu natknęliśmy się na pannę Anielkę, Baturę i Cagliostro. Stali w otoczeniu kilku milicjantów, którymi dowodził porucznik Judziński.

— Co się stało? — zdziwił się Pietruszka, podchodząc do panny Anielki.

Wzruszyła ramionami.

— Zostaliśmy aresztowani. To jakieś nieporozumienie...

— Czyżby? — ironicznie wtrącił się porucznik Judziński.- Chyba panowie — skłonił się Baturze i Cagliostrowi — nie zaprzeczają, że zostali schwytani na gorącym uczynku, przy obrabowywaniu schowka pułkownika Koeniga. Co do pani — skłonił się Anielce — jest pani tylko ich współniczką.

Pietruszkę jakby piorun strzelił. Nie potrafił z siebie wydusić słowa.

Dyrektor Marczak trącił go w ramię.

— Idziemy do oktagonu — rozkazał. — Najważniejsze to odnaleźć i zabrać skarby.

Pietruszka jakby ocknął się ze snu. Z nieprzytomną miną poszedł do drzwi oktagonu i otworzył je.

— My również popatrzymy na te skarby — oświadczył porucznik Judziński i wraz z pozostałymi milicjantami i aresztowanymi poszedł za nimi do wieży.

Kościelny zapalił grube świece i po krętych schodach zeszliśmy do piwnicy.

— Gdzie może być skrytka? — rozmyślał głośno Pietruszka, rozglądając się po łukowato sklepionym suficie dość dużego pomieszczenia.

— Dymnik. Niech pan zajrzy do dymnika — niecierpliwie rzekł dyrektor Marczak, budząc tym zachwyty Pietruszki.

— Dymnik? Pan jest genialny, dyrektorze. Tak od razu wskazał pan miejsce ukrycia skarbu — aż piał z zachwytu.

— Dobra, dobra — mruknął dyrektor. — Otwórz pan ten dymnik i wyjmij pan skarby.

Gdy Pietruszka mozolił się z otwarciem zamka dymnika, panna Ala weszła w kąt piwnicy i schowała do torby, ukryty pod dwoma kawałkami gruzu, nieduży aparacik nadawczy. Spełnił już swoje zadanie i zbyteczny.

— Oto i skarby! — szepnął nagle Pietruszka. I otworzył drzwiczki dymnika.

W milczeniu, z napięciem, patrzyliśmy, jak wsunął rękę do schowka w dymniku i kolejno wyjmował: pudełko blaszane, cztery przepiękne, kute w srebrze relikwiarze bardzo starej roboty oraz infulę z naszytymi na niej drogimi kamieniami.

— Wszystko się zgadza — tryumfująco oświadczył Pietruszka. — Nikt nie zaglądał do schowka, nikt z niego nic nie zabrał.

— A pudełko? — burknął dyrektor.

Pietruszka otworzył blaszane pudełko i zaczął liczyć:

— Raz, dwa... pięć... osiem... dziesięć rubinów. Marczak gniewnym gestem odebrał mu pudełko i nawet do niego nie zaglądał, oświadczył:

— Tym razem nie dam się nabrać, panie Pietruszka. Te rubiny są fałszywe!...

Pietruszka wziął pudełko od dyrektora i zaczął oglądać kamienie.

— One są prawdziwe, panie dyrektorze — rzekł po chwili. — Trochę się na tym znam. To prawdziwe szlachetne kamienie.

Dyrektor Marczak znowu odebrał Pietruszce pudełko. Nie zaglądał do wnętrza, zaczął pudełkiem wymachiwać, aż kamienie zagrzechotały jak kostki do gry.

— Te rubiny są fałszywe, panie Pietruszka. Batura je podmienił.

Wyjąłem pudełko z rąk dyrektora, otworzyłem je, zajrzałem do wnętrza.

A to, co oświadczyłem, zabrzmiało dla dyrektora i dla moich przyjaciół jak wystrzał armatni:

— Rubiny są prawdziwe, panie dyrektorze.

— Co? Co takiego?! — wydusił z siebie dyrektor.

— Co takiego?... — usłyszałem zdumiony głos Batury.

— Prawdziwe?... — zaniepokoił się Cagliostro.



A ja kiwnąłem głową i otwarte pudełko podsunąłem dyrektorowi.

— Niech pan je obejrzy, dyrektorze. One są najprawdziwiej prawdziwe.

Ale zamiast dyrektora pudełko chwycił Batura. Chciwie zajrzał do wnętrza.

Widziałem, jak jego powieki zatrzepotały gwałtownie, tak był zdumiony. Po prostu nie dowierzał własnym oczom.

— Są prawdziwe... — szepnął i spojrzął na Cagliostro. A mistrz odpowiedział mu równie zdumionym spojrzeniem.

Dyrektor Marczak wziął pudełko od Batury i teraz dopiero zaczął dokładnie oglądać kamienie.

— Tak, rzeczywiście... — szepnął. — Wyglądają na prawdziwe. Jak się to stało, panie Tomaszu? Przecież słyszeliśmy audycję radiową. Nic z tego nie rozumiem...

— Ja też nic nie rozumiem — ponuro mruknął Batura.

Skłoniłem się Cagliostrowi.

— To panu, mistrzu, zawdzięczam hokus-pokus.

— Mnie? — przestraszył się Cagliostro.

— Tak. Już wczoraj odkryłem trzeci schowek Koeniga. Wyjąłem z niego prawdziwe kamienie i zabrałem je do swego pokoju. Z pańskiego woreczka, mistrzu, wyjąłem fałszywe rubiny i włożyłem do woreczka prawdziwe. Do pudełka zaś w dymniku położyłem fałszywe rubiny. Resztę roboty wykonaliście sami, panowie — znowu skłoniłem się Cagliostrowi i Baturze. — Panowie włożyli do skrytki prawdziwe rubiny, a wyjęli fałszywe. Świat jest iluzją, mistrzu Cagliostro.

Dyrektor Marczak złapał się za głowę.

— O Boże, ja zwariuję! Fałszywe, prawdziwe, prawdziwe, fałszywe. Gdzie w końcu były fałszywe, a gdzie prawdziwe rubiny?

A ja wymieniłem z porucznikiem Judzińskim porozumiewawcze spojrzenia. To przecież on, na moją wielką prośbę, pozwolił mi podłożyć Cagliostrowi prawdziwe rubiny. Odkąd ujawniłem sprawę z obrabowaniem schowków, milicja miała nieustannie na oku i Baturę, i Cagliostro. Nawet gdyby domyślili się tej zamiany, nie mieli możliwości ucieczki. Prosiłem porucznika o zezwolenie na zamianę, bo jak to niekiedy mi się zdarza, lubię efektowne sceny na zakończenie przygody.

Tymczasem dyrektor Marczak sporządził naprędce protokół z otwarcia skrytki. A gdy mi go dawał do podpisu, rzekł cicho:

— Uratował pan swoją skórę, bo nic ze skrytki nie zginęło. Ale nie mogę panu darować, że zrobił pan ze mnie błazna, który nie potrafił rozpoznać prawdziwych rubinów.

Wskazałem świecę palącą się w ręku kościelnego:

— Tu jest mroczno, panie dyrektorze. Można powiedzieć, że w tej piwnicy jest nawet bardzo ciemno. I nietrudno o pomyłkę, prawda?

1 Poprzednie przygody naszego bohatera znajdzie Czytelnik w takich książkach jak: „Wyspa złoczyńców”, „Pan Samochodzik i templariusze”, „Księga strachów”, „Nowe przygody pana Samochodzika”

2 Alessandro Cagliostro vel Giuseppe Balsamo, hrabia, urodzony w 1743 roku, a zmarły w 1795 roku, Włoch, znany z przygód i awanturniczego życia. Występował jako alchemik, „cudowny” lekarz, posiadający tajemnicę kamienia filozoficznego i eliksiru młodości, wywoływacz duchów, wizjoner. Ścigany za oszustwa i fałszerstwa, wędrował przez liczne miasta i kraje Europy, między innymi bawił w Warszawie. Oskarżony o herezję i czary zmarł w więzieniu. Przygody Cagliostro stały się tematem utworów Schillera, Goethego, Dumasa, Carlyle'a, operetki Straussa i baletu Maklakiewicza

3 Zapewne w chwili, gdy książka trafi do rąk Czytelnika, zagadka grobu Kopernika znajdzie już swoje rozwiązanie, o czym, jak sędzę, wiele będzie się pisało w prasie.